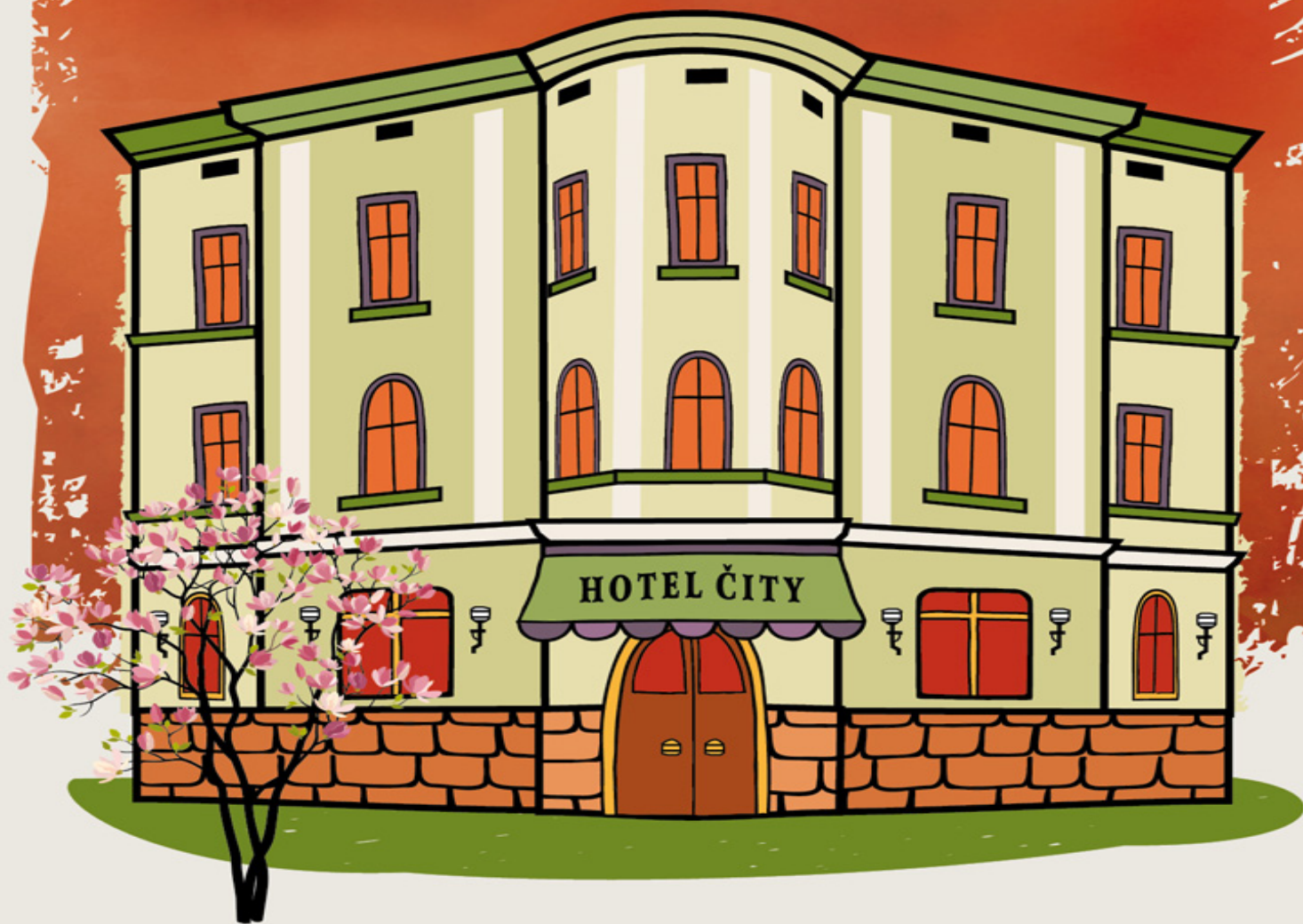


kryminal pod psem



MARTA MATYSZCZAK



CIESZYN 
PROWADZI ŚLEDZTWO



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

MARTA MATYSZCZAK

CIESZYN
PROWADZI
ŚLEDZTWO



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

KRYMINAŁY POD PSEM

- ◆ *Tajemnicza śmierć Marianny Biel*
- ◆ *Zbrodnia nad urwiskiem*
- ◆ *Strzały nad jeziorem*
- ◆ *Zło czai się na szczycie*
- ◆ *Morderstwo w hotelu Kattowitz*
- ◆ *Trup w sanatorium*
- ◆ *Wypocznij i zgiń*
- ◆ *Las i ciemność*
- ◆ *Noc na blokowisku*
- ◆ *Sopot w trzech aktach*
- ◆ *Cieszyn prowadzi śledztwo*

Zapraszamy na www.publicat.pl

Projekt okładki
ILONA GOSTYŃSKA-RYMKIEWICZ

Koordinacja projektu
KONRAD ZATYLNÝ

Redakcja
URSZULA ŚMIETANA

Korekta
BOGUSŁAWA OTFINOWSKA

Redakcja techniczna
KRZYSZTOF CHODOROWSKI

Polish edition © Publicat S.A., Marta Matyszczak MMXXIII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved.

ISBN 978-83-271-6433-9

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Od Autorki

Motto

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Epilog

Posłowie

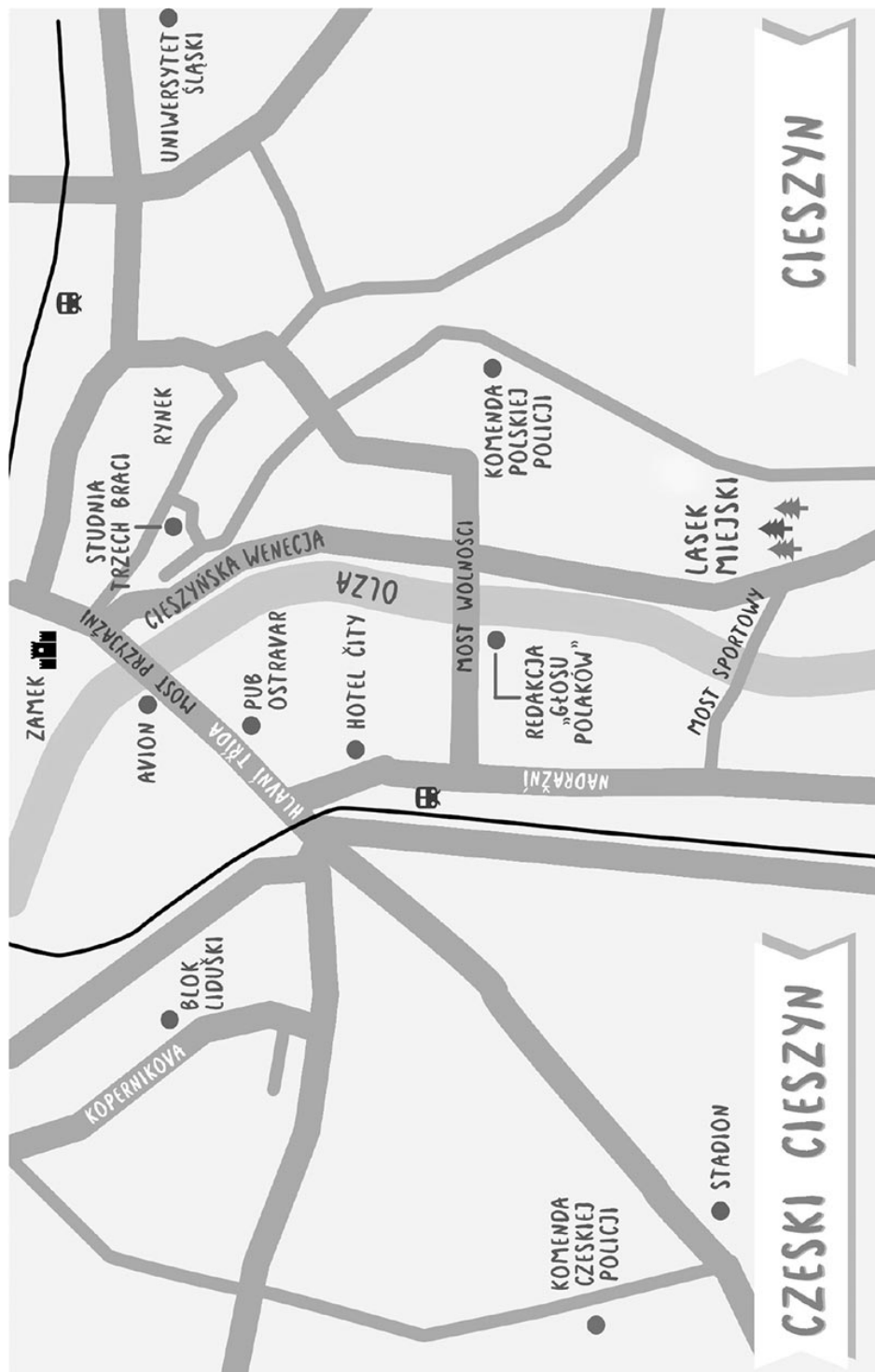
Przypisy

*Pracownikom i wolontariuszom Schroniska
dla Bezdomnych Zwierząt w Chorzowie*

Donoszę uprzejmie, że wszystkie występujące w powieści postacie (prócz Gucia) są wytworem mojej wyobraźni i nie ma się co doszukiwać ich pierwowzorów w rzeczywistości. To samo tyczy się przedstawionych tu zdarzeń – wymyśliłam je i tyle. Hotel Čity w Czeskim Cieszynie, w którym mieszkają Solańscy, to tak naprawdę hotel Central – i w nim też występują podobne udogodnienia natury architektoniczno-sanitarnej! W tym przypadku nie konfabulowałam. Po moście Przyjaźni w Cieszynie możecie spacerować bez obaw – w prawdziwym świecie mordercy trzymają się od niego z daleka. Skoro to wszystko zostało już powiedziane, to *přeji Vám příjemné čtení!*^[1]

*Między nami dwoma brama postawiona.
Widzę pusty brzeg, skąd zawsze płynął śmiech.
Chodziłem często tam do miasta, które znam.
Jak pokonać most? Wracałem nim co noc.*

*Izabela Škutová i Bogdan Bartnicki,
Dva břehy / Dwa brzegi*



© Natalia Twardy

PROLOG

Teraz

Zdeněk Pecháček każdego ranka przeklinał własną matkę. Na szczęście nie mogła go już usłyszeć, ponieważ dawno odmeldowała się z tego świata. W ten kwietniowy świt jadł śniadanie, na które złożyły się dwa rohlíki, kilka utopenców^[2] oraz kawa, i spoglądał bykiem na stojącą na parapacie urnę z prochami rodzicielki. Dopił rozpuszczalną lurę. Wstał zza stołu. Krzesło zgrzytnęło przeciągnięte po linoleum. Mężczyzna się skrzywił. Oby tylko przez ten hałas znowu nie obudziła się pani Baudyšová z dołu, bo dzień zacznie się awanturą.

Gdyby nie mamusia, Zdeněk może nie wyrósłby na osobnika chorobliwie punktualnego. Wbiła mu jednak do głowy, że zawsze i wszędzie powinien być na czas. Przy czym jej „na czas” oznaczało przynajmniej pół godziny wcześniej. Od najmłodszych więc lat kwitł pod różnymi nieotwartymi jeszcze placówkami oświatowymi, marzył na peronach kolejowych, bez skutku wypatrując pociągu, nudził się w teatralnym foyer, czekając na dziewczynę, z którą umówił się na randkę. Sam już był sobą zmęczony! Jednak mimo tego, że mamusia wiele lat temu obróciła się w proch, nie potrafił się wyzbyć tego nawyku.

Wstawał, kiedy jeszcze większość ludzi przewracała się na drugi bok, a ci o bardziej imprezowym usposobieniu dopiero wracali do domu. On musiał się zaś stawić „na czas” w pracy. Ten dzień nie był wyjątkiem. Zdeněk narzucił na siebie puchową kurtkę – wiosna tego roku wyjątkowo długo kazała na siebie czekać. W tej chwili zawieszony na oknie termometr wska-

zywał jeden stopień poniżej zera. Zawiązał buty, chwycił plecak i wyszedł z mieszkania, zamykając je na dwa zamki.

Na paluszkach zszedł ze swojego piątego piętra. W powietrzu unosiła się stęchlizna – miks woni obiadowych, środków czystościowych i moczu, typowy dla klatek schodowych w postkomunistycznych blokach z wielkiej płyty. Z rozpędu otworzył drzwi wyjściowe i zderzył się z kobietą zmierzającą w przeciwnym kierunku.

– Liduška! – krzyknął wystraszony. – Dzień dobry.

Sąsiadka nawet na niego nie zerknęła. Nie raczyła też odpowiedzieć. Wspięła się rażnym – choć dość chwiejnym – krokiem na górę. Zdeněk pomyślał, że kobieta pewnie nawet się nie zasapie w drodze na swoje szóste, ostatnie zresztą, piętro. Choć była starsza od niego i prowadziła się z pewnością mniej porządnie, zdawała się mieć o wiele lepszą kondycję.

Pecháček porzucił myśli o Lidušce i przyśpieszył kroku. Nie mógł przecieżyć się spóźnić!

Wyszedł przed swój blok na Koperníkovej i z obrzydzeniem popatrzył na jego brudną elewację. Akurat jemu przypadła w udziale część pomalowana niegdyś na niebiesko. Teraz w zasadzie wszystkie barwy zlewały się w jedną szarzyznę, więc trudno tu było debatować o preferencjach kolorystycznych mieszkańców. Skręcił w Brandýską – ulicę, przy której stały rzędy domków jednorodzinnych, na jakie jego nigdy nie będzie stać – i już po chwili przejściem podziemnym pociągniętym pod torami kolejowymi dotarł do Masarykových sadów. Kawał trawnika, pomnik, plac zabaw – taki to był park. Ciekawe, co powiedziałby na to pierwszy czechosłowacki prezydent, którego nazwiskiem ochrzczono ten splachetek... Minął kawiarnię Avion i wreszcie znalazł się nad Olzą.

O tej porze zazwyczaj nikogo nie spotykał po drodze do swojej fabryki. Pracował przy taśmie produkcyjnej szymonków – popularnych czekoladowych cukierków, które wytwarzano wedle rodzinnej receptury od dziesięcioleci właśnie w Cieszynie, tyle że tym polskim. Codziennie więc – można było powiedzieć – chodził za granicę do roboty. Czy powinien się nazywać emigrantem zarobkowym?

Daleko nie miał, ledwie dwadzieścia minut pieszo. Wyboru co do środka transportu też nie, toteż nie musiał się zastanawiać, czy nie dojeżdżać by autem, bo go po prostu nie posiadał. Wkroczył na most Przyjaźni i zapatrzył się na szumiącą w dole i odbijającą ostre poranne światło słoneczne rzekę. Dlatego też dopiero po chwili dostrzegł coś dziwnego. Nawet nie kątem oka, raczej wewnętrznym okiem intuicji. Zatrzymał się i odwrócił. Przez przedłużający się moment trwał w otepieniu. Przyszło mu do głowy, że ma omamy. Może zaszkodziły mu te parówki na śniadanie? Nie były już pierwszej świeżości...

Na drżących nogach wyszedł na środek jezdni. I przyjrzał się uważniej. Nie mylił się.

Na środku mostu Przyjaźni, dokładnie na specjalnie zaznaczonej linii oddzielającej dwa państwa, leżał mężczyzna. Zdeněk nie musiał się upewniać, sprawdzając puls czy oddech – po martwych oczach spoglądających bez wyrazu w szare, zasnuwane chmurami niebo od razu można było się zorientować, że mężczyzna ów nie żył.

ROZDZIAŁ 1

*Jedu takhle tábořit škodou sto na Oravu
Spěchám, proto riskuji, projíždím přes Moravu^[3].*

Nieco wcześniej

Szymon Solański po raz trzeci sprawdził, czy wszystko zapakował. Róża, jego żona, przysłała mu niekończącą się listę niezbędnych jej rzeczy, które musiał ze sobą zabrać. Detektyw poważnie obawiał się o zawieszenie swojej starej skody fabii, która stała teraz pod bramą o numerze sto trzynaście familoka przy ulicy 11 Listopada w Chorzowie, wsparta o skrzynkę elektryczną już i tak naruszonym przez rdzę i nieostrożną jazdę właściciela zde-rzakiem. Bez zdziwienia skonstatował, że dobrą połowę spisu zajmowały produkty spożywcze...

Odkąd Róża Solańska (z domu Kwiatkowska) dostała nową pracę w Czeskim Cieszynie, wciąż narzekała na miejscowe jedzenie. Twierdziła, że kne-dliki wychodzą jej już uszami, a nie może się żywić tylko smażonym serem oraz hranolkami okraszonymi sosem tatarskim. I zapijanymi piwem, czego już nie dodawała, ale Solański dałby sobie za to rękę uciąć. Kazała więc wciąż dowozić sobie jakieś smakołyki. A Szymon odwiedzał ją, gdy tylko nadarzała się ku temu okazja. Na stałe przeprowadzić się z Kwiatkowską nie mógł, ponieważ musiał dopilnować końcowych robót przy remoncie ich mieszkania, a jednocześnie siedziby agencji detektywistycznej Solan. Gdy wrócili z Sopotu (gdzie podczas miesiąca miodowego zdążyli rozwiązać pewną zagadkę kryminalną), prace były w zasadzie już na finiszu. Dopiero

z czasem się okazało, że niedoróbek było sporo i trzeba jeszcze nieco poczekać z urządzaniem parapetówki.

Szymon złapał też kilka niewielkich zleceń, głównie polegających na śledzeniu niewiernych mężów i żon oraz robieniu im zdjęć z ukrycia. Robota nudna, ale dobrze płatna. Teraz jednak, gdy remont poszedł już w zapomnienie, a zdrajcy zostali obfotografowani, mógł wreszcie na dłużej udać się do Cieszyna. I do Róży.

Na stertę toreb, siatek i siateczek zapełniających bagażnik fabii aż po dach narzucił jeszcze reklamówkę z biedronki z jakimiś deserkami, których zapragnęła Róża, i domknął klapę. Z wielkim trudem. Solański starał się nie komentować faktu, że te same produkty w sklepie tej samej sieci Kwiatkowska mogłaby sobie kupić, przechodząc po prostu przez most nad Olzą i robiąc zakupy po polskiej stronie miasta. Rozumiał jednak, że te zachcianki Róży są tylko pretekstem do tego, by zobaczyć się z nim. Nie protestował zatem.

– Guciu, hop! – zwrócił się do kundelka grzecznie czekającego na chodniku i otworzył przed nim drzwi od strony pasażera.

Nie było szans, żeby pies zmieścił się na tylnej kanapie. Poza tym gdy jechali autem we dwóch, Gucio lubił pilotować swojego pana. Lokował się na siedzeniu obok i pilnie wyglądał przez okno, od czasu do czasu szturchając detektywa mokrym nosem w rękę.

Pies wskoczył na swoje miejsce, a Solański zatrasnął za nim drzwi.

– Te, synek! – Szymon usłyszał głos za sobą.

Odwrócił się i spojrzał w górę na podwyższony parter. Choć kwiecień w tym roku nie rozpieszczał aurą, Brygida Buchta, ich sąsiadka i gospodyni kamienicy pod sto trzynastką, już wystawiła swoją poduszkę na parapet, pod pachę wpakowała sobie pinczerka i razem patrolowali z okna chorzowską Cwajkę, czyli drugą dzielnicę miasta. Wychodziło im to o wiele lepiej niż wszelkim oficjalnym systemom monitoringowym.

– Powiedz Róży, że gołodupki, hop do kupki! – rzekła, zupełnie od czapy, Buchtowa.

I zarżała.

Odkąd gospodyni dowiedziała się, że Kwiatkowska znalazła pracę w Czechach, prześcigała się sama ze sobą w prezentowaniu Szymonowi głupich dowcipów językowych, wypowiedzianych rzekomo w narzeczu południowych sąsiadów. Solański uśmiechnął się kurtuazyjnie i pomachał kobiecie na pożegnanie. Wsiadł do samochodu i odpalił silnik. Zanim jednak obrał kierunek na Cieszyn, miał do załatwienia jeszcze jedną sprawę.



Bardzo się cieszyłem, że wreszcie zobaczę Różyczkę. Targały mną jednak pewne wątpliwości w związku z faktem, że mieliśmy się z Solańskim przenieść na dłuższy – nieokreślony – czas do obcego kraju. Odkąd Szymon zabrał mnie na Zieloną Wyspę, gdzie poprowadziliśmy śledztwo kryminalne, mogłem się wylegitymować własnym paszportem, zatem te rozterki nie były natury biurokratycznej. Chodziło mi o kwestie lingwistyczne. No bo czy – powiedzcie sami – tamtejsze psy będą do mnie mówić po czesku? Jak by to miało brzmieć? Czy się z nimi dogadam? Nie chciałem też wyjść na ignoranta, który przyjeżdża do obcego kraju i do wszystkich szprecha albo po angielsku (no co, trochę się podszkoliłem w tej Irlandii), albo, co gorsza, w swoim własnym dialekcie, tylko wolno i wyraźnie, żeby go dobrze zrozumieli. Byłem więc w kropce.

Moje rozmyślenia językoznawcze przerwał Solański, który wsparł się na klaksonie, by upomnieć jakiegoś zawalidrogę przebiegającego nam przed maską. W ostatniej chwili łamaga umknęła spod kół skody fabii kombi, która jeździ i trąbi. Ocknąłem się i rozejrzałem po okolicy.

„Kpisz, czy o drogę pytasz?”, wydarłem się na Solańskiego, ale on, jak zwykle, zrozumiał jedynie, że hau, hau, hau. Łypnął na mnie spod swojej krzaczastej czarnej brwi. Już on tam dobrze wiedział, co nabroił (a raczej zamierzał nabroić), dlatego też mi nie przerywał. Klarowałem mu, co o nim myślę, aż do ulicy Żołnierzy Września, na której wreszcie się zatrzymaliśmy.

To już bym wolał jechać do Azot i nazod niż tu.

Tu, czyli do przychodni weterynaryjnej Psia Kostka, w której królował niejaki doktor Dłutko i przy każdej okazji dobierał mi się do skóry.

Nie odwiedzaliśmy go już dobre pół roku. Albo i więcej. Cóż za przecoczenie ze strony detektywa! Przyszła jednak kryska na matyska (a raczej na Guciunia) i trzeba było odrobić pańszczyznę.

– No co tam znowu, młody człowieku? – Dłutko zwrócił się do Solańskiego, gdy już siłą zostałem zaciągnięty do tego przeszklonego parterowego budynku wybudowanego w sąsiedztwie pięknych okoliczności przyrody stawu Amelung.

– Chciałem mu zrobić przegląd – oznajmił ten lunatyk Solański.

Czy ja komu wyglądam na skodę fabię, żeby mi robić przegląd? Może mi jeszcze wymienią olej i zamontują kołpaki? Całe życie z wariatami...

– Bo jedziemy za granicę – tłumaczył mój pan, a doktor Dłutko już zacierał swoje chude i długie rączki, żeby mi się dobrać do tyłka. – Więc lepiej dmuchać na zimne. Prewencja! Najważniejsza prewencja! – bredził ten obłąkaniec, a drugi – równie szczupły, wysoki i czarny na łbie jak detektyw – tylko mu przyklaskiwał.

– A dokąd? – poinformował się jeszcze.

Gdy usłyszał, że do Cieszyna, w oczach zapaliły mu się tak zwane kurwiki.

– Szymonki! – rzekł i uśmiechnął się błogo.

Solański spojrział na doktora ze zmarszczonym czołem.

– Te czekoladki! – objaśnił Dłutko. – Co je tam produkują! Fabrykę mają. One są, młody człowieku, wyśmienite!

Po tych cukierniczych rozkminach wzięli się niestety do roboty. W życiu nie spamiętam nazw tych wszystkich zbrodni, które na mnie popełniono, ale było tam z pewnością coś o USG, RTG, KGB i o pobraniu krwi. Gdy tylko zobaczyłem igłę, o mało nie zemdlałem! Próbowałem się wyrwać ze szponów tych psychopatów, ale bezskutecznie. Wkładali mnie na liczne

stoły, obracali, przekładali, turlali i torturowali. Wszystko po to, żeby orzec, że tak w zasadzie nic mi nie jest.

Geniusze mogli mnie o to na samym wstępie spytać, oszczędziliby sobie trudu.

Jedyna moja pociecha taka, że Solański zabulił za te nieprzyjemności jak za złoto. Może na przyszłość się nauczy poskramiać swoje durne pomysły.

Doktor Dłutko wyglądał natomiast na zadowolonego. Podciągnął rękawy swojego zielonego wdzianka. To samo zrobił z kolorowymi skarpetkami (były od kompletu, najwyraźniej tego ranka psi lekarz ubierał się po tak zwanym ćmoku^[4]), które wystawały mu spod przykrótkich nogawek. Odprowadził nas do samych drzwi. Zanim te zamknęły się za nami, usłyszeliśmy jeszcze nawoływanie weterynarza skierowane zapewne do recepcjonistki.

– Gdzie się podziała moja czekolada?! – Chciał wiedzieć mianowicie.

Już ja mu dam czekoladę! Oj, przywiozę w prezencie doktorowi tych szymonków w podzięcie za wyżej opisaną kaźń! Być może czymś doprawionych. Zobaczmy, czy odważy się poczęstować!



Róża Solańska siedziała przy stoliku ulokowanym na antresoli w kawiarni Kornel i Przyjaciele i pochłaniała szarlotkę na ciepło z lodami waniliowymi oraz kleksem bitej śmietany. Z zawieszzonego na ścianie ponad jej głową portretu na dziennikarkę popatrywała Wisława Szymborska, ni to wzrokiem dobrotliwym, ni to pełnym przygany. Trudno było o jednoznaczną interpretację.

– No co? – Kwiatkowska zwróciła się do noblistki, odwzajemniając jej spojrzenie. – Wy sobie z Kornelkiem nie lubiliście dziabnąć czegoś na ząb? – zapytała, nie licząc na odpowiedź.

Odkąd parę miesięcy temu zamieszkała w Czeskim Cieszynie, lubiła przychodzić na polską stronę, tu na ulicę Sejmową do tej uroczej księgarnio-kawiarni sławiącej pamięć Kornela Filipowicza. Pisarz spędził dzieciń-

stwo w tym mieście, tu stawiał swoje pierwsze literackie kroki pod wodzą tego całego Juliana Przybosa, który – zdaniem Róży – doprawdy powinien w swoim czasie zastanowić się nad zapuszczeniem grzywki, bo czoło na pół głowy nikomu nie robiło dobrze na wizerunek. W każdym razie Kornewlowi się należało takie upamiętnienie. A przy okazji na kawiarnianą sławę załapała się też jego dziewczyna Wisława...

Róża zakończyła konsumpcję i ostatkiem siły woli powstrzymała się przed wylizaniem talerzyka. Tu jej jeszcze dobrze nie znali. Wolą więc uchodzić za osobę jeśli nie wytworną, to przynajmniej w miarę cywilizowaną. Spojrzała na zegarek. Zanim przyjedzie Szymon, powinna jeszcze zajrzeć do redakcji i przypilnować odesłania najnowszego numeru „Głosu Polaków” do drukarni.

Sama się dziwiła, że dostała tę robotę. Okazało się, że właściciel polonijnej gazety skierowanej do polskiej mniejszości mieszkającej w Czeskim Cieszynie już chciał zwijać interes, bo w dobie Internetu i mediów społecznościowych sprzedaż prasy papierowej szła jak po grudzie. Zmienił jednak zdanie. Otóż wypatrył Różę w odmętach serwisu YouTube, gdzie chorzowianka prowadziła kanał *Kolcem między oczy*, i tak mu się spodobały jej wyczyny, że postanowił zaryzykować. Zatrudnić Kwiatkowską – nie na stałe, tylko na kilka miesięcy – i pozwolić jej poszaleć także na szpaltach „Głosu Polaków”.

– Stawiam na innowację! Na młodość, pani Rózo! – obwieścił jej przez telefon.

– Ano – odpowiedziała na to Kwiatkowska, bo chciała udowodnić, że jest poliglotką i doskonale odnajdzie się w nowych warunkach geograficznych.

Co do tej wspomnianej młodości, to Róża trochę się zdziwiła. Wprawdzie miała pomysł, by w opisie kanału zamieścić kłamliwe informacje na temat swojej metryki, ale doszła do wniosku, że ktokolwiek obejrzy choć jeden jej filmik, i tak się nie nabierze. Obojętnie, jakich by użyła filtrów. Dała więc sobie spokój. Tymczasem pan Wacław Linert, jak nazywał się jej nowy pracodawca, albo niedowidział, albo miał skrzywioną perspektywę, tak sobie wtedy pomyślała. I to drugie przypuszczenie okazało się słuszne.

Gdy wreszcie Róża i Wacek spotkali się twarzą w twarz, okazało się, że Linert ma chyba ze sto lat. Kwiatkowska mogła mu się więc wydawać młodką. Właściciel gazety może i był stary, ale energii mu nie zbywało. Wciąż aktywnie działał na lokalnym poletku i ani myślał o emeryturze. A teraz Róża kierowała należącą do niego gazetą i była w siódmym niebie. Nadawała się na to stanowisko doskonale. Przecież od zawsze lubiła rządzić. A i doświadczenia dziennikarskiego jej nie brakowało. Myśl o tym, że straci robotę, gdy tytuł się już rozhula, wbrew pozorom wcale jej nie martwiła. Przecież nie zamierzała mieszkać w Czeskim Cieszynie wiecznie. Teraz żyła chwilą i cieszyła się swoim stanowiskiem człowieka do zadań specjalnych. Choć trzeba przyznać, że współpracownicy nie dzielili jej entuzjazmu.

Zeszła po kręconych drewnianych schodach na parter księgarenki, także siłą woli powstrzymując się przed zrobieniem kolejnych zakupów (i tak zostawiała tu już lwią część wypłaty – mimo że nie sprzedawali u Kornela jej ukochanych romansów – a jej pokój w hotelu zaczynał się robić niebezpiecznie klaustrofobiczny), i udała się jeszcze do wuce. Jak za każdą wizytą uśmiechnęła się pod nosem na widok ustawionego w kabinie na stoliku w rogu woluminu pod tytułem: *Kupa wiedzy. Książka dla czytających w toalecie*.

Z żalem opuściła Kornela i Przyjaciół. Ruszyła w dół Głęboką aż do podnóży Góry Zamkowej. Z dołu zerknęła na rozkwitłe już w najlepsze magnolie rosnące przy wejściu do zamku. Na te drzewa natykała się tu na każdym rogu. Postanowiła namówić Brygidę Buchtę, by razem zasadziły magnolię na podwórku pod ich familokiem. Zawsze to będzie jakieś upiększenie tych okopconych sadzą cegieł. A może i okoliczne menele, będąc w szoku na widok takiego cudu natury, nie spróbują magnolii obsikać albo wypisać na jej konarze sprayem nazwy drużyny piłkarskiej, której kibicują...

Wreszcie znalazła się na moście Przyjaźni. Minęła stojącą po lewej drukarnię, do której to właśnie miała odesłać złożony już numer „Głosu Polaków”, i bulwarami nad Olzą przeszła aż do mostu Wolności. Tuż obok w zabytkowym neoklasycystycznym – niedawno odremontowanym – bu-

dynku dawnej strzelnicy mieściła się redakcja tygodnika. Róża przystanąła jeszcze przy przeszklonych tablicach ogłoszeniowych wystawionych przed wejściem i przyjrzała się wywieszonym tam plakatom. „Hity pro každěho” zapowiadające mającą się odbyć w niegdysiejszej strzelnicy dyskotekę zainteresowały ją najbardziej. Musi na tę imprezę zaciągnąć Solańskiego. Niech mąż zobaczy, jak się bawią w Czechach!

Pokonała kilka schodków i wkroczyła do budynku, a potem do pokoju, w którym mieściła się redakcja.

– Masina jedzie do Ciesina i piści! – huknęła od progu.

Pracownicy – pan Krzysiu i pani Wiola – zerknęli na nią z niechęcią. A tak się starała zabawiać ich różnymi polsko-czeskimi grami językowymi. W ogóle nie mieli poczucia humoru! I pewnie byli wściekli, że chociaż pracowali w „Głosie Polaków” zapewne od czasów panowania Habsburgów, to Wacek właśnie ją wybrał na tymczasową naczelną. Kwiatkowska się jednak nie poddawała.

– Co to znaczy? – zapytała.

Równie dobrze mogła gadać do nich po mandaryńsku. Z westchnieniem zasiadła za swoim komputerem i ostatni raz przejrzała numer. Na pierwszej stronie zamieścili artykuł informujący o przyjeździe do Cieszyna potomka wspomnianego rodu Habsburgów, niejakiego Gustawa von Habsburga. Swoją drogą, to będzie uciecha, kiedy wreszcie przybędzie tu Solański z ich Guciem i – daj Boże pies i potomek spotkają się przypadkiem na ulicy. Przecież Róża sobie nie podaruje wołania na cały regulator po imieniu swojego czworonoga: „Gucio, do nogi!”. Ciekawe, jak zareaguje arystokrata.

Wszystko było dopięte na ostatni guzik. Róża pożegnała się więc z Wiolą oraz Krzysiem i wróciła do hotelu. Już za godzinę powinien pojawić się Szymon!



Szymon Solański jechał ulicą, która się nazywała Hlavní Třída, i załamywał rękę. Mentalnie, bo tych prawdziwych wołał nie odrywać od kierownicy.

Jego opinia ukształtowała się wskutek jak na razie pobieżnego przyjrzenia się obu Cieszynom i siłą rzeczy nie mogła być jeszcze w pełni uzasadniona. Prawda jednak była taka, że detektyw zbłądził po drodze, w wyniku czego mało nie wjechał na cieszyński Rynek, a potem mimowolnie pozwiedzał sobie centrum z okien samochodu. I trudno mu było nie zauważyć różnicy między polską częścią miasta – w miarę wymuskaną, ze starówką, zamkiem i turystycznymi atrakcjami – a tym czymś tutaj. Przecież na Hlavní Třída filmowcy mogliby kręcić obraz traktujący o apokalipsie! I wcale nie musieliby się wykosztowywać na scenografię. Ta bowiem była już gotowa.

Szymon po raz pierwszy odwiedził przedzielone granicą miasto w czasach studenckich. Pojechali wtedy ze znajomymi na festiwal filmowy Era Nowe Horyzonty, który potem został przeniesiony do Wrocławia. Musieli chyba jednak bardziej skupiać się na konsumpcji wytworów czeskich browarników niż na zwiedzaniu, bo jakoś teraz detektyw nie za wiele potrafił sobie przypomnieć z tamtego wyjazdu. Ani z samego Cieszyna.

Minął tabliczki: niebieską – z informacją, że znalazł się w Moravskoslezským Kraju, i dwie białe – po czesku i po polsku anonsujące Český Těšín. Ulica ciągnąca się od mostu Przyjaźni do trakcji kolejowej kiedyś – gdy jeszcze Polska nie była w strefie Schengen i na granicy trzeba się było wylegitymować paszportem oraz spróbować nie podpaść celnikowi – pewnie stanowiła główną atrakcję Czeskiego Cieszyna. Tłumy polskich turystów pierwsze, co robiły po wkroczeniu do Republiki Czeskiej, to biegły do rozsianych wzdłuż arterii sklepików z lentilkami, piwem oraz becherovką i robiły porządne zakupy. Teraz te nory nie przynosiły żadnej rozrywki i musiały – zdaniem Szymona – stanowić słupy do prania brudnych pieniędzy, bo nie było szans na to, żeby ich właściciele się utrzymali z legalnych obrotów. Tych zdawało się nie być wcale. Sprzedawcy – w trzech sklepach, którym zdążył się przyjrzeć detektyw, sytuacja wyglądała tak samo – pochodzący na oko Solańskiego z Filipin, stali beczynnie na chodniku przed przybytkami handlu detalicznego i gawędzili (po czesku, co zdołał dosłyszeć przez uchylone w skodzie okno).

Reszta ulicy nie prezentowała się lepiej. Trochę przypominała mu Dąbrowskiego w jego rodzinnym Chorzowie, gdzie też większość witryn albo była zabita dechami, albo obklejona obwieszczeniami o chęci sprzedaży, albo mieściły się tam jakieś z gruntu podejrzane przybytki.

Solański znalazł się wreszcie na ciągnącej się równolegle do torów kolejowych ulicy Nádražní i przed sobą po lewej zauważył hotel Čity, do którego jakiś tydzień temu Róža przeniosła się z innego, położonego zbyt daleko redakcji przybytku. A teraz oni z Guciem mieli do niej dołączyć. Wjechał jednym kołem na chodnik i wyjął swoją rozklekotaną nokię (ostatnio musiał ją spiąć biurowym klipsem, bo pękło plastikowe zapięcie klapki trzymającej na właściwym miejscu baterię).

Wybrał numer żony.



– Róža, gdzie ten parking? – zapytał mój pan.

Przez chwilę przysłuchiwał się instrukcjom wydawanym przez Kwiatkowską, aż wreszcie ruszył z chodnika, cofnął ze zgrzytem opon, skręcił w lewo, potem w prawo, aż znaleźliśmy się na podwórku-parkingu dla gości hotelowych. Wyskoczyłem z samochodu i pierwsze, co zrobiłem, to podlałem pomalowany na pistacjowo murek okalający posiadłość. W końcu byłem tu na gościnnych występach, musiałem więc na wstępie dać znać wszystkim okolicznym burkom, że przyjechał czworonóg z miasta i nie ma co z nim zaczynać. Podstawa to ugruntować swoją pozycję od samego prologu. Inaczej gotowi ci wejść na głowę.

Solański przyjrzał się z rezygnacją tym wszystkim tobołom, które tu przywlekliśmy (dobrze, że już nie ma formalnych granic między państwami, bo z pewnością by się tak łatwo nie wywinął celnikowi zadającemu pytania o coś do oclenia). Westchnął, zamknął skodę i ruszyliśmy do hotelu. Wróciliśmy na główną ulicę. Po jej drugiej stronie dostrzegłem dworzec kolejowy. Jego budynek bardzo był podobny do tego, który ostatnio podczas wycieczki Kolejami Śląskimi w góry widziałem na stacji w Bielsku-Białej.

Tak się gapiłem na ten ceglany hangar, że aż potknąłem się o jakieś nierówności chodnikowe. Łypnąłem pod łapy i cóż ujrzałem? Odcinek szyn tramwajowych wtopiony w betonową nawierzchnię! Czy ci Czesi rozum postradali? Po co komu taka trakcja donikąd? Być może był to jakiś zaawansowany przejaw czeskiego humoru, którego jeszcze nie pojmowałem. Jeszcze! Dajcie mi chwilę na adaptację!

Znów zadarłem łebek i tym razem zlustrowałem hotel Čity. Z zewnątrz wyglądał jak zwykła, klockowata, dwupiętrowa kamienica. Na parterze wielgachne okna, elewacja koloru rozbielonej zieleni, gzymsy zaznaczone ciemnym brązem. Na dachu budowlańcy, będący zapewne pod wpływem becherovki, ustawili dość krzywo coś na kształt wielkiego czarnego billboardu z napisem: „Hotel Čity” (czy to miało być po angielsku, czy – wnioskując po tym znaczku nad C – po czesku, tego nie byłem w stanie rozkminić).

Przybytek odznaczono trzema gwiazdkami. Na jego parterze mieściła się restauracja i disco-bar La Bamba. Weszliśmy do środka pełni obaw. Po pokonaniu kilku schodów i kolejnych drzwi trafiliśmy do recepcji. Za drewnianym kontuarem siedziała uśmiechnięta od ucha do ucha blondynka.

– Dzień dobry! – powiedziała.

Wcale nie po czesku.

Zerknąłem na Solańskiego, żeby sprawdzić, czy on coś z tego rozumie. Może jednak zbłądziliśmy bardziej, niż sądziliśmy, i rzeczywiście wylądowaliśmy w Bielsku-Białej. A nie w Czechach!

– Róża mówiła, że przyjedziecie – kontynuowała niewiasta, dalej się do nas szczerząc. – Pierwsze piętro. Pokój numer dwanaście – poinstruowała nas.

Z dezaprobatą przyjrzałem się stromym schodom prowadzącym na wyższe kondygnacje. Tyle dobrze, że pokryto je bordową wykładziną, przynajmniej łapy nie będą mi się ślizgały. W tym całym hotelu czas stanął w miejscu. Z jednej strony gdzieś w latach dziewięćdziesiątych zeszłego stulecia – sądząc po wewnętrznym dekorze. Z drugiej zaś około grudnia-popołudnia,

ponieważ dotąd nie zdjęto lampek bożonarodzeniowych oplatających poręcz.

Podążyłem za Szymonem na górę. Trochę tu dawało kanalizacją, ale ja tam nie jestem czepialski. Wdrapaliśmy się na pierwsze piętro. Solański przystanął przed zamontowaną na bladej ścianie tabliczką.

– „Zákaz kouření” – odczytał na głos. – „V cílem hotelu pod pokutou”.

Dobrze więc, że mój pan już dawno porzucił haniebną nałóg. Choć z drugiej strony ciekawość mnie zżerała, jaka to pokuta zostałyby mu wyznaczona za złamanie regulaminu. Chłosta? Pręgierz? Zakaz spożywania kne-dliczków?

Skręciliśmy w prawo w korytarzyk, po którego obu stronach ciągnęły się rzędy drzwi prowadzących do kolejnych pokoi. Na każdym ze skrzydeł zamontowano metalową zawieszkę z numerem i – jeśli dobrze widziałem z mojej przypodłogowej perspektywy – rysunkiem lokomotywy. Sąsiedztwo dworca zobowiązywało. Dwunastkę znaleźliśmy niemal na samym końcu. Nie mogłem się już doczekać, kiedy zobaczę Różę, więc wyprzedziłem Solańskiego, rozpędziłem się i naskoczyłem przednimi łapami na klamkę.

Drzwi stanęły otworem.

– Neeee! – dobiegł nas wrzask dochodzący ze środka. – Čekejte! – wrzeszczała Kwiatkowska, która najwyraźniej na dobre przestawiła się na język sąsiadów.

Takie ryki? Toż to ktoś musiał krzywdzić moją Różyczkę! Może przetrzymywał ją tu w charakterze zakładniczki? Z miejsca ruszyłem odbijać swoją przyjaciółkę! Wpadłem do środka i... zdębiałem.

Ja rozumiem, że byliśmy w Czechach.

Pojmuję też cały ten czeski humor.

Nawet czeski film przyjmuję bez mrugnięcia okiem.

Ale to?!

Gdyby Solański nie przybrał równie głupiej miny co i ja, pewnie uznałbym, że mam jakieś omamy.

– Kibel? – wyraził lakonicznie swoje zdumienie mój pan.

W rzeczy samej. Weszliśmy do pokoju i od razu znaleźliśmy się w wucecie! Nie w żadnym przedpokoju, sypialni, czy choćby w kuchni. Tylko w toalecie!

A skoro o tej ostatniej mowa, to Róża właśnie podnosiła się z tronu i cała czerwona na obliczu rzuciła się do umywalki myć ręce.

– Zapomniałam zamknąć – tłumaczyła się mętnie. – No tak to tu zbudowali. Nie pytaj. Pewnie architekt wydoił za dużo ostravara. Chodźcie do pokoju.

Wciąż oniemiaли, potykając się o stosy poustawianych gdzie bądź szklanych słoiczków z naturalnymi kosmetykami, w których od niedawna gustowała dziennikarka, śladem Kwiatkowskiej opuściliśmy wyłożoną jeszcze bardziej buraczkowymi niż wykładzina w korytarzu kafelkami łazienkę i przeszliśmy do niewielkiej sypialni. Gdy mówię „niewielkiej”, mam na myśli, że ledwie zmieściły się tam podwójne łóżko, obdrapana komódka, dwa nocne stoliki i telewizor zawieszony pod sufitem. Problemy metrażowe mnie akurat nie kłopotowały. I tak zamierzałem spać na wyrze. Niech oni się martwią, gdy postanowię w nocy rozprostować łapy (a nie od dziś wiadomo, że łapy rozprostowane w nocy wydłużają się magicznie do niemal dwukrotności swojej standardowej długości) i zepchnę ich niechcący na podłogę.

Solański klapnął na łóżko i zagapił się w ścianę.

– Nie ma drzwi? – zapytał. – Do tego wychodka?

I ja skierowałem wzrok na newralgiczny punkt. Čekejte, čekejte...

– Są przesuwne – wyjaśniła dziennikarka.

I zademonstrowała nam ich działanie.

Z początku nie wiedziałem, co się dzieje. Wybuchła bomba gdzieś pod oknem? Stado kocimoczy daje koncert? Ktoś nas chce unicestwić przez zagłuszenie na śmierć? Ale nie. To te drzwi tak niemożebnie skrzypiały, gdy Róża wzięła się do ich przesuwania!

– Przecież gdy ja w nocy pójdę za potrzebą, to obudzę nie tylko ciebie, ale i mieszkańców praskich przedmieść – mądrował się Solański.

– Ani mi się waź! – Kwiatkowska wyciągnęła przed siebie palec wskazujący. – A tak w ogóle, to cześć, kochanie! – Wyszczrzyła się i rzuciła witać Szymona.

A ja to co? Sroce spod ogona się wykulałem? Nie godzi się tak pomijać kundelka. Nie omieszkałem natychmiast ich o tym powiadomić i władowałem się między migdalącą się parę.

– Guciuniu! – Róża dała mi buzi.

Potem nastąpiła przerwa na odpoczynek – dla mnie. Spałem sobie słodko na wyrku, podczas gdy ludzina zносиła do pokoju bambetle z samochodu. Kiedy skończyli, nie było tu już ani jednego centymetra kwadratowego wolnej przestrzeni. Większość ciuchów zdołali umieścić na takim przenośnym, jeżdżącym na kółkach wieszaku, który, nie zgadniecie, gdzie tkwił. No oczywiście, że w toalecie!

Postanowiłem sobie, że ja już w tym Cieszynie nie będę się niczemu dziwił.

– To co? – odezwał się zasapany detektyw i popatrzył na zegarek. – Znajomisz mnie z tutejszym życiem nocnym?

– A która jest godzina? – poinformowała się Róża.

– Osiemnasta.

– To chodź – zaproponowała. – Sam zobaczysz to życie nocne.

Nie wiem, czy słusznie, ale wychwyciłem w tonie jej głosu nutkę sceptycyzmu...



Wrócili na ulicę prowadzącą do mostu Przyjaźni. Szymon rozglądał się z trwogą. Miał nadzieję, że spędzą z Różą miły wieczór w gwarnej czeskiej hospodzie, zjedzą coś dobrego, popiją piwem i może nawet poznają jakichś ciekawych lokalsów. Tymczasem wokół nich nic i nikogo. Żywej duszy!

Godzina była w miarę wczesna, na ulicach panowały jednak zupełne pustki. Miasto wyglądało na wymarłe. Czyżby wszyscy cieszynianie schowali się w domach i tylko z przestraczem wyglądali na zewnątrz przez szpary w firankach?

Po kilku krokach doszli do położonej na rogu knajpy z przytwierdzonymi do elewacji drewnianymi półeczkami na piwo (gdyby ktoś miał wątpliwości, wymalowano nawet obrazki kufli w stosownych miejscach). Udogodnienie pewnie dla palaczy, żeby nie spotkała ich wspomniana pokuta za janie wewnątrz. Na szczęście było otwarte. Wystawiony przed drzwiami kozioł zapowiadał, że można tu dostać smažený ser, co najbardziej interesowało Solańskiego.

Weszli do środka i od razu dostali w twarz zastany smrodem starego oleju. Nie było jednak co wybrzydzać. Najwyraźniej natknięcie się tu na lokal funkcjonujący w godzinach popołudniowych zakrawało na cud. A byli rzut beretem od Rynku!

– A to co? – spytał lekko wystraszony detektyw, spoglądając na lewo.

Ze ściany wystawała rzeźba w kształcie jakiegoś ni chybi diabła, trzymającego w ręku...

– Kaczkę? On tam ma kaczkę? – dziwował się dalej Szymon.

Gucio za to darował sobie wszelkie refleksje, usiadł naprzeciw potwora i zaczął na niego warczeć, obnażając pokryte kamieniem kły. Wreszcie zasiedli przy drewnianym stole pod oknem.

– Masz tu – powiedziała Róża i podsunęła mężowi menu. – Jídelní lístek.

Szymon spojrział na nią złym okiem i przyjrzał się jadłospisowi, który był... przetłumaczony na polski. Nie musiał go przeglądać. Wyrok zapadł na progu hospody.

– Smažený ser, hranolky, tatarská omáčka i piwo. Dwa razy – złożył zamówienie, gdy podszedł do nich kelner.

– Phrrr – powiedział na to mężczyzna i odwrócił się na pięcie.

– A jemu co? – zdziwił się Solański, odprowadzając wzrokiem faceta w średnim wieku, dość wysokiego, z racji postury mogącego być chodzącą

reklamą sprzedawanych tu dóbr konsumpcyjnych.

– Właściciel – wyszeptała Róża. – Jiří Krásnohorský.

Najwyraźniej jego żona poznała już większość dostępnych mieszkańców tego miasta. Co – trzeba przyznać – trudne nie było, zważywszy na jego wielkość oraz fakt, że multum i tak ukrywało się po domach. Zamówienie przyszło po jakimś kwadransie. Jurek trzepnął talerze na blat i bez słowa się oddalił.

– Panie! – nie wytrzymał detektyw.

Krásnohorský nawet nie spojrzał na Szymona. Wytarł dłonie w spodnie i przyśpieszył odwrót. Solański nie dałby sobie za to głowy uciąć, ale zdało mu się, że podczas tego wycierania Jiří pokazał mu środkowy palec... Mógł się jednak mylić.

Zjedli obiadokolację i – z braku innych atrakcji – wrócili do hotelu. Zresztą Róża musiała wstać wcześniej, żeby osobiście dopilnować jeszcze czegoś w drukarni przy moście Przyjaźni. Swoją drogą Szymon zastanawiał się, czy żona rzeczywiście jest niezbędna przy każdym etapie powstawania tygodnika dla polonusów, czy to po prostu jej nadgorliwość.

– On ma pretensje do Polaków – wyjaśniła Róża. – Ten właściciel hospody.

– O co? – zapytał ze zdumieniem Solański, próbując jakoś umościć się na łóżku, na którym już zdążył się rozwalić Gucio.

– O historię. Jest za zjednoczeniem Cieszyna. Pisaliśmy o nim w gazecie. Chciałby przyłączyć polską część do czeskiej i całość oddać pod jurysdykcję Pragi.

Solański pokręcił głową. Miał tylko nadzieję, że Krásnohorský nie dodał nic od siebie do jego hranolek.



Teraz

Zdeněk Pecháček był załamany. Nie tylko nie przyszedł tego ranka do pracy na czas, ale w ogóle się w niej nie pojawił! Musiał na gwałt dzwonić do brygadzysty i tłumaczyć mu się gęsto z zaistniałej sytuacji. Nie dziwił się mężczyźnie, że trudno mu uwierzyć w prezentowaną przez Zdenka historię. Sam by sobie nie uwierzył. To była jednak prawda!

Znalazł trupa na moście Przyjaźni!

Zadzwoił na policję i w oczekiwaniu na przybycie funkcjonariuszy przysiadł na ziemi, opierając się plecami o barierkę. Jak najdalej od zwłok. Które, swoją drogą, z dystansu wyglądały całkiem porządnie. Facet był dobrze ubrany, nawet nosił jakąś świecąca biżuterię na szyi. Czyli najpewniej nie menel, który się spił i zaniemógł na amen. W dole szemrała Olza. Ptaki darły się na potęgę. Posiłki przyjechały całkiem szybko. W centrali jednak musiało dojść do nieporozumienia. Zdeněk przyglądał się wydarzeniom z pewnym otępieniem. Najpierw od strony czeskiej, wbrew przepisom, pod prąd nadjechała skoda fabia. Wskoczyła z niej Liduška Žrankova. Jego dopiero co napotkana sąsiadka.

– Co jest, do cholery?! – spytała.

Jakby to była jego wina, że o tej porze w środku miasta ktoś porzuca trupy. Nie zdążył się jednak odezwać, ponieważ w tej chwili od strony polskiej nadjechał radiowóz. Równie energicznie opuścił go jakiś chuderlawy facet z siwizną próbującą zdobyć przewagę nad brązem na jego głowie. Zdenkowi wydawało się, że gdzieś już go kiedyś widział. W tej chwili nie był jednak w stanie myśleć jasno.

– Co to ma niby być? – zapytał przybyły.

– Trup – odezwał się wreszcie Zdeněk.

Para policjantów popatrzyła na niego gniewnie. A mamusia zawsze mu powtarzała, żeby niepotrzebnie nie strzępił języka. Lepiej cicho siedzieć i czekać na rozwój wypadków.

– Ty go znalazłeś? – zwróciła się do niego Liduška.

Pecháček przezornie pokiwał tylko głową.

– No to nic tu po mnie – rzekł Polak i zaczął się wycofywać w stronę swojego wozu. – Powodzenia, Liduška.

– Ja ci dam „powodzenia”! – zeźliła się Žrankova. – On leży pośrodku! – zauważyła. I dla pewności wskazała na nieboszczyka palcem. Przy tym ruchu jej rudy kucyk nasunął się na bladą, piegowatą twarz, więc odrzuciła go do tyłu z wściekłością. – A nawet powiedziałabym, że bardziej po twojej stronie. Więc to wasz interes, Lucjanie.

Na to stwierdzenie rzeczony Lucjan zawrócił i przyjrzał się ciału jeszcze raz spod na wpół przymkniętych powiek.

– O, nie, nie! – rzekł. – Jeśli już, to rzeczywiście pośrodku. To kto ma przejąć sprawę? Może rzucimy monetą? – zaproponował.

Zdeněk zauważył, że Polak próbuje niepostrzeżenie przesunąć butem nogę nieboszczyka za granicę...

– Ani mi się waż! – Liduška też dostrzegła ten manewr. – Gdyby jeszcze leżał głową w Czechach – rozważała, pilnując, by Lucjan nic już nie wywinał – to mogłabym się zgodzić, że trup należy do nas. W końcu to istotniejsza część ciała niż jakieś tam giry. Jednak ten, jak na złość, poległ dokładnie na tej cholernej linii! – warknęła, znów zerkając na Zdenka. – Pół na pół!

– Ja go nie ruszałem! – zapewnił.

Jeszcze raz łypnął w kierunku ofiary. W rzeczy samej spoczywała niezwykle symetrycznie. Prawa ręka i noga ewidentnie leżały w Czeskim Cieszynie. Ich lewe odpowiedniki – niewątpliwie w polskim. Linia graniczna biegła dokładnie przez środek tułowia. No, bij, zabij – jeśli w tej sytuacji wypada użyć takiego wyrażenia – nie można było przesądzić, w którym kraju jest truposza więcej.

– I niby że co?! – wkurzał się Lucjan. – To jakiś cholerny *Most nad Sundem*?! Tu jest Olza, do psiej dupy!

Zdeněk ledwie skojarzył, że chodzi o jakiś serial, ale jego szczegółów nie znał.

– Wyrażaj się – skarciła policjanta Liduška.

– Uważam – rzekł glina – że skoro to ty przyjechałaś tu pierwsza, to wy powinniście zająć się tym syfem.

– Typowe – sarknęła Czeszka.

– Słucham?

Zdeněk nie wiedział już, na kogo patrzeć. Jego wzrok – jak piłeczka pingpongowa – przenosił się to na kobietę, to na mężczyznę. To do Czech, to do Polski. Zanosilo się na solidną chryję. I to nie tylko o podłożu zawodowym, jak wyczuwał...

– Zawsze tak z tobą było! – huknęła Žrankova, potwierdzając przypuszczenia swojego sąsiada. – Gdy tylko pojawiają się jakieś trudności, dezertujesz!

– Bzdura! – Policjant z miejsca się nabzdyczył. – To ty na mnie próbujesz zwalić całą odpowiedzialność!

– Ty... – zająknęła się Liduška. – Ty zbabělcu^[5]!

Pewnie wkrótce doszłoby do rękoczynów, gdyby nie pojawienie się na scenie (a konkretnie: na moście) kolejnej osoby dramatu.

– Co tu się wyprawia?! – zapytała jakaś wysoka rozczochrana kobieta przy kości, która zakradła się tu nie wiedzieć jak i kiedy.

– Vražda! – powiedziała Liduška Žrankova.

– Morderstwo! – rzekł w tym samym momencie Lucjan Kordel.

– Ooo – skomentowała niezbyt mądrze kobieta. – To kto z was będzie szukał zbója? – zapytała po chwili zastanowienia.

– On! – stwierdziła Liduška.

– Ona! – upierał się Lucjan.

– Chyba nie chcecie, żeby wam tu przysłali posiłki z Pragi? – zastanowiła się na głos nowo przybyła. – Albo z Warszawy? Skoro się nie potraficie dogadać...

Po minach gliniarzy Zdeněk poznał, że co to, to nie. Już prędzej porozumieją się ze sobą. Stołecznych mundurowych żadne z nich nie chciało tu

widzieć. Trapiła go jeszcze jedna myśl – skąd oni wszyscy są tacy pewni, że to było zabójstwo, a nie nieszczęśliwy wypadek?



Miasto mówi / Město říká

Miało bliznę. Długą i cienką. Ciągnęła się przez jego miejskie ciało, nierówno dzieląc je na dwie części. Ta po prawej była nieco mniejsza od tej po lewej, ale mieszkało w niej więcej ludzi. Cieszyn to miasto paradoksów. Do operacji, której skutkiem była blizna, doszło jakieś sto lat temu. Rana zdołała się zabiźnić, jednak, jak to z takimi znamionami bywa, nigdy nie znikają całkowicie. Już zawsze przypominają o niemiłych wypadkach, które doprowadziły do ich powstania.

Tego poranka miasto nie było zadowolone. Ktoś śmiał położyć na jego bliźnie trupa! Od rana policjanci z jednej i drugiej strony urządzali sobie awantury w newralgicznym punkcie Cieszyna. To bolało. Miasto przypuszczało, że teraz będzie już tylko gorzej. Że rozpęta się piekło. Dotąd do takich kryminalnych numerów dochodziło tu raczej z rzadka. A do morderstwa to już naprawdę prawie wcale. Cieszyn z zaniepokojeniem przyglądał się tej chudej i rudej Lidušce oraz przedwcześnie posiwiąłemu Luckowi. Wiedział, że para będzie się musiała dogadać, by złapać i wyeliminować tego, kto zakłócił spokój i porządek na tej ziemi. A z pewnością nie przyjdzie im to łatwo.

Miasto przyjrzało się też innym swoim lokatorom.

W ten wczesny poranek w przydworcowym hotelu Čity snem sprawiedliwych spali pewien detektyw i jego pies. W tym czasie ich ukochana Róża kroczyła rażno w stronę drukarni Matěja Heczki i już za chwilę miała odkryć, że doszło do morderstwa. A potem oczywiście, jak to zwykła praktykować, wtrącić się w poszukiwania zabójcy.

Jiří Krásnohorský miał jeszcze dobre kilka godzin do chwili, w której rozzwoni się jego budzik. Hospodę otwierał dopiero w południe, mógł się więc wyspać. Zwłaszcza że zapaść w drzemkę udało mu się dopiero niedawno. Korzystał z tej możliwości skwapliwie, jednocześnie śniąc o wielkim, tylko czeskim Cieszynie. Widział w nocnych marach, jak czeski bohater (mający dziwnym trafem podobne do niego rysy twarzy) wjeżdża na gniadym koniu na Górę Zamkową i odbija posiadłość dla swojego kraju. Potem Jiří przewrócił się na drugi bok, a jego myśli odleciały w kierunku dużego, soczystego kotleta, którego zamarzył sobie zjeść na obiad.

Matěj Heczka, właściciel drukarni, która stała u brzegów Olzy, tuż przy moście Przyjaźni, już nie spał. Od zawsze był rannym ptaszkiem. Zastanawiał się nad swoim życiem, popijając poranną herbatę. O tej porze, gdy nikt mu nie przeszkadzał, bo żona Eliška i dzieci nie wynurzyły się jeszcze ze swoich sypialni, jego myśli były najbardziej klarowne. Opróżnił więc szklankę i uruchomił telewizor, by bez dźwięku – nie przeszkadzając rodzinie – obejrzeć wiadomości. Z kolei Gustaw von Habsburg, podobno potomek sławnej arystokratycznej rodziny (który, swoją drogą, z pewnością nie wpuściłby na teren zamku tego niewydarzonego najeźdźcy o twarzy Jurka Krasnogórskiego), znajdował się w specyficznej sytuacji. Bo ani nie był już przebudzony, ani nie spał.

Gustaw von Habsburg nie żył.



Wiedziałem. No po prostu wiedziałem, że to się tak skończy. Prawie każdy nasz wyjazd przynosił kryminalne „atrakcje”. Morderstwo. Śledztwo. I obwąchiwanie trupa zamiast spacerków, wylegiwania się brzuchem do góry, podgryzania miejscowych yorków i podprowadzania szynki z talerza podczas śniadania.

Zaczęło się już drugiego dnia naszego pobytu w Cieszynie. Z samego rana, kiedy jeszcze spałem jako ten aniołek na poduszce Róży, ta wpar-

wała najpierw do kibelka, potem zajęczała przesuwными drzwiami i wbiła do sypialni.

– Trup! – wrzasnęła zamiast „Dzień dobry, kochany Guciuniu, oto twoje pęto kiełbasy śląskiej”.

Zarówno ja, jak i Solański z niechęcią unieśliśmy powieki. W nocy nie mogliśmy spać, bo jakieś gamonie uparły się, żeby podróżować pociągami o nieludzkiej godzinie, w związku z czym lokomotywy zgrzytały nam pod oknem i co rusz wyrzywały nas z drzemki. A teraz Kwiatkowska... Przy okazji muszę się usprawiedliwić. Czasem nazywam Różę panińskim mianem. Robię to z przyzwyczajenia. Tylko jej nie mówcie, bo jest na tym punkcie bardzo drażliwa.

– Wstawać! – zażądała. – Na moście leży trup. Polscy gliniarze awanturowują się z czeskimi! – relacjonowała.

– Każdy chce przejąć sprawę? – wymamrotał Szymon w poduszkę.

– Nikt nie chce! – obwieściła Róża. – Ale z tego, co podsłuchałam, wynika, że będą musieli wspólnie poprowadzić śledztwo. Bo ten nieboszczyk ułożył się dokładnie na granicy. Pół w Polsce go było, pół w Czechach! – powiedziała i zdarła z nas kołdrę. Tak po prawdzie kusiło mnie, by głośno zaprotestować, że przecież w Schronisku dla Bezdomnych Zwierząt w Chorzowie, skąd adoptował mnie Szymon, nie miałem kołdry, więc teraz ona mi się po prostu należała. Zmilczałem jednak.

– Będiesz o tym pisać? – zgadł detektyw.

– Ruszajcie się! – zaapelowała Solańska.

Chciał nie chciał, musieliśmy zwlec się z wyra.

Zanim ruszyliśmy w miasto, zeszliśmy na śniadanie do La Bamby. Tam ta sama miła blondynka, która dzień wcześniej przywitała nas w recepcji, podała ludzinie napoje i zapytała, co chcą na ciepło do żarcia z menu. Solański wziął do ręki zalaminowany, żółty snídaňový lístek i przejrzał go z miną półgłówka. Od razu skumałem, że nic nie rozumie. Nie zamierzał jednak prezentować światu swojej ignorancji językowej i po prostu na chybił trafił wskazał na coś ze spisu. Kelnerka kiwnęła głową i się oddaliła.

Człowieki się posilały tym, co zgarnęły ze szwedzkiego stołu, podtykając mi co lepsze kąski ze swoich talerzy. Kiedy tylko na moment zapominali o swojej powinności, szturchałem ich mokrym nosem i od razu dostawałem, co mi prawnie przysługuje. Wróciła blondynka z tacą i przed Solańskim położyła talerz, na którym pyszniły się dwa ogromne naleśniki z kremem czekoladowym. Nie muszę chyba mówić, kto się na nie rzucił jako pierwszy?

Konsumpcję przerwał dzwonek telefonu. Róża, wycierając serwetką na brązowo umazane usta, odebrała połączenie.

– Halo? – powiedziała niewyraźnie, przeżuwając naleśnika. Wokół warg wciąż miała obwódkę z czekolady... – No tak – rzekła do słuchawki. – Dobrze, będziemy.

Rozłączyła się.

– Gdzie będziemy? – zapytał Solański, odzyskując swój talerz. – Kto to był?

– Grażyna – odparła enigmatycznie Kwiatkowska.

Co za Grażyna, dowiedzieliśmy się po drodze do polskiej części miasta.

Trupa już zabrano. Technicy pozbierali ślady i uprzątnięto most. Ja i tak wyczułem swoim nochem, co tu się wyrabiało jeszcze parę godzin temu. Wzdrygnąłem się i zjeżyłem sierść. Przedyrдалиśmy obok zamku i skręciliśmy w tę ich reprezentacyjną ulicę Głęboką. Nawet spotkaliśmy kilkoro przechodniów. Widocznie tylko popołudniami ukrywali się przed światem. Wreszcie dotarliśmy do ratusza.

– To tu – rzekła Róża, łapiąc oddech. Zziajała się nieproporcjonalnie do stopnia trudności przebytej trasy.

– Co tu? – Solański nie rozumiał.

– Tu nas przyjmie Grażyna.

Weszliśmy do środka i od razu jakiś cieciu pokierował nas do gabinetu rzeczonoj. Wkroczyliśmy w jej włości jak do siebie i w nagrodę na miejscu zastaliśmy nie jedną Grażynę, jak się okazało, a dwie.

– Grażyna – przedstawiła się kobieta w granatowej garsonce i podała ludzinie rękę. Nachyliła się też nade mną i pogłaskała po łebku.

– Grażyna. – Druga z niewiast, ubrana w garsonkę czerwoną, także przystąpiła do autoprezentacji.

Jeśli to nie był czeski film, to ja już nie wiem, co nim mogłoby być...

– Usiądźmy – zaproponowała ta granatowa.

Spełniliśmy więc jej prośbę i zgromadziliśmy się wokół stołu o jajowatym blacie, który zagracał z połowę całego pomieszczenia. Znaczący ja ulokowałem się pod meblem, bo to jest zawsze najbardziej strategiczna pozycja. Ani jedno słowo z toczącej się nad moją głową dyskusji mi nie umknęło. Nie umknęły mi też złośliwe spojrzenia różnych facjat uwiecznionych na portretach, które w rzędzie wisiały na ścianach gabinetu. Dopiero po chwili, dzięki stosownym podpisom, zorientowałem się, że to poprzednicy Grażyny na stanowisku burmistrza tak się na nas nieprzychylnie lampią (przysięgam!).

– Stała się tragedia! – powiedziała Grażyna pierwsza.

– Także wizerunkowa – dodała Grażyna druga. Z dziwnym akcentem. Mówiła dobrze po polsku, ale z pewnością nie był to jej ojczysty język. – Dla obu naszych miast. Cieszynów.

– Więc pani – przerwał jej Solański – jest burmistrznią Czeskiego Cieszyna?

– Ano.

– A pani – zwrócił się do Grażyny numer jeden – polskiego?

– Tak.

– I macie tak samo na imię? – Detektyw stracił na moment rozeznanie w sytuacji personalnej.

– Zbieg okoliczności, panie Solański – upomniała go polska polityczka. – Chodzi o morderstwo. Na moście Przyjaźni. I, jak zauważyła moja koleżanka, o dobre imię naszych miast. O złapanie zabójcy oczywiście też – zreflektowała się. – Ale nie zapominajmy, że to są miejscowości turystyczne! Jak pan myśli, panie Szymonie, czy gdy tu się u nas będzie wybi-

jało populację, to przyjadą goście czy nie? – zadała pytanie, ale najwyraźniej retoryczne, ponieważ gładko jechała dalej. – A pani Róża, gdy tylko się poznałyśmy, od razu mi się pochwaliła, że jej mąż jest prywatnym detektywem. Więc ja... my – poprawiła się – sobie pomyślałyśmy, że może pan mógłby nam pomóc. Naszym miastom.

– Cieszynom – uzupełniła jej koleżanka.

– Jak? – zapytał Solański, choć już dobrze, jako i ja, wiedział „jak”.

– Och, no w znalezieniu mordercy! – odparła zniecierpliwiona Grażyna. Pogubiłem się już, która. – Najlepiej przed policją. Bo – ale niech to zostanie między nami – zastrzegła – policja, tak nasza, jak i ta druga, sam pan wie... – urwała. – Różnie to z ich skutecznością bywa, co nie, Grażyna? – poszukała wsparcia u koleżanki, a ta od razu pokiwała na to głową. – A pan wytropił już niejednego przestępcę. Czytałam o panu.

– Możecie oczywiście z nimi współpracować – uzupełniła druga Grażyna. – Z gliniarzami. To nawet lepiej będzie wyglądało. Wam zapłacimy. W budżetach mamy pewne oszczędności. Najwyżej damy mniej na te wszystkie festiwale. Kino na granicy, teatr na granicy, wszystko na granicy, już bez przesadyzmów, są jakieś granice!

– Pani Róża poinformowała nas o pana stawkach. – Znowu odezwała się druga z Grażyn.

A ja sobie pomyślałem, że oho, ktoś tu musi dbać o nasz dobrostan finansowy. Czasem miałem wrażenie, że Szymon to brałby te zlecenia za frajer, tak lubił swoją robotę. Na szczęście miał u boku Kwiatkowską, która może i wyglądała na roztrzepaną, ale liczyć potrafiła.

– No nie wiem – burknął Solański.

I wcale to nie była próba negocjacji. On naprawdę nie wiedział. Pewnie chciał sobie chłopina trochę odpocząć na tych zagranicznych wczasach, a tu znowu morderstwo pukało mu w okienko.

– No dobrze – rzekła któraś z Grażyn. – To dwa razy tyle. Połowa od Polaków, połowa od Czechów, co nie, Grażyna? Zrobi to pan dla nas? Znajdzie tego wszarza, który psuje nam interes?

– Ano tak – powiedział Solański koncyliacyjnie.
Klamka więc zapadła. Przed nami nowe śledztwo do poprowadzenia.

ROZDZIAŁ 2

*Pewnego razu zaszedłem na piwo
do takiej zwyczajnej spelunki^[6].*

Liduška Žrankova co rusz sprzedawała kopa drzewczkom szafki w swoim służbowym biurku. Nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Objawy zespołu niespokojnych nóg potęgowały się u niej w chwilach wzburzenia. A tego dnia była wyjątkowo wściekła. Produkowany przez nią hałas był jednak zagłuszany przez sonatę Księżycową Ludwika van Beethovena, którą puszczała na cały regulator. W komendzie już się nauczyli, by nie zwracać jej na to uwagi. Muzyka pozwalała policjantce skupić myśli. A każda próba przyciszenia odtwarzacza kończyła się jeszcze głośniejszą awanturą, którą rozkręcała rozdrażniona Liduška. Lepiej więc było panią komisarz zostawić w spokoju.

Laminat pokrywający mebel był już zdrowo zarysowany. A i zawiasy zipały ostatkiem sił.

Siedziała w swoim gabinecie w niedawno wybudowanej komendzie przy Sokolovskiej i starała się nie spoglądać przez okno. Czuła – być może irracjonalnie – że jest pod obserwacją. Po drugiej stronie ulicy bowiem, dokładnie *vis-à-vis* policyjnego hangaru, przypominającego raczej jakieś wielkie centrum logistyczne albo magazyn z przesyłkami kurierskimi, mieszkała Markéta. W tym swoim nowoczesnym, modernistycznym domku, który na pierwszy rzut oka wyglądał niepozornie, ale gdy przyjrzało mu się uważniej, od razu było wiadomo, że nie oszczędzano tu na niczym. Wysoki płot z szarych paneli nie zasłaniał wszystkiego – i tak miało być. Markécie zależało, by sąsiedzi i przechodnie widzieli. I widzieli. Że nie mieszka tu byle kto.

Trawnik rozciągający się przed willą był chyba przystrzygany nożyczkami do paznokci – obsesyjnie równy i wypielegnowany. Liduška nigdy nie miała tak znakomicie dopracowanej fryzury jak ten skrawek zieleni. Przy płocie rosły – i o tej porze roku kwitły – piękne magnolie, jednak na tym kończył się florystyczny wystrój ogrodu. Sterylność przede wszystkim! Markéta Čech nie cierpiała nieporządku i chaosu, do których z pewnością by doszło, gdyby przed domem zasadzić więcej krzewów i kwiatów.

Choć w willi mieszkało dwoje dzieci, na podwórku nie sposób było dostrzec żadnych porzuconych zabawek, zjeżdżalni czy piaskownicy. Zagracałyby tylko idealną przestrzeń. Liduška postanowiła sobie, że następnym razem, gdy będzie zmuszona odwiedzić siostrę, przyniesie młodym w prezencie jakieś kłopotliwe utensylia. Nie знаła się na tym. Sama nie miała dzieci. Przypuszczała, że zestaw małego muzyka zrobi robotę.

Odgoniła myśli o Markécie i starała się skupić na śledztwie. Już sama nie wiedziała, co ją bardziej wyprowadza z równowagi: refleksja nad relacjami rodzinnymi czy nad tym nieszczęsnym morderstwem. Przełożeni nie pozostawiali jej złudzeń. Ponieważ ciało znaleziono dokładnie na granicy, trochę w jednym państwie, trochę w drugim, policjanci z obu krajów będą musieli razem przeprowadzić dochodzenie. Czyli ona i Lucjan. Na to miała jeszcze mniejszą ochotę niż na odwiedzin u siostry.

No i ta ofiara. Czy już morderca, kimkolwiek był, nie miał nikogo innego do zabicia, tylko akurat Gustava von Habsburga? Liduška czytała nawet ostatnio o nim w gazecie. Powrócił niedawno do Cieszyna, by odwiedzić niegdyś rodowe włości i by się polansować na ich tle. Serio, koleś tak się nazywał i podobno był potomkiem t y c h Habsburgów, niech go jasny szlag! To znaczyło, że wszyscy – jego rodzina, media, opinia publiczna – będą im patrzeć na ręce. Nie było więc mowy o pomyłkach. „Żadnych potknięć!” – tak jej przykazał stary. A on wiedział, co mówi.

Liduška jeszcze na dobre nie zaczęła pracy, a już była wykończona. Też przez to, że zeszłej nocy prawie w ogóle nie spała. Ledwie zdążyła przyłożyć głowę do poduszki, a zadzwonił dyżurny z informacją o tym umarlaku.

Powinna skończyć z nocnymi eskapadami. Była już na nie za stara. Jeszcze chwila i stuknie jej czterdziestka.

Musiała przesłuchać tego całego Zdenka. Że też to akurat jej sąsiad trafił na ciało. Miała nadzieję, że to czysty przypadek i mężczyzna nie ma nic wspólnego z morderstwem. Tak po prawdzie żal jej było Pecháčki. Odkąd go znała, straszny był z niego maminsynek. A potem jego rodzicielka zmarła i Zdeněk jeszcze bardziej się pogubił. Raz była nawet u niego w mieszkaniu. Chodziło o jakąś kontrolę ze spółdzielni, już dokładnie nie pamiętała. W każdym razie zauważyła wtedy, że sąsiad trzyma na parapecie urnę z prochami matki. Mogłaby się założyć, że z nimi rozmawia podczas posiłków.

Nieśpieszno jej teraz było do wypytywania Pecháčki. Nijak nie mogła jednak zwalić tego na Lucjana. Umowa była taka, że ona zajmuje się czeską stroną śledztwa, w tym wszystkimi świadkami stąd, on zaś działa na polskim poletku.

Westchnąwszy z irytacją, wstała od biurka i mimowolnie zerknęła przez okno. Czy jej się tylko wydawało, czy rzeczywiście dostrzegła Markétę sterczącą przy drzwiach tarasowych na piętrze i wyglądającą zza zasłony? Pewnie wyobraźnia płatała jej figle.

Zdjęła z wieszaka kurtkę, na głowę nałożyła czapkę z daszkiem z logo swojej ulubionej drużyny piłkarskiej FK Český Těšín – w tym względzie była lokalną patriotką. Uciszyła Beethovena i wymknęła się z komendy. W żadnym razie nie chciała się znów natknąć na starego i wysłuchiwać jego dyspozycji. Sama wiedziała, co robić. Jak już zostało powiedziane, nie urodziła się wczoraj i siedziała w policyjnym bagnie po uszy od dawna.

Wskoczyła do swojej skody fabii i przez chwilę zastanawiała się, dokąd jechać. Zerknęła na zegarek. Jeśli będzie miała szczęście, zastanie Zdenka w mieszkaniu. Przekręciła więc kluczyk i najpierw przewalczyła opieszałość stróża, któremu podniesienie szlabanu zajmowało tyle czasu, ile przeciętnemu obywatelowi przebiegnięcie półmaratonu. Potem już z nieprzepisową prędkością pomknęła w stronę ulicy Koperníkovej. Pod blokiem zauważyła, że znowu jakiś jełop zajął jej miejsce parkingowe. Znaczący „jej”

było ono tylko z nazwy. I przyzwyczajenia. Najbliżsi sąsiedzi to respektowali. Jednak raz na jakiś czas trafił się taki gamoń jak ten.

– Żadnych świętości – warknęła.

Wjechała bokiem na trawnik. I tak był wypsiały, więc nie ma o co kruszyć kopii. Wyszła z auta, trzaskając drzwiami. Popatrzyła w górę i się skrzywiła. Nie tyle na widok wielkiej płyty, co słońca, które wychynęło na chwilę zza chmur. Zdecydowanie wolała te brudne zalatujące stęchlizną mury niż schludny dom siostry i wszystko to, co sobą reprezentował. A co było tak dalekie od duszy Liduški jak Cieszyn od jakiegokolwiek morza.

Wbiegła na górę i zapukała do drzwi Zdenka. Zero odpowiedzi. Powtórzyła manewr i przyłożyła ucho do skrzydła. Cisza.

– Zdeněk! – zawołała.

Jednak już wiedziała, że nie ma czego tu szukać. Zawahała się. Powinna wrócić na komendę i ruszyć ze śledztwem, ale skoro już była w bloku... Wbiegła, przeskakując po dwa stopnie, na ostatnie piętro i weszła do swojego mieszkania. Zapaliła światło w przedpokoju. Zasunięte zasłony w oknach sprawiały, że w środku panował mrok niewspółmierny do pory dnia. Powinna tu wywietrzyć. Na podłodze w przedpokoju walały się ulotki reklamujące żarcie na wynos z dowozem do domu, kilka par przechodzonych adidasów i stara dżinsowa kurtka, którą już jakiś tydzień temu miała wrzucić do pralki, ale jej się nie chciało. Zajrzała do sypialni. Łóżko z rozbebeszoną pościelą mrugało do niej porozumiewawczo. Może tylko kwadrans? Co to komu zaszkodzi? Naprawdę była zmęczona. Nie zdejmując puchówki ani butów, zaległa na posłaniu. Zanim na dobre przyłożyła głowę do poduszki, już twardo spała.



Róża Solańska poczuła nieprzyjemny skurcz grających marsza kiszek. A kiedy Róża była głodna, była też zła, zatem w interesie wszystkich było w takiej sytuacji jak najszybciej dostarczyć jej jadło. Inaczej stawała się naprawdę nieznośna.

– To co? – zapytał Szymon. – Po smażonym serze i hranolkach?

Kwiatkowska jęknęła w duchu. Szymon zachowywał się jak typowy turysta z Polski. Rodacy nic innego nie spożywali w Czechach, tylko wspomniany zestaw. No, czasem się komu jeszcze przytrafiły knedliki. Róża – która czuła się w Czeskim Cieszynie już niemal jak rodowita mieszkanka – powzięła decyzję. Otworzy przed mężem cały wachlarz dobroci kuchni południowych sąsiadów i zrobi z niego tubylca! Bo jak na razie jeszcze tylko brakowało, żeby poszedł do tych Filipińców przy moście i kupił ciastka z marihuaną. Kwiatkowska fascynację tym produktem miała już dawno za sobą. To był tombak dla przyjezdnych. W ogóle – co przyznawała z żalem – nie zapewniał żadnych atrakcji zmysłowych. Nawet gdy dla lepszych efektów pochłonęła całe opakowanie za jednym posiedzeniem. Smakował ohydnie. Trochę jak płyn do mycia naczyń. Róża przypuszczała, że sama potrafiłaby upiec lepsze ciastka niż to świństwo. A to już o czymś świadczyło...

W tych swoich kulinarnych rozważaniach jakoś zapominała o tym, że sama regularnie prosiła Szymona, by ten dowoził jej polskie produkty żywnościowe. Pamięć miała wybiórczą i już!

– U Vávry coś zjemy – uznała.

I poprowadziła męża na ulicę Sokola Tůmy, gdzie pod numerem czwartym mieściła się całkiem przyjemna hospoda. Schodziło się do niej po schodkach, a w środku wpadało wprost na wielką kadź do warzenia piwa. Róża przypuszczała, że to tylko element ozdobny, ale i tak robił klimat.

Usiedli przy drewnianej ławie pod ścianą. Jak za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki zmaterializował się obok nich kelner.

– Piweczko? – zapytał.

Solańskiemu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Z ochotą zgodził się na zamówienie i zagapił w menu.

– Smażony ser i hranolky! Dwa razy! – zawołał za kelnerem, a Róża z uwagą przyjrzała się wymalowanemu na ścianie naprzeciwko zabytkowemu samochodowi z napisem: „Prazdroj” na naczepie.

Byli właśnie w połowie konsumpcji dania i już po dwóch „piweczkach” donoszonych taśmowo przez kelnera, gdy do Vávry wparował jakiś dziwny przybysz. Być może „wparował” nie było odpowiednim określeniem. Facet niemal zjechał na tyłku po schodach i zatrzymał się dopiero przy kadzi. Wsparł się na barze.

– Piweczko! – zażądał, waląc pięścią w ladę.

Widocznie taka obowiązywała w tym przybytku nomenklatura.

A potem klapnął na wysoki stołek i złożył głowę na ramionach.

– Na krechę – powiedział dopiero, gdy kelner nalał mu browar.

– Tonda! Znowu? – zniesmaczył się mężczyzna.

– No co ja ci poradzę? – wyjęczał Tonda. – Problemy w interesach.

– Interesach – wymamrotał kelner w taki sposób, jakby wypuszczał ze zniecierpliwieniem powietrze.

– Każdy orze jak może. Oddam ci! – zapewnił. – Nie moja wina! Nie wszyscy klienci są uczciwi. A ja jestem taki łatwowierny – rozgadał się. – Naciąłem się kolejny raz. I to na kim! – Pociągnął solidny łyk, a na jego górnej wardze osiadła piana z piweczka. – Na tym cholernym Gustawie! Habsburgu! – wyjawiał niepytany. – A niby taki z niego arystokrata!

Róża, która po kilku miesiącach w Cieszynie rozumiała coraz więcej z języka sąsiadów, teraz nie miała najmniejszego problemu z przyswojeniem sobie wypowiedzi facecika. Swoją drogą, głęboko zastanawiała się, jakiego rodzaju interesy prowadzi rzeczony. Wyglądał raczej niechlujnie, ubrany w podbitą sztucznym i przybrudzonym futerkiem dżinsową kurtkę oraz mocno ufajdane spodnie z tego samego materiału. Włosy miał nieprzystrzyżone i tłustawe. Był przesadnie szczupły, a na twarzy wyhodował dość obleśny czarny zarost.

– Co on gada? – zainteresował się Solański, który już zdążył opędzlować swój talerz, a teraz łakomie spoglądał na resztki smażonego sera na talerzu żony. – Jesz to jeszcze?

Kwiatkowska podetknęła mu danie i przetłumaczyła rozmowę.

Czyżby trafili na podejrzanego? Czy ten menelik mógł zamordować Gustawa von Habsburga, bo nie uregulował rachunków po jakimś szemranym interesie?

– Idę do hajzlika – rzekła Róża i wstała od stołu.

Kiedy przechodziła obok baru, poczuła dziwnie znajomy słodkawo-ziołowy zapach dobiegający od Tondy. Zmarszczyła brwi i pchnęła drewniane skrzydła drzwi rodem z westernu prowadzące do toalety. O tym, że obrała właściwy kierunek, świadczył napis przy wejściu: „hajzlik”.



Będę musiał poważnie porozmawiać z moim panem. No bo sami powiedzcie, co to ma być, że spośród tak szerokiego mięsiwa oferowanego przez kuchnię czeską (z drugiej strony, jeszcze nie widziałem, żeby tu gdzie żarli jaką surówkę) Solański ciągle wybierał ten nieszczęsny ser. Smażony. Dobrze to nawet było – spróbowałem, choć robiłem przy tym tak zwane długie zęby – ale bez przesady. Lepszy byłby gulasz z knedliczkami.

Zasiadłem pod ławą U Vávry i przemyślałem, czyby nie podejść do stolika naprzeciw i nie podprowadzić czego z talerzy tamtejszych biesiadników, gdy nagle wszyscy zaczęli łązić, jakby zamienili się w stado rozwścieczonych mrówek. Najpierw przyłazł do hospody ten obdartus, od którego na kilometr dawało trawą. Potem Róża udała się do wychodka. W tym czasie zaś do piwnicznego pomieszczenia przybył jakiś zachudzony chłopina, ubrany w koszulę z kołnierzykiem i odprasowane liche portki. Zasiadł po przekątnej do nas i przyjął od tego kopniętego kelnera piweczko.

To jednak nie był koniec manewrów na froncie. Zaraz za nim zawitała w progach Vávry jeszcze ruda i szczupła kobitka w bejsbolówce na głowie. Rozejrzała się podejrzliwie po sali. Na zbyt długą chwilę zawiesiła wzrok na Szymonie. Potem dostrzegła tego w kancik. Już miała do niego dołączyć, ale powstrzymała się w pół ruchu. Najpierw udała się do baru, gdzie nabyła... nie zgadniecie co. Piweczko! Potem już się nie krępowiła i zasiadła naprzeciw zmarniałego faceta.

Być może moje inne zmysły, takie jak wzrok czy słuch, nie funkcjonują pełną parą – gdy będziecie mieć dziesięć lat na karku, sami zobaczycie, że starość nie radość, młodość nie wieczność – ale nochal mam pierwsza klasa. Dlatego mogę się pokusić o stwierdzenie, że w nowo przybyłej kobiecie bez pudła rozpoznałem psa! Czeskiego psa! W sensie policjantkę, bo nie sądzę, by pochodzące z kraju naszych południowych sąsiadów czworonogi różniły się aż tak drastycznie od nas – psów polskich.

Solański też łykał na nią podejrzliwie. Powody jego zainteresowania mogłyby być jednak zgoła odmienne od moich... Wszystko to do czasu, gdy z wuceta wróciła Kwiatkowska. Od razu wyczaiła, że jej mąż ślepi tam, gdzie nie trzeba, i przystąpiła do przeprowadzania interwencji.

– Co jest? – zapytała głośno i wyraźnie.

– Szszsz – zasyczał na nią detektyw. – Podsluchuję – przyznał się. – Ale mało kumam, bo oni po czesku... Więc może ty?

Bredził nieskładnie, ale Róża go najwyraźniej zrozumiała. I nadstawiła ucha (jej radary działały całkiem spoko).

– Co oni mówią? – Tym razem niedyskretnie dociekał Solański.

– Szszsz! – usłyszał w odpowiedzi.

Przyjrzałem się inwigilowanej parze. Facet wyglądał na zestrachanego. Kobieta na zmęczoną.

– To on znalazł trupa! – donosiła Róża półgłosem. – Tego na moście. Nazywa się Gustaw von Habsburg. Ten nieboszczyk. Przypadkiem go znalazł, gdy szedł do roboty w tej fabryce szymonków! – Róża przerwała wywód i zarżała. – Musimy tam pójść z wizytą. – Popatrzyła na męża wymownie. – Ten w kancik ma na imię Zdeněk – relacjonowała dalej. – A ona to Liduška. Są sąsiadami.

Naprawdę byłem zdumiony zdolnościami językowymi naszej przyjaciółki. Czeski – co by nie mówić, podobny do polskiego – musiał jej wyjątkowo przypasować. Do innych narzeczy raczej nie miała talentu. Gdyby to ją Adaś Miauczyński odpytał z odmiany czasownika „być” po angielsku, brzmiałoby to jeszcze gorzej niż „to am”. W każdym razie dzięki dzienni-

karce zdobyliśmy sporo informacji przydatnych w naszym śledztwie. I poznaliśmy policistkę – jak wyraziła się Róża – która kierowała oficjalnym dochodzeniem ze strony czeskiej. Nasze dokonania zasługiwały na nagrodę. Na przykład w postaci tego kotleta, którego nieopatrznie zostawił na talerzu jeden z siedzących nieopodal klientów i udał się do hajzlika!



Solański sam nie wierzył, że dał się Róży namówić na coś takiego. Chyba musiało mu coś zaszwankować pod kopułą zaraz po przekroczeniu polsko-czeskiej granicy. W normalnych okolicznościach w życiu nie poszedłby przecież na potańcówkę!

A tymczasem już drugiego wieczoru w Czeskim Cieszynie stał pod ścianą w zatłoczonej, zalatującej potem i starym olejem sali dawnej strzelnicy, a jego stopa – zyskując, zdaje się, jakieś osobne od właściciela życie – podrygiwała w takt *Malovaný džbánku* Helenki Vondráčkovéj. Oprzytomniał gdzieś przy „*nocy má na kahánku*”. Zdyscyplinował stopę.

Róża za to była w swoim żywiole. Nałożyła jakąś kieckę, której Szymon wcześniej nie widział. Kręciła się wokół własnej osi, a czerwony materiał furgotał, przy bardziej gwałtownych ruchach odsłaniając przed opinią publiczną bieliznę dziennikarki. Prawdziwego fioła dostała, gdy z głośników popłynął pierwszy wers skocznej piosenki Karela Gotta.

– „*Páni a paní, vím, jak se ruší žal!*”^[Z] – zawtórowała pieśniarzowi Róża.

Tak szalała na parkiecie, że wreszcie zderzyła się z jakimś facetem w średnim wieku. (Młodzieży to tu w ogóle nie było. Impreza raczej dla boomerów). Nadepnęła mu na stopę (boleśnie – co można było stwierdzić po jego wykrzywionej minie), straciła równowagę i nie wyłożyła się jak długa na podłogę tylko dlatego, że zdążyła ją podtrzymać partnerka faceta. Szymon też nadciągnął z odsieczą. Cieszył się, że zostawili Gucia w pokoju hotelowym. Po pierwsze, nie wytrzymałby tych hałasów. Po drugie zaś, z pewnością ktoś (najpewniej Kwiatkowska) nastąpiłby mu na łapę.

– Wszystko w porządku? – spytał detektyw, obejmując żonę w pasie.

– To jest Matěj! – Róża przedstawiła elegancika. Na pierwszy rzut oka wyglądał Solańskiemu na katechetę. Nie sądził jednak, by w Czechach był to popularny zawód. I się nie pomylił. – Właściciel drukarni – kontynuowała prezentację dziennikarka. – Tej przy moście Przyjaźni. Tam jest drukowana nasza gazeta.

– A to Eliška – odezwał się Matěj Heczko. – Moja żona. Aktorka – pochwalił się.

Solański dałby sobie głowę uciąć, że córka. Widocznie jednak Heczko – odnoszący sukcesy biznesmen – złowił sobie o połowę młodszą drugą połówkę. Eliška była kobietą efektowną. Wszystko było w niej idealne: skromna, ale szykowna sukienka, doskonały manicure, fryzura, która nie rozwaliała się w tańcu, a mimo to nie wyglądała na sztucznie usztywnioną, biały uśmiech hollywoodzkiej gwiazdy. Matějowi właściwie też niczego nie brakowało – był schludny i elegancki – jednak z pewnością stał niżej w hierarchii atrakcyjności i klasy od swojej żony.

Tyle zdążył zauważyć detektyw. Po jakimś czasie poszedł się na chwilę schować w szatni. Przeczekać. Natknął się tam na... Heczkę, który oklepywał się po kieszeniach. Pewnie zgubił numererek. Być może tu też obowiązywała zasada: „nie mamy pańskiego płaszcza i co pan nam zrobi”.

Szymon wrócił na salę, a tam rządził właśnie hit wciąż czeski, jednak o wiele bardziej współczesny niż poprzednie.

„Vyřvi se! Nebe už se káci”^[8] – śpiewała w rockowych rytmach Ewa Farna.

Szymon uznał, że jeżeli prędko stąd nie wyjdzie, to niebo rzeczywiście spadnie mu na łeb. I nigdy nic więcej już nie będzie takie samo.



Starszy aspirant Lucjan Kordel zamówił bułkę ze śledziem i sałatką jarzynową w sklepie PSS Społem na Głębokiej. Zasiadł przy jednym ze stolików w części jadalnej i z euforią zabrał się do konsumpcji. Zastanawiał się, czyby sobie nie dokupić jeszcze jednej, ale uznał, że nie będzie się narażał

Iwonce. Nie byłaby zadowolona, gdyby znowu, zapchawszy się uprzednio bułami z rybą, nie chciał zjeść obiadu, który ugotowała.

Lucjan nic na to nie mógł poradzić, że to był jego ulubiony rarytas. Najchętniej nie żywiłby się niczym innym, tylko tym gastronomicznym wynalazkiem przybyłym do Cieszyna podobno dzięki wymianie handlowej z Islandczykami. Cieszyn dał wyspiarzom wafelki, a oni cieszynianom rybę. Miejscowe gospodynie od razu wpadły na pomysł, by właśnie w ten sposób zagospodarować nadmiar śledzia, i proszę bardzo – teraz mieli lokalną przekąskę, którą mogli wciskać turystom.

Niektórych pracowników komendy policji nie trzeba było nawet przymuszać do konsumpcji...

Lucjan wytarł usta papierową serwetką i wyszedł na dwór. W żabce kupił sobie napój gazowany – najchętniej sięgnąłby po brackie, ale był przecież na służbie – i opróżnił butelkę w kilku łykach. Dumał, co by tu teraz zrobić. Powinien ruszyć z kopyta ze śledztwem. W końcu mieli u siebie morderstwo. Jednak po tym, gdy zobaczył Liduškę, nie mógł się jakoś pozbierać. Do tego Grażyna zarządziła zebranie dziś po południu w swoim gabinecie, więc właściwie tylko już na nie czekał. Prawda była taka, że w obu przygranicznych miastach rządziły dwie Grażyny. Od nich tu wszystko zależało i nic nie wydarzyło się bez ich wiedzy. Co nie było złe, bo kobiety miały łeb na karku. A raczej łby! Może podsuną im właściwy kierunek śledztwa? Nie obraziłby się.

Lucjan zachodził w głowę, kto mógł zabić tego całego Habsburga. Facet, owszem, był dziwny, robił z siebie wielkie halo i pewnie komuś mógł się nie spodobać. Ale żeby od razu go zabijać?

Kordel przysiadł na ławeczce i wyjął komórkę, na którą ostatnio kupił sobie specjalną nakładkę ochronną z emblematem Piasta Cieszyn. Zimno było jak na tę porę roku – wedle statystyk tak niskie temperatury w kwietniu występowały raz na dekadę – pożałował, że nie posłuchał żony i nie ubrał się cieplej. A upominała go rano przed wyjściem do pracy. Zlekceważył ostrzeżenia i teraz miał się z pyszna.

Rozłączył się po drugim dzwonku i wyciszył telefon. Zmienił zdanie w kwestii rodzinnych pogawędek. Zawrócił do sklepu po kolejną bułkę ze śledziem.



Szymon wszedł do ratusza i ruszył znanym już sobie korytarzem do gabinetu burmistrzynie. Towarzyszył mu tylko Gucio. Róża musiała iść do pracy. W progu zderzył się z jakimś przedwcześnie posiwiiałym chudzielcem. Facet niby wychodził z pokoju, ale zaraz zawrócił i przyglądając się bez słowa detektywowi oraz jego psu, usiadł przy stole konferencyjnym. Solański pomyślał, że skoro mężczyzna nie uznał za stosowne mu się przedstawić, to i on będzie milczał. Ulokował się tak daleko od faceta, jak to było możliwe. Detektyw starał się nie zerkać w stronę szpakowatego, jednak i tak kątem oka widział, że chłop gapi się na niego bez krępacji. Szymon powiercił się na krześle. Czyżby Grażyna się spóźniała?

Nagle za ich plecami trzasnęły drzwi i w progu stanęła... czeska policjantka z hospody U Vávry! Jak jej było na imię...?

– Liduška! – Jego towarzysz najwyraźniej też znał nowo przybyłą i był równie zaskoczony jej pojawieniem się w ratuszu. – Co tu robisz?

– Pewnie to samo, co ty – warknęła. Mówiła po polsku, ale było słychać, że to nie jest jej pierwszy język. – A ten to kto? – Bez żenady wskazała palcem na Solańskiego, jednak szybko straciła nim zainteresowanie.

– *Pes!* – zawołała na widok Gucia, który wychynął spod stołu. I wzięła się do głaskania.

Kundelka nie trzeba było zachęcać do pieszczot. Nadstawiał się łaskawie. A Szymon przyglądał się kobiecie i rudemu warkoczowi spływającemu na jej praktycznie płaską klatkę piersiową. Miała oryginalną urodę. Nie była ładna. Brzydka niby też nie. Mogłaby zagrać Anię z Zielonego Wzgórza, gdyby planowano nową ekranizację. Przy czym musiałyby to być adaptacja któregoś z późniejszych tomów autorstwa Lucy Maud Montgomery, ponieważ funkcjonariuszka nie była już najmłodsza. Może nieznacznie starsza od

Szymona? Jej bladozielone oczy spoglądały na Gucia dobrotliwie. Zmarszczki mimiczne wokół ust, w kącikach oczu i na czole mogły świadczyć o częstych zmartwieniach kobiety.

Solański otrząsnął się z rozmyślań. Poczuł na sobie wzrok mężczyzny. Facet widział, że detektyw przygląda się Lidušce, i patrzył na niego z ewidentnym oburzeniem. Ciekawe...

– Przepraszamy za spóźnienie! – Do gabinetu weszły obie Grażyny.

Znów odziane w garsonki, tym razem bordową i zieloną. Solański zastanawiał się, czy co rano konsultowały ze sobą telefonicznie planowany ubiór, żeby, broń Boże, nie sięgnąć po podobne stroje tego samego dnia. A pewnie często je razem fotografowano. Oba Cieszyny wciąż organizowały coś wspólnie. Szymon to wiedział, bo pokusił się o lekturę „Wiadomości Ratuszowych”, które można sobie było wziąć za darmo przy wejściu do budynku.

– Dziękujemy, że wszyscy państwo przyszli – rzekła druga z Grażyn. – Myślę, że dojdziemy do porozumienia...

– W jakiej kwestii? – chciała wiedzieć Liduška.

– W kwestii morderstwa oczywiście – wyjaśniła pierwsza z burmistrzów.

– A co on ma do tego? – Czeska policjantka znów wskazała na Szymona.

– To jest prywatny detektyw – obwieściła Grażyna.

– Którego zatrudniłyśmy! – zawtórowała jej koleżanka po fachu. – Do pomocy – tłumaczyła. – Czeskiej – wskazała na Liduškę – i polskiej – kiwnęła w stronę Lucjana – policji. – Solański widział, że blade dotąd oblicze funkcjonariuszki coraz bardziej czerwienieje.

– Volovina!^[9] – Liduška wyraziła się, zdaniem Szymona, zupełnie od czapy.

– Wolę smażony ser – wyrwało mu się. – I hranolky. Sos tatarski też się dobrze komponuje.

Policjantka zmierzyła go złym wzrokiem. Nachyliła się ku niemu i wyszczała:

– Seru na to!^[10]

– No to przecież mówię – zgodził się Solański.

– Proszę państwa, powściągnijmy emocje – zaapelowała Grażyna, w opinii Szymona zupełnie niepotrzebnie.

Przecież kulturalnie tu sobie rozmawiali o czeskiej kuchni. A to, że nie zgadzali się co do wyboru dań – opcji wegetariańskiej czy mięsnej – to jeszcze nie powód do niesnasek. Nie rozumiał też, dlaczego teraz dla odmiany ten cały Lucjan, czy jak mu tam było, strzelił buraka na twarzy i... chichotał?! Doprawdy dziwne tu mieli obyczaje...

– Chciałyśmy, by państwo się wzajemnie poznali, co nie, Grażyna? – podjęła druga burmistrzynie. – Znaczy wy już się znacie – zwróciła się do gliniarzy i popatrzyła na nich znacząco. – Służmy sobie wszyscy wzajemną pomocą. Przecież chodzi nam o to samo – o złapanie tego zwyrodnialca, który zepsuł nam szyki marketingowe!

Na to rozległo się chrząkanie drugiej z Grażyn.

– Znaczy, który zabił tego nieszczęsnego Habsburga – poprawiła się.

– Popírám!^[11] – Liduška powiedziała to wyjątkowo nieprzyjemnym tonem.

– No to po co te nerwy? – chciał wiedzieć Solański.

– Ty hajzle!^[12] – zwróciła się doń policjantka.

I teraz to już coś detektywowi zaświtało... To określenie już gdzieś słyszał. I, z tego co pamiętał, nie wiązało się z niczym sympatycznym!

Zanim konfrontacja zeszła na niższy poziom lingwistyczny i kulturalny, Grażyny zakończyły spotkanie. Nakazały całej trójce komunikować się ze sobą – wymusiły na nich wymianę numerów telefonów (Szymon wpisał policjantkę pod hasłem: „Ruda Małpa”) – i jak najszybciej schwytać mordercę.

Jakby to było takie proste!

Grażyny chyba nie słyszały nigdy powiedzenia o tych kucharkach, których jest sześć i wokół których wszyscy chodzą głodni!



Miałem wrażenie, że Solański żałuje, że Róża nie wzięła udziału w spotkaniu na szczycie z Grażynami. Czuł – pewnie całkiem słusznie – że wyszedł na tak zwanego tata-wariata. Chyba nie do końca się zrozumieli z rudą policjantką. Gdyby była z nim Kwiatkowska, to – po pierwsze – więcej by kumała z tych wypowiedzi po czesku (rzucanych zapewne złośliwie, skoro Liduška mówiła w języku sąsiadów), a po drugie – z nią jeszcze nikt nigdy nie wygrał, jeśli chodziło o pyskowanie, więc i Žrankova odpadłaby w przedbiegach. Mleko się jednak już rozlało.

Szliśmy na spotkanie z Różyczką, która powiedziała, że śledztwo śledztwem, ale ona musi – inaczej się udusi – pokazać nam piękno Cieszyna. Gdy zaczęła wymieniać zabytki, które mamy koniecznie zaliczyć, aż mnie zmroziło z przerażenia. No bo co to ma być, że niby taka pipidowa, a lista atrakcji nie do wyczerpania chyba nawet przez miesiąc pobytu. Przecież moje łapki (zważcie na fakt, że trzy, a nie cztery, jak w ustawieniach fabrycznych) mają ograniczone możliwości!

W każdym razie zaczęliśmy od zamku.

Nasza przewodniczka czekała już na nas pod jedną z magnolii rozkwitłych przy wejściu do bocznego pałacowego budynku – dawnej oranżerii, jak się zaraz dowiedzieliśmy (choć wcale nie dopytywaliśmy o szczegóły historyczne). Róża Różyczką, ale tuż obok niej tkwił jakiś jelen! Stałem jak wryty! Podwinąłem przednią łapkę, jak na prawdziwego psa myśliwskiego przystało. Wyszczrzyłem kły. I wydałem z siebie złowrogi pomruk. Wściekłym się jeszcze bardziej na widok tak ogromnego oponenta (musicie wiedzieć, że jeśli atakuję, to tylko większych od siebie, w końcu swój honor trzeba mieć), ale coś mi w nim nie pasowało... Coś sprawiało, że zwątpiłem... Dopiero po chwili zrozumiałem, o co chodzi.

Ten jelen był różowy!

Lepiej więc z nim nie zaczynać. Mógł być wściekły. Albo cierpieć na jakieś zakaźne choróbko. Pociągnąłem Solańskiego za smycz i wkroczyli-

śmy do tej oranżerii. Nic tam jednak ciekawego nie zastaliśmy. Jakieś *modern art*, nic, co by do mnie przemawiało. Ja to jestem prosty chłopak z Chorzowa. Pokażcie mi namalowaną martwą naturę – docenię. Naszkicowanego konia – jak najbardziej. Gołą grubą babę, w jakich ten cały Rubens się lubował – jak cię mogę. Natomiast nie te wykwyty spaczony wyobraźni współczesnych nie zrównoważonych psychicznie artystów, którzy nie potrafią narysować zwykłego psa (w ich wykonaniu wygląda jak spokraczona wiewiórka), więc wymyślają jakieś bezsensy, wmawiając wszystkim dookoła, że to jest wielkie coś. Tymczasem nie jest. Tak brzmi moja opinia o nowoczesnej sztuce i jej nie zmienię!

Na szczęście nie musieliśmy tam długo tkwić. Wyszliśmy tyłem, by trafić znów na kolejne magnolie (czy miejski ogrodnik dostał jakiś rabat na sadzonki konkretnie tego drzewka, że tyle tu tego było?) i uliczkę cieszyńskich kobiet – tak się nazywała. Wystawiono nawet specjalną tablicę, na której zaprezentowano wybitne miejscowe niewiasty. Po oczach Róży widziałem, że chętnie by się znalazła na tej zacnej liście. O, na przykład obok tej Alicji Szymon – z opisu sądząc, właścicielki fabryki cukierków, która rozślawiła Cieszyn nie tylko na całą Polskę, ale i świat. A jeżeli kto jej – Kwiatkowskiej – tam dobrowolnie nie dopisze, to rzeczona weźmie marker, przyjdzie tu nocą i uzupełni braki. Istniało takie zagrożenie.

Czym prędzej poprowadziłem moich człowieków dalej, bo nie chciałem tu żadnej draki.

Na tyłach pałacu czekało na nas jeszcze więcej atrakcji. Trudno nie wspomnieć o postawionej tam nie wiedzieć po co trampolinie, na którą Kwiatkowska oczywiście z miejsca wlaźła.

– Hopsadło!^[13] – wydarła się.

I zgodnie z groźbą skoczyła.

Mam nadzieję, że nie mają w tym miejscu monitoringu, ponieważ w takiej sytuacji zaraz wykryją, kto im zrobił wielką dziurę w tym ich hopsadle, a nam przyjdzie za zniszczenia słono zapłacić...

Dopiero co słyszałem, jak jedna z Grażyn strofuje Solańskiego, gdy chwalił, jakie to ładne miasto, ten Cieszyn.

– Księstwo, panie detektywie – poprawiła go. – Znalazł się pan w Księstwie Cieszyńskim! – powtórzyła dobitnie.

Dlatego właściwie nie zdziwiła mnie obecność – wprawdzie znów różowego – ale tronu na zamkowym zapleczu. Można sobie było na nim usiąść i w zasadzie sam nie wiem, co zrobić. Wy zdecydujcie. Gdzieś tak w okolicach tego tronu Kwiatkowska zaczęła się nerwowo kręcić wokół własnej osi i już pomyślałem, że te wcześniejsze hopsasy jej zaszkodziły na błędnik, ale okazało się, że sprawa jest zupełnie innej natury.

– Magnolia! – obwieściła Róża.

Tak, dobrze zauważyła. Magnolii było tu od zarąbania.

– Gdzie jest magnolia?! – upierała się Kwiatkowska.

A bo to jedną mijaliśmy po drodze? Chyba rzeczywiście sport jej zaszkodził. Jak zwykle.

– Tu była! – rzekła dziennikarka i wyciągnęła przed siebie palec wskazujący.

Popatrzyłem, gdzie kazała. No rzeczywiście, jeżeli kiedyś drzewko tu rośło, to należało używać w tej kwestii czasu przeszłego, ponieważ teraz ni hu, hu. Jenó urżnięty pień się ostał.

– Ktoś wyciął magnolię! – piekliła się Róża. – A była taka piękna! I duża!

Doprawdy, w mojej opinii przesadzała. W końcu pół świata tego kwiatu... A na pewno pół Cieszyna. Na szczęście Solański odciągnął ją od wystającego z ziemi kikuta i udaliśmy się w górę ku wieży Piastowskiej oraz murom obronnym. Wskoczyłem na ławkę przy punkcie widokowym, żeby lepiej wszystko rejestrować. I cóż moje oczęta ujrzały?

– Most Przyjaźni! – powiedział Solański i też popatrzył w dół na lewo. – Myślisz... – urwał. – Myślisz, że ktoś mógł stąd widzieć...

– Morderstwo! – podłapała Kwiatkowska, trochę się już uspokoiwszy po tych dylematach florystycznych. – Może będziemy mieć szczęście. I trafi nam się naoczny świadek!

Tu mi tramwaj przejedzie, a tam kaktus wyrośnie, jeśli im się trafi takowy. Pomarzyć dobra rzecz. Kiedy wreszcie znudziło nam się podziwianie Czeskiego Cieszyna z perspektywy drona, zawróciliśmy i udaliśmy się na wspomnianą wieżę. Wyglądało toto niepozornie, a okazało się prawdziwym killerem. Ci cali Piastowie, kimkolwiek byli, rozumu nie mieli. No bo sami powiedzcie, na jakiego grzyba zamiast normalnych schodów – choćby i kręconych – łądować na wieżę jedną, ciągnącą się (kawałkami) na samą górę drabinę? Rozwiązanie dla akrobatów i kominiarzy. Ani jednym, ani drugim nie byłem, więc spasowałem. Usiadłem pod kasą i popatrzyłem na Różę i Szymona tak, że od razu zrozumieli, że sobie mają sami zaiwaniac na wierch. Beze mnie!

Kupili bilety i rozpoczęli wspinaczkę. Po drodze musieli napotykać jakieś edukacyjne atrakcje, bo doskonale słyszałem, jak odczytują informacje z Piastowie wiedzą czego. Pewnie jakichś tablic.

– Patrz! – wydarła się Róża. – Są i Habsburgowie!

W tym miejscu nieco się pogubiłem. No bo w końcu niech się zdecydują, o który ród chodzi. Może jeszcze dodadzą do tej całej mieszanki heraldycznej jakichś stukniętych Hohenzollernów, królową Elżbietę i Kim Dzong Una? *Why don't you*, jak to mawiają wyszczekani Anglosasi.

– Z tego wynika, że Gustaw von Habsburg byłby potomkiem w prostej linii Ferdynanda Czwartego, króla Niemiec i Węgier – składała literki Róża. – Ale za dużo tu o rodzie naszego Gucia nie napisali...

No jeszcze by tego brakowało, żeby o mnie wypisywali w tej śmierzdzącej starym, znoszonym kapciem wieży.

Z tej ich lektury w głos mógłbym poznać szczegółowo historię Cieszyna, gdybym przykładał do tego gładzenia wagę. Ale nie przykładałem. W nosie miałem tych wszystkich naparzańców, którzy przez wieki się okładali, żeby rządzić tym kawałkiem ziemi. Ludzie to naprawdę stwarzają sobie problemy, których nie ma. Nie lepiej zjeść kiełbasę śląską, przytulić się do swojego człowieka, zdrzemnąć, a potem pójść na spacer? No czy nie lepiej? Sami przyznajcie.

Niektórym jednak nie przetłumaczysz.

Zaczekałem, aż zleżą z tej pierońskiej wieży. Zejście okazało się jeszcze bardziej karkołomne niż droga pod górę. Róża ostatni odcinek pokonała, ślizgając się na czterech literach. Nie przytoczę wam słów, które wypowiedziała, bo z gatunku *cozy crime* zrobiłby się nam tu jakiś horror klasy B.

Przypuszczam, że zaraz po naszej wizycie przy kasie wywieszono portret pamięciowy dziennikarki z dopiskiem: „Tej klientki nie obsługujemy. W razie pojawienia się takowej dzwonić po kaftaniarzy”.



Miasto mówi / Město říká

Miasto przypatrywało się z góry kryminalnemu zamieszaniu. Było podejrzliwe wobec tych dwóch Grażyn. Z jednej strony burmistrzynie trzymały wszystko w ryzach. Z drugiej jednak szarogęsiły się, jakby to one były tu najważniejsze.

Na przykład zdecydowały, że poszukiwaniem zabójcy mają się zajmować aż trzy siły śledcze: polska, czeska i ten jakiś chuderlawy detektyw oraz jego zdecydowanie niechuderlawka żona. I pies! Pies, który – tak tylko wspominając na marginesie – nieraz już napaskudził w mieście i jeszcze twierdził, że „zostawia informacje dla potomnych”! Nie wydawało się to wszystko zbyt profesjonalne.

Podczas gdy miasto snuło powyższe rozważania, słońce chyliło się ku zachodowi, a Olza odbijała niemrawe już jego blaski, Markéta Čech stała przy oknie tarasowym na piętrze swojego wspaniałego domu. Przez szparę w firance przyglądała się położonej po drugiej stronie ulicy komendzie policji, w której pracowała Liduška. Martwiła się o starszą siostrę. W dzieciństwie była dla niej wzorem. Zawsze chciała być taka jak ona. Potem jednak ich drogi się rozeszły. Markéta poznała Miloša, założyła rodzinę. I żyła tak, jak powinno się żyć. Tymczasem Liduška stawała okoniem wobec wszelkich

prób pomocy w ułożeniu sobie egzystencji. A to przecież tylko dla jej dobra!

Markéta winiła za sytuację tego policjanta. To po zerwaniu z nim siostra nie chciała więcej słyszeć o żadnych randkach, stałych związkach, a już na pewno nie o małżeństwie. Po prostu nie zdawała sobie sprawy z tego, że popełnia błąd. I kiedyś gorzko tego pożałuje. A na każdą wzmiankę Markéty na ten temat reagowała alergicznie. Pytana, kto jej na starość poda szklankę wody, odpowiadała, że woli whisky.

– Mamo! – Markéta usłyszała głos małego Milánka dobiegający z dołu. – Mamooo! – Dziecko nie dawało za wygraną. Może jeśli jeszcze chwilę nie da znaku życia, to syn zrezygnuje z nawoływania? – Maaamo! – W jego ton wdarła się histeria.

Markéta zasunęła równo firanki, westchnęła i zeszła na parter.

Tonda Kvapil westchnął niemal w tym samym czasie, jednak w jego przypadku powodem była rozkosz. Zapalił właśnie jointa i się nim zaciągnął. Nie tak jak ten amerykański prezydent, który marnował towar. Na wpół leżał na jednej z tych dziwnych ławek wkomponowanych w coś na kształt wielkiego bębna pralki. Rząd takich nowoczesnych dziwactw ustawiono nad Olzą po polskiej stronie. Służyły one głównie drinkującym menelom i randkującej młodzieży. Tonda na pewno nie zaliczał się do tej drugiej kategorii. Do pierwszej zaś też nie, przynajmniej w swoim mniemaniu. Osoby postronne, po rzucie oka na ubranego niechlujnie mężczyznę o błędnym wzroku, mogłyby mieć na ten temat inne zdanie.

Tonda, mimo kiepskiej sytuacji finansowej, do której przyczynił się między innymi ten cały Gustaw von Habsburg, nie płacąc mu za kilka sprzedanych działek, był zadowolony. Po pierwsze, znalazł pod materacem ukrytego na zaś skręta i teraz mógł go sobie odpalić. Po drugie, koniec końców nastąpiła sprawiedliwość. Tak czy nie?

Eliška Heczkova o tej porze próbowała położyć dzieci spać, co jednak nie było takie proste. Przeczytała im już bajkę Ivy Procházkovej, tę o myśzach, które idą do nieba, odśpiewała cały zestaw kołysanek i opowiedziała jakąś zmyśloną przez siebie historię. Bez skutku. To ostatnie przyniosło na-

wet odwrotne do upragnionych rezultaty, ponieważ na żądanie ponownego przytoczenia historii Eliška za żadne skarby nie była sobie w stanie przypomnieć, jak ona leciała, pogubiła się w chronologii wydarzeń i uruchomiła chór oburzonych, domagających się tej samej opowieści. Co do słowa!

Trudno więc się dziwić, że Heczkova, spoglądając na Olzę z piętra swojego domu, przecierała oczy ze zmęczenia. Na chwilę straciła ostrość widzenia. Po jej policzkach popłynęły łzy.

Alicja Szymon właśnie wyszła ze swojego biura. Pora była już późna, fabryka cukierków świeciła więc pustkami. Ostatni wyszedł Zdeněk i skłonił jej się na do widzenia. Alicji jednak nie śpieszyło się do domu. Obojętnie ominęła swoje auto stojące na służbowym parkingu i poszła nad rzekę, a potem ścieżką do Lasku Miejskiego. Musiała sobie to wszystko dobrze przemyśleć. W lasku było pusto i cicho, nie licząc wydzierających się ptaków. Zalatywało też czosnkiem niedźwiedzim, porastającym bujnie poszycie leśne. Gdy wracała, zrobiło się już całkiem ciemno. Miała jednak w telefonie latarkę. I знаła tu właściwie każdy kamień. Nie było się więc czego bać.



– No, ale chodź wreszcie! – zwróciła się Róża Solańska do swego męża i przestąpiła z nogi na nogę.

Zaprowadziła go dzisiaj do Kornela i Przyjaciół, żeby pochwalić się, jakie klimatyczne miejsce odkryła na mapie Cieszyna. Wiedziała, że księgarnia spodoba się Szymonowi, a jakoś dotąd nie mieli okazji się tu wybrać. Nie sądziła jednak, że będzie miała takie trudności z wyciągnięciem go z powrotem na dwór. Ledwie weszli do środka, od razu straciła go z oczu. Zanurkował między regałami, a kiedy go wreszcie odnalazła, zorientowała się, że co rusz wystawia palec wskazujący przed siebie i mamrocze pod nosem.

– To chcę, to chcę, to chcę – wymieniał.

– Przyjdziemy tu jeszcze – zwróciła się do niego łagodnie, jak do dziecka. Albo wariata. – A teraz chodź.

Dopiero to popychany, to poszarpywany, dał się wyprowadzić na ulicę.

– Pokażę ci coś – obiecała Róża. Pragnęła wcielić się w przewodniczkę po mieście, a nie ślęczyć godzinami nad stosem reportaży! Tych i tak już pełno nakupowała, więc Szymon mógł się nimi zainteresować w późniejszym terminie. – To niedaleko! – zapewniła.

Przeszli kawałek, po czym skręcili w ulicę Trzech Braci. Kwiatkowska zatrzymała się gwałtownie.

– Tu! – rzekła i wskazała na zielonkawą budkę z azurkowymi zdobieniami. – Studnia Trzech Braci – wytłumaczyła, ponieważ Solański prezentował minę osoby niezbyt rozgarniętej. Gucio też dziwnie się zachowywał. Przysiadł przy nodze pana i zaczął warczeć. – Nie podoba ci się? – zapytała psa dziennikarka. – To jest studnia upamiętniająca braci: Bolka, Leszka i Cieszka – perorowała Kwiatkowska, wciąż nie znajdując uznania dla swoich wysiłków krajoznawczo-edukacyjnych. Choćby cienia zainteresowania! – To byli założyciele Cieszyna. Ale, uwaga! – ryknęła, wywołując jednak jakąś reakcję. Solański podskoczył w miejscu, a Gucio zaczął warczeć jeszcze intensywniej. – To tylko wedle legendy, którą wymyślił niejaki Alojzy Kaufland, burmistrz z początków dziewiętnastego wieku.

– Chyba Kaufmann – burknął detektyw i zrobił krok do przodu.

Patrzcie państwo, ledwie przyjechał do miasta, a już rozumy wszelkie pozjadał. Róża poprzysięgła sobie schować Szymonowi przewodnik po Cieszynie, który kupił i najwyraźniej wyrył na blachę. Po co mu on, skoro miał ją? Ona zawsze chętnie się pomądruje, więc ten bedeker to tylko niepotrzebny wydatek i strata czasu przy lekturze.

Detektyw już był prawie przy studni, gdy nagle Gucio ruszył z miejsca, w tempie kosmicznej rakiety wyprzedził swojego pana, stanął między nim i studnią. I się rozszczękał.

– Nie przeszkadzajcie sobie. – Do Solańskich dotarł głos wprost ze studni.

Nie jednak z jej głębi, tylko spod ażurkowej altanki. Kwiatkowska dołączyła do męża i ujrzała jakiegoś młodego chłopaka w czapeczce w tęczowe wzory na głowie tkwiącego wewnątrz atrakcji turystycznej.

– Zróbcie sobie zdjęcie – zachęcał mężczyzna. – Jeśli ja wam nie wadzę. Tak tu sobie siedzę. Bo mi się znudziło w hotelu. Tam nikt nie przychodzi, bo to niebezpieczne – rozgadał się, a Róża z niepokojem zauważyła, że chłopak ściska coś za pazuchą... – Można siedzieć tak tu sobie, prawda? Mam na imię Tadek – przedstawił się.

– Prawda – przyznał mu rację Solański.

– No i ja tu tak sobie siedzę – powtarzał się chłopak. – I odpoczywam. Razem z Mundkiem... – urwał i sięgnął ręką pod kurtkę.

W tej jednej chwili Róża instynktownie odskoczyła jak najdalej w bok. Gucio z kolei rzucił się na płótek okalający studnię i wyszczerzył kły, gulgocząc przy tym złowrogo. Jedyne Solański pozostawał niewzruszony. Chłopak zaś wydobył spod katany... szczura!

– Uratowałem go z pożaru – wyjaśnił, nie zauważając ani przerażenia dziennikarki, ani reakcji Gucia. – Ma na imię Mundek.

– Mundek? – wyrwało się Róży.

– Ładnie, prawdaż? – Rozmówca ucieszył się z zainteresowania. – Teraz już zawsze będziemy razem. Tadek i Mundek. A ja nigdy nie poczuje się samotny – oznajmił.

I uśmiechnął się do siebie, głaszcząc szczura.

Solańskiemu zajęło chwilę odciążenie Gucia od studni. Ruszyli nad Olzę w zamyśleniu.

ROZDZIAŁ 3

Ja jestem idiotą z urzędu^[14].

Liduška Žrankova miała nadzieję, że się zdoła wymigać od rodzinnego obiadu. Ta jednak okazała się płonna, gdy policjantka zerknęła w kalendarz i uprzytomniła sobie, że to nie jest zwykła sobota. To sobota, w którą wypadają urodziny matki. Oczywiście Markéta, jako ta ukochana córeczka, organizowała w domu przyjęcie, na które Liduška musiała wpaść.

W piątek o szesnastej trzydzieści stanęła przed nie lada dylematem. Zasiadła właśnie przed laptopem, żeby obejrzeć jakiś durny policyjny – choć niemający wiele wspólnego z realiami – serial na Netfliksie, gdy nagle ją olśniło. Nie miała prezentu dla matki! Rodzicielka obchodziła okrągłe, sześćdziesiąte urodziny, więc tym bardziej nie wypadało przyjść z pustymi rękami.

W pierwszym odruchu rzuciła się do przedpokoju, by włożyć buty, kurtkę i biec do sklepu. A nuż trafi na coś znośnego na ostatnią chwilę. Potem jednak jej wzrok padł na zegarek. Za pół godziny wszystko i tak będzie pozamykane. Nie zdąży. Gdyby zamówiła podarek przez Internet, i tak nie dotarłby do niej do jutra. Była w kropce! Jeszcze żeby matka natura obdarowała ją zdolnościami manualnymi czy artystycznymi, to strzeliłaby obraz albo skleiła z gliny jakąś miskę. Ona jednak się do tego nie nadawała. Odkąd w podstawówce narysowała na plastycie psa i dostała za niego uwagę do dzienniczka z adnotacją, że Liduška nie uważa na lekcjach i kpi z nauczycielki, mdliło ją na widok malarstwa.

W panice rozejrzała się po zabałaganionym przedpokoju. Czy znajdzie tu coś, co nadałoby się na prezent? Zanurkowała w szafie. Bez ładu powyrzu-

cała na podłogę stos ciuchów. To nie miało jednak sensu. Poszła do kuchni i zrobiła przegląd. Tam stały jednak głównie wyszczerbione kieliszki i kubki z odłamanymi uszami. Pobieгла do sypialni. Komoda! W dolnej szufladzie trzymała różne nietrafione podarki, które ktoś jej kiedyś sprezentował. Z rozmachem pociągnęła uchwyt i wybebeszyła zawartość mebla. Po chwili już to miała.

Wciąż przewiązane czerwoną wstążeczką pudełko z rysunkiem przedstawiającym jakieś wymyślne naczynie, którego przeznaczenia policjantka nie знаła. Nie wysiliła się też najwyraźniej, żeby to rozszyfrować, bo prezent pozostawał wciąż nieotwarty. Nie mogła też sobie przypomnieć, od kogo to dostała. Pewnie od jednej z koleżanek z pracy. W każdym razie ta skorupa wyglądała na taką, która będzie w guście jej rodzicielki. I nie musiała się już nawet kłopotać owijaniem bzdziństwa w ozdobny papier, którego zresztą nie posiadała.

Z ulgą opadła na fotel i włączyła kolejny odcinek brytyjskiego serialu *Niezapomniane*.

Następnego ranka musiała jeszcze podskoczyć na komendę. Włożyła stary dres z lamпасami – najwygodniejszy ciuch, jaki kiedykolwiek miała – łyknęła kawy i zeszła do samochodu. Prezent włożyła do bagażnika.

Po kilku godzinach papierkowej roboty, której było absurdalnie dużo w stosunku do czasu, który spędzała w terenie, stwierdziła, że nie ma już sensu wracać do domu. Pójdzie od razu na imprezę. Zeszła więc do służbowej kantyny i kupiła sobie trzy hot dogi. Zapomniała dziś o śniadaniu, więc teraz kiszki grały jej marsza. Poza tym Markéta na pewno przygotowuje tak wykwintne dania, że nie sposób je będzie zjeść. Polała kiełbaski obficie musztardą i ketchupem. Popiła kofolą. Gdy skończyła, wskazówki zegara wiszącego przy wejściu do stołówki przesunęły się stanowczo za daleko do przodu.

Była spóźniona.

Wytarła ręce w spodnie. Zahaczyła jeszcze o parking i wyjęła prezent. Uświadomiła sobie, że zapomniała o kwiatkach! Matka przywiązywała wagę

do konwenansów. Znów rozejrzała się w popłochu. Po chwili miała gotowe rozwiązanie. Spontaniczność była jej mocną stroną.

Przebiegła przez jezdnię i znów się uważnie rozejrzała. Miała szczęście. Wokoło nie było nikogo widać. Stała na wysokości domu sąsiada siostry, pana Svobody. Przykucnęła i kilkoma sprawnymi, zdecydowanymi ruchami uzbierała spory bukiet z tego, co akurat rosło przed płotem. Wyglądało całkiem spoko – było różnokolorowe i oryginalne. Nie jakieś tam woskowe róże z doklejanymi brylancikami z kwiaciarni.

Otworzyła sobie furtkę i weszła do ogródka siostry. Wiedziała, że Markéta tego nie lubi. Wymagała od wszystkich, nawet od niej czy rodziców, by używali dzwonka i czekali, aż ktoś z domowników im otworzy. Broń Boże nie wchodzili do willi niezapowiedziani.

Liduška wkroczyła prosto do salonu i nie zdejmując butów, podążyła dalej do kuchni.

– Tu jesteście – przywitała siostrę i matkę. Najwyraźniej przerwała im jakąś tajną rozmowę, bo ucichły na jej widok i nawet nie skarciły za wtargnięcie.

– Nie masz zegarka? – warknęła wreszcie Markéta. – Indyk będzie zbyt suchy. Za długo tkwi już w piecu.

– Mamo, to dla ciebie. – Liduška zignorowała uwagę siostry i wręczyła starszej pani bukiet oraz prezent. – Wszystkiego najlepszego!

Žrankova przyjęła dary w milczeniu. Stała przez chwilę bez ruchu, wydymając co chwila uszminkowane usta. Poruszała nimi jak wyjęta z wody ryba.

– To mówiłaś, że co jest do żarcia? – Wobec braku jakiegokolwiek reakcji policjantka zmieniła temat.

Nie była zdziwiona zachowaniem najbliższych. Im wszystkim nigdy nie wystarczała taka, jaka była w rzeczywistości. Już dawno przestała się jakoś specjalnie tym przejmować. A przynajmniej próbowała zachować zimną krew. I rogatą duszę.

– Chodźmy do stołu – nakazała siostra. – Dzieci! – podniosła głos. – Obiad! – Jej apel pozostał bez odzewu. – Babcia czeka!

– A gdzie Miloš? – chciała wiedzieć Liduška.

– Chłopczy! – Markéta darła się już całkiem srogo.

– Bo usłyszą cię sąsiedzi – przestrzegła policjantka. – I co oni wtedy gotowi sobie o tobie pomyśleć? – kpiła.

– Do jasnej cholery... – Markéta nie wytrzymała i sadząc susy po dwa stopnie w swoich domowych pantoflach na wysokich obcasach, udała się na piętro.

Jej nieobecność niebezpiecznie się przedłużała. Liduška stała naprzeciw matki wciąż trzymającej nieotwarty prezent i nie wiedziała, co powiedzieć.

– Nie rozpakujesz? – zapytała w końcu.

– Nie – wyszczała przez zęby jubilatka.

– Nie? – upewniła się Liduška, bo jednak miała wątpliwości, czy dobrze usłyszała.

– Nie. I nawet mogę ci wyjaśnić dlaczego – perorowała matka tonem Królowej Śniegu, a policjantkę ogarniały złe przeczucia... – Nie będę się szarpać z tą kokardką, bo doskonale wiem, co jest w środku. Nie tylko dlatego, że ten zestaw do fondue jest wymalowany na pudełku. Ale też dlatego, że sama ci go kupiłam. Pod choinkę. Dwa lata temu!

– To... – zająknęła się Liduška – to musi być pomyłka. Zbieg okoliczności! On, ten zestaw do fundi – przekreśliła nazwę, która naprawdę nic jej nie mówiła (co to, u licha, miało niby być? Teraz, gdy się przyjrzała ustrojstwu, wydawało się przydatne zupełnie do niczego) – tak mi się spodobał, że postanowiłam kupić ci identyczny! – wybrnęła.

Jak się jednak okazało, nie na długo.

– Tu jest nawet napisane twoje imię. – Matka wskazała na wykonany mazakiem bazgroł. – A za te kwiaty – jeszcze z nią nie skończyła – bratki zresztą, powinnaś zapłacić panu Svobodzie. Plus odszkodowanie za dewastację grządki!

– To gdzie jest Miloš? – zapytała Liduška, bo przecież tu już nic nie zostawało mądrego do powiedzenia.

– W delegacji – wyjaśniła matka. – Ciężko pracuje, żeby jego rodzinie niczego nie brakowało. Powinnaś też sobie znaleźć odpowiedzialnego męża i skończyć z tymi wygłupami w tej... ubecji. – Ostatnie słowo wypowiedziała z wyraźnym obrzydzeniem.

Liduška natychmiast ugryzła się w język. Już to przerabiały. Nieraz. Wiedziała, że nie ma szans w tym starciu.

– Cholerne gnojki schowały się w szafie. – Do kuchni ponownie weszła Markéta, ciągnąc za sobą dwóch ślaniających się w geście protestu po podłodze synów. – Złóżcie babci życzenia! – rozkazała.

– Żebyś miała ładny pogrzeb – powiedział Milánek.

– Bo to już niedługo – dodał Alanek.

– Chłopcy! – wydarła się Markéta.

Liduška z satysfakcją stwierdziła, że matka jednak nie potrafi zachować pokerowej miny w każdej sytuacji. I przypomniało jej się coś jeszcze.

– Dla was też coś mam – oznajmiła siostrzeńcom. I w towarzystwie ich radosnych wrzasków wyjęła z reklamówki dwa zestawy młodego muzyka.

– Włóż to. – Siostra wręczyła jej jakąś kwiecistą falbaniastą kieckę. – Przecież nie siądziesz do stołu w tym. – Wskazała na jej ulubiony dres. – Nie wypada.

Liduška już miała na końcu języka zdanie, które powiedziałaoby im, gdzie ona ma to, co wypada, a co nie, ale uznała, że tyle może dla nich zrobić. Przebierze się w te fatalaszki. Bęben, cymbały i flet poprzeczny i tak przyniosą jej w ogólnym rozrachunku zwycięstwo.

Te niewielkie porcje satysfakcji zdobyte w kuchni zostały jej szybko odebrane. Okazało się, że rodzinne przyjęcie urodzinowe w rzeczy samej wcale nie miało być takie rodzinne.

– To jest Václav. – Markéta przedstawiła jakiegoś starszawego pulchnego faceta w za małym garniturze, który nagle pojawił się w progach willi. – Dyrektor działu marketingu i sprzedaży w firmie Miloša – oznajmiła.

Liduška dolała sobie szampana i naciągnęła przykrótką sukienkę siostry na szczupłe uda. Doskonale wiedziała, jak to się dalej potoczy. Nie pierwszy to raz jej siostra bawiła się w swatkę, choć nikt jej o to nie prosił. Co więcej, w odczuciu Liduški Markéta występowała raczej w roli stręczycielki.

– A to jest moja siostra, Liduška. – Prezentacja została dokonana. – Usiądź tu. – Wskazała dyrektorowi miejsce oczywiście obok policjantki. – Pogadacie sobie. – Zaśmiała się nieszczercze.

Facet wręczył jej matce bukiet – sama nie mogła w to uwierzyć – róż ze sztucznymi brylancikami poprzyklejanymi do płatków i oślinił w pocałunku jej dłoń.

Liduška uparcie milczała. Matka z siostrą próbowały zagadać nieprzyjemną ciszę. Ta zresztą nie trwała długo, ponieważ siostrzeńcy szybko porzucili stół biesiadny i zabrali się do rozkręcania koncertu. Gdy rozbrzmiały pierwsze takty, nawet Liduška się wystraszyła. Niedogodności dźwiękowe były jednak niczym przy przyjemności z obserwowania niezadowolonia siostry.

– Zdolni są! – pochwaliła policjantka.

– Więc, Liduška, Markéta dużo mi o tobie opowiadała! – Dyrektor próbował przekrzyczeć jazgoty. – Czym się zajmujesz? – zaprzeczył sam sobie.

– Pracuję na telefon. – Žrankova postanowiła się zabawić.

– A! – ucieszył się Václav. – W telemarketingu?

– Nie. – Pokręciła głową. – Robię na telefon, no wiesz. – Przewróciła oczami i z przyjemnością obserwowała wykwit czerwieni na twarzy mężczyzny.

– Jesteś rozwiedziona? – Facet postanowił nie drążyć i przeskoczył na inny temat.

– Nie.

– Nie? W tym wieku? Bo ja jestem. Niezbyt trafiła mi się żona – pożalili się. – Młody byłem i głupi, no i się wpakowałem w niezły syf. To wariatka.

– Przepraszam na chwilę. – Liduška miała dosyć.

Wstała od stołu. Z kuchni zgarnęła kolejną butelkę szampana. Zamknęła się w łazience. Spuściła klapę sedesu i na nim usiadła. Zdrapała sreberko. Huknęła korkiem. Pociągnęła zdrowo. Kiedy wreszcie ugasiła pragnienie, zabrała się do realizacji następnej części planu. Swój dres i T-shirt odnalazła – tak jak przypuszczała – w koszu na brudną bieliznę. Z ulgą ściągnęła tę cholerną kieckę i włożyła spodnie. Już chciała wymknąć się po angielsku z imprezy, jednak coś ją podkusiło, żeby zawrócić.

Stała w progu salonu i przez chwilę niezauważona przez nikogo przysłuchiwała się konwersacji. Matka wypytywała właśnie Václava o wysokość jego zarobków, siostra zaś próbowała wyszarpać młodym instrumenty. To oczywiście spowodowało jeszcze głośniejsze niż rzępolenie ryki. Przyszedł czas z nimi skończyć.

– Cisza! – wydarła się Liduška nie gorzej od siostrzeńców.

O dziwo podziałało. Wszyscy się zamknęli i wlepiali w nią ślepią.

– Ty. – Najpierw zajęła się dyrektorem. – Idioto z urzędu! Masz coś z głową, że przychodzisz na przyjęcie urodzinowe starszej pani do zupełnie obcych ludzi? *Sorry, boys*, ale nici z podrywu! – huknęła. – Widzisz, Václav, okłamałam cię. Chociaż moja matka i siostra najwyraźniej sądzą, że pracuję – tak jak ci powiedziałam – jako kurwa, skoro cię tu przyprowadziły. – Policjantka przechadzała się wokół stołu i oniemiałych biesiadników. Podeszła od tyłu do krzesła Václava i nachyliła się nad jego uchem. – Tak naprawdę na co dzień łapię takich skurwysynków jak ty. – Niemal szeptała. – Co to robią przekręciki na swoich dyrektorskich pierdzistołkach, a po odbębnieniu służbowych godzin leją żonę.

– Co?! – zapiszczał Václav. – Bzdura!

– Zabierz sobie to. – Liduška rzuciła kiecką w twarz siostry. – A na przyszłość, jeśli mnie tu jeszcze zaprosicie, czego wolałabym uniknąć – przyznała – jeżeli wam się nie spodoba mój wygląd, to zamknijcie po prostu oczy!

– Liduška! – Pierwsza głos odzyskała matka.

– A ty, może gdybyś postąpiła w przeszłości tak jak ja teraz i nie szukała chłopa na siłę, to byłabyś szczęśliwsza. I nie musiała dowalać własnej córce

tylko po to, żeby samej poczuć się lepiej. – Sto lat! – zakrzyknęła i straciła równowagę.

Wypity duszkiem szampan przyniósł efekty.

Złapała się krzesła i wycofała rakiem z salonu. Dogoniła ją jednak matka i bez słowa oddała jej nietrafiony prezent. Policjantka włożyła go sobie pod pachę.

– Cześć, chłopaki! – zwróciła się jeszcze do siostrzeńców. – Dajcie czadu!

– Damy! – zapewnili solennie bracia.

I dotrzyмали słowa.

Kiedy Liduška odniosła pakunek do wciąż stojącego na policyjnym parkingu samochodu i wracała już pieszo do swojego mieszkania, jeszcze parę domów od willi siostry słyszała kociokwik, którego producentami byli Miłánek i Alanek.



– Mam umówiony wywiad do gazety! – obwieściła Róża Solańska, bez litości, za to z piekielnym łoskotem przesuwając drzwi do łazienki.

Szymon włożył głowę pod poduszkę. Jęknął, ale jazgot go zagłuszył.

– Z Alicją Szymon. Tą od cukierków. Pójdiesz ze mną? – zaproponowała Kwiatkowska. – Dyrektorka obiecała, że będziemy mogli spróbować co nieco...

– Wolę śledzie – marudził detektyw.

Róży nie pozostało nic innego, jak chwycić końcówkę kołdry i pociągnąć. Mąż zwlekł się wreszcie z wyra i udał do łazienki. Po kwadransie spożywali już jajecznicę na śniadanie, popijając ją soczkiem ze szklanek z wrytym znakiem towarowym Coca-Coli. Kwiatkowska pamiętała, że za młodu kolekcjonowała dokładnie takie same naczynia. Dostawało się je gratis przy zakupie napoju. Czyżby te tutaj przetrwały aż tyle lat?

– Tylko się nie przejadaj, bo nie zmieścisz tych smakołyków, które na nas czekają! – przestrzegła detektywa.

Wyprowadzili jeszcze Gucia na spacer i niezadowolonego zostawili w pokoju hotelowym. Do miejsca, do którego się wybierali, z pewnością sanepid bronił wstępu nieupoważnionym sierściuchom.

Po raz już nie wiadomo który zrobili sobie spacer przez most Przyjaźni i znaleźli się po polskiej stronie Cieszyna. Róża za każdym razem, gdy przechodziła przez granicę, uważnie patrzyła pod nogi, tak jakby wciąż mogła się tu potknąć o zwłoki Gustawa von Habsburga. Ciekawa była, jak toczy się oficjalne śledztwo w sprawie jego śmierci.

– A wy się przypadkiem nie mieliście ze sobą kontaktować? – zapytała Szymona.

– My?

– No ty i ci policjanci.

– Niby tak.

Czasami małomówny mąż wyprowadzał ją z równowagi.

– Dzwon! – rozkazała.

Solański próbował stawiać opór, ale nieporadnie. Przystanęli w końcu przy rządzie kantorów, które ulokowano przy moście od polskiej strony. Detektyw wyjął nokię i...

– Co to?! – wydarła się Kwiatkowska.

– Gdzie? – Solański wydawał się zagubiony.

– Co robi ten spinacz biurowy na telefonie?! – drążyła dziennikarka właściwie wbrew sobie, bo i w tym względzie jej ukochany był niereformowalny. Gdyby wreszcie zrobiła to, co od dawna odgrażała się, że uczyni – czyli rozwaliła mu ten rzech młotkiem – pewnie przerzuciłby się na sygnały dymne w celu komunikowania się ze światem. Bo smartfonów bał się jak belzebub kropidła.

– A bo mi...

– Nie chcę wiedzieć! – Zmieniła zdanie i przyglądała się, jak Szymon wyszukuje odpowiedni numer na mikroskopijnym ekraniku. – Ruda

Małpa?! – Znow podniosła głos, odczytawszy, do kogo Solański telefonuje.

– Szszsz – upomniał ją detektyw, ale już było za późno.

Policjantka odebrała błyskawicznie i musiała usłyszeć obelgę.

– Tu Solański. Chciałem zapytać, jak idzie śledztwo. – Szymon zachował zimną krew.

– Kto? – Liduška Žrankova rznęła głupa. Pewnie się mściła za tę małpę.

– No, Solański – rzucił zniecierpliwiony Solański. – Prywatny detektyw.

– I co? – Brała go na przetrzymanie.

Róża przystawiała ucho od drugiej strony komórki, by nie umknęło jej ani jedno słowo.

– No czy coś ustaliliście?! A może jednak przyjedzie jakieś wsparcie z Pragi? – spekulował.

– Mordparta?!^[15] – huknęła kobieta. – Jeszcze czego! Sami sobie damy radę!

– Mordparta? – powtórzyła zdumiona Róża.

I wyjęła telefon, żeby sobie przetłumaczyć, o czym mówi funkcjonariuszka. Po szybkiej konsultacji z wujkiem Googlem wyszło jej, że chodzi o czeski serial kryminalny o takim właśnie tytule. Odnalazła też informacje o obsadzie.

– Kotek – odczytała na głos.

Solański przyglądał się żonie ze zdumieniem. W jego słuchawce panowała cisza.

– Batěk. – Kwiatkowska dalej zapoznawała się z listą aktorów. – Bábek.

– Kotek, batek, babek? – powtórzył za nią Solański. – O czym ty gadasz?

– Co pan tam bredzi? – poinformowała się pani komisarz.

– To nie ja – wyrwało się Szymonowi. – Tylko moja żona.

– Co ja? – ocknęła się Róża i znow przyłożyła ucho do telefonu Solańskiego.

– Ta mužatka^[16]! – rzekła policjantka.

– Tak! – potwierdziła Kwiatkowska. – Jestem mężatką. A Szymonek to mój mąż! Mój! – powtórzyła dla pewności.

Pomyślała, że ta produkcja telewizyjna, o której mowa, musi być niszowa, skoro grają w niej aktorzy, których nie rozpoznaje policjantka.

– Spytaj ją, jak w końcu zginął ten arystokrata – podpowiedziała Szymonowi.

– Jak w końcu zginął ten... Habsburg? – powtórzył detektyw. – To znaczy, jaka była przyczyna śmierci?

– Otrucie – wyjawiała Liduška.

I pewnie na tym najchętniej by zakończyła, jednak do rozmowy znów wtrąciła się Kwiatkowska.

– Spytaj ją czym!

– Czym? – dociekał Solański.

– Laboratorium mówi, że fentanylem.

– Czym? – zapytała ze zdumieniem Róża.

– Czym? – zawtórował jej mąż.

– Panie Solański, ja tę pana żonę doskonale słyszę – upomniała go pani komisarz. – To silny lek przeciwbólowy.

– No to może za dużo wziął – zastanowiła się na głos dziennikarka. – Bo go bardzo bańka łupała.

– No to... – zaczął Szymon, ale w porę urwał.

– Dawka, którą przyjął, powaliłaby mamuta. – Policjantka rozwiała ich wątpliwości. – Ewidentnie ktoś mu to musiał podać. Intencjonalnie – wyjaśniła. – I już ja się dowiem kto!

– Więc co? – chciał wiedzieć detektyw. – Morderca nafaszerował Gustawa tym fenta...coś tam, a potem go przywlókł na most i zostawił na granicy?

– Na to wychodzi.

– A monitoring? – dociekał.

– Co panu będę mówić... Nie ma.

– To ja już kończę – rzekł Solański, bo Róża ciągnęła go za rękaw, kierując się w dalszą drogę. – Dzięki.

Policjantka nic na to nie odpowiedziała.

Kwadrans później stali przed budką strażnika pilnującego dostępu do terenu fabryki szymonków i tłumaczyli się z powodów swojej wizyty. Legitymacja prasowa Kwiatkowskiej zrobiła na mężczyźnie takie sobie wrażenie. Dopiero telefon do samej szefowej otworzył przed Solańskimi wrota do krainy słodkości.

– Pani Alicja czeka na was w hali produkcyjnej – oznajmił ochroniarz i pokazał im drogę.

Obeszli budynek biurowy dookoła. Dotarli do piętrowej, pokrytej blachą falistą hali, z której środka dochodziło jednostajne rżenie. I słodkawy zapach.

– Mmm – zachwyciła się Kwiatkowska. – Mam nadzieję, że nie zapomniała o obiecanej degustacji – wymamrotała i ruszyła przodem.

Zanim dotarli do wejścia, w progu pojawiła się kobieta w średnim wieku z krótko przyciętymi włosami ubrana w ochronny fartuch, spod którego wystawał kawałek beżowej spódnicy. Na stopach miała pantofle na niewysokim obcasie – także beżowe, a na głowie foliowy ochraniacz.

– Pani Solańska – przywitała się. – A to...? – Zerknęła na Szymona.

– Mój mąż – dokonała prezentacji Róża. – Przyjechał w odwiedziny, więc pomyślałam, że nie będzie pani przeszkadzało...

– Zapraszam, zapraszam. – Alicja Szymon otworzyła przed przybyłymi drzwi i zaprowadziła ich do środka hali. Zanim jednak na dobre do niej wkroczyli, także musieli wdziać odzież ochronną.

Od wejścia uderzył ich ze zdwojoną siłą zapach słodczy. Można w nim było wyczuć waniliową nutę i jeszcze jedną woń, której Róża na początku nie potrafiła rozpoznać. Zaczęła się rozglądać wokół siebie, wypatrując produkowanych tu cukierków. Przełknęła ślinę. Choć śniadanie zjadła ledwie chwilę temu, po prostu czuła, że jej kiszki zaczynają wygrywać symfonię. Jeszcze moment i gotowa zemdleć z głodu!

– Tędy. – Właścicielka fabryki wskazała parze właściwy kierunek.

Przeszli obok jakichś wielkich maszyn ze stali nierdzewnej – to one wydawały te zgrzytliwe dźwięki – i wreszcie znaleźli się przy taśmie produkcyjnej, po której sunął rząd czekoladek, wpadających następnie w sidła urządzenia, które każdą ze słodkości pakowało w osobne sreberko z napisem „Szymonki”. Róża zafascynowana gapiała się na to zjawisko. I kiedy Alicja Szymon nie patrzyła w jej stronę, po prostu świsnęła kilka cukierków z taśmy. Nie była z siebie dumna. Nie mogła się jednak powstrzymać! Zresztą niech pierwszy rzuci kamieniem ten, kto nigdy w życiu niczego nie zakosił. Takich, którzy w testach osobowościowych prezentują podobnie kłamliwe stwierdzenia, nie przyjmuje do policji, bo z góry wiadomo, że to ściema. Tak Róża przynajmniej słyszała.

Łakocie świeżutkie, prosto z fabryki, musiały być wyjątkowo dobre. Schowała je szybko do kieszeni, żeby sprawa kradzieży (Róża uświadomiła sobie, że właśnie wkroczyła na drogę – wprawdzie o niskiej szkodliwości społecznej – jednak przestępstwa!) nie wyszła na jaw.

– Szymonki to rodzinna firma z tradycjami – perorowała właścicielka. – Założył ją mój prapradziadek, Albert Szymon, w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym – oznajmiła tonem rodem z uniwersyteckiego wykładu. – Potem kierowaniem biznesem zajął się mój pradziadek. Następnie...

– Niech zgadnę – mruknęła Kwiatkowska pod nosem – dziadek? – Na szczęście Alicja Szymon była tak zajęta oprowadzaniem wycieczki, że nie dosłyszała nieuprzejmej uwagi.

Solańska wyjęła dla zasady notes z torebki i udawała, że zapisuje w nim informacje podawane przez Alicję. W rzeczywistości rysowała Gucia. Nie mogła się już doczekać końca tego gładzenia i początku obiecanej degustacji! Artykułem się nie przejmowała. Informacje o fabryce i tak znajdzie w Internecie i tylko je odpowiednio zmodyfikuje, dodając kilka smaczków z dzisiejszej wizyty. Coś o zapachu cukierków unoszącym się w powietrzu i zgrzycie maszyn...

– Jesteśmy bardzo dumni z naszej firmy – mówiła Szymon. – I z faktu, że mimo wielokrotnych zakusów różnych potentatów gastronomicznych nigdy nie odsprzedaliśmy udziałów. Biznes pozostaje tylko w rękach rodziny. Nawet z Polską Ludową daliśmy sobie radę! A receptura cukierków jest objęta ścisłą tajemnicą i przekazywana z pokolenia na pokolenie. Co tam pani nagryzmoła? – zmieniła temat, zaglądając Róży przez ramię. – To wie-wiórka?

– Migdały! – huknęła Solańska, puszczając mimo uszu brak zrozumienia dla swojej twórczości artystycznej, a uprzytomniwszy sobie z kolei, z czym kojarzy jej się wszechobecny zapach. – A może do szymonków dodajecie arsenik? – Zarżała z własnego dowcipu, przypominając sobie, że rozślą-wiona w literaturze głównie przez Agathę Christie trucizna ma podobną do migdałów woń. – Trucizny są ostatnio bardzo popularne.

– Skład zna tylko kilka osób – powtórzyła kobieta, nie przejmując się kryminalnymi insynuacjami. – Tu mi pani może zrobić zdjęcie – oznajmiła i ustawiła się na tle cukierkowej maszynerii.

– Aha. – Róży przypomniało się, po co tu tak naprawdę przyszła. Wyjęła telefon i cyknęła fotkę. – To co z tą degustacją? – przeszła do jedynie inte-resującej ją kwestii.

– Proszę? – Alicja Szymon najwyraźniej próbowała ją zrobić w bam-buko.

– Mieliśmy kosztować cukierków! – Zirytowana Kwiatkowska podniosła głos.

– Och! – Tym razem to dyrektorka westchnęła. – Niestety to niemoż-liwe – zamknęła temat. – Przepisy nie pozwalają na dotykanie produktów w tej hali. Muszą przejść pełną procedurę produkcji – bełkotała. – Zaraz mam zebranie zarządu online. Muszę państwa przeprosić – wykpiła się.

Skoro tak postawiono sprawę, Róża zwolniła kroku. Przepuściła Alicję Szymon i własnego męża przodem. Pociągała się jeszcze przez chwilę, a gdy wreszcie wyszła na świeże powietrze, kieszenie jej kurtki były wi-docznie wypchane. Alicja pożegnała się z nimi i ponownie zniknęła we

wnętrzu fabryki. Kwiatkowska czym prędzej wydobyła garść czekoladek i wpakowała je sobie do ust.

– Chcesz? – Podsunęła mężowi kolejną porcję. – No co? – zapytała z pełnymi ustami, gdy popatrzył na nią gniewnie. – Kradzione nie tuczy – wytłumaczyła rzecz, zdawało jej się, oczywistą.

Nagle drzwi za nimi znów się otworzyły i stanęła w nich dyrektorka. Sołańska schowała upačkaną czekoladą dłoń za plecami.

– Kiedy ukaże się artykuł? – chciała wiedzieć kobieta. – Coś pani ma na twarzy...

– Wkrótce! – obiecała Róża i oddaliła się czym prędzej z miejsca przestępstwa.

Miała tylko nadzieję, że w fabryce rzeczywiście do szymonków nie dodają arszeniku!



Gdy tylko ta banda dwojga wróciła do hotelu, rzuciłem się, by ich dokładnie przeskanować. Te gamonie sądziły, że się z nimi tak wylewnie witam, bo nie widzieliśmy się od trzech godzin. Tymczasem mnie szło o zupełnie co innego. Otóż chciałem się dowiedzieć, gdzie się beze mnie szlajali. I czy powinienem się na nich obrazić za to porzucenie. Wprawdzie przez cały czas ich nieobecności spałem martwym bykiem na wyrze, ale oni o tym wiedzieć nie musieli. Niech pozostają w przekonaniu, że rozpaczałem straszliwie. Następnym razem może poszarpię im poszewkę od poduszki albo zdrapię te diabelne drzwi do kibla, żeby zobaczyli ogrom mego rzekomego nieszczęścia.

Jak się okazało, nie miałem powodów do fochów. Od razu wyczułem na Róży czekoladę. Dużo czekolady. Tego świństwa akurat nie tykam, bo nie dość, że od niego rosną cztery litery, to jeszcze jest śmiertelnie trujące dla psów. Głupi nie jestem, chcę sobie jeszcze pożyć i porozwiązywać nieco kryminalnych zagadek, więc ryzykował konsumpcji nie będę.

Okazało się, że Solańscy byli w fabryce szymonków. Nie produkowali tam, jak można by sądzić, taśmowo replik mojego pana. Chodziło o cukierki. Gdyby odwiedzili bez mojego towarzystwa na ten przykład fabrykę kielbasy śląskiej, wtedy byłaby inna rozmowa. Zeżarta kołdra i zjechane drzwi to by było dopiero preludium. A tak mogliśmy jakoś dojść do porozumienia. Zwłaszcza że Róża i Szymon od razu zabrali mnie na spacer.

Udaliśmy się do Polski.

Bardzo żałuję, że nasz kraj wstąpił do Unii Europejskiej i do strefy Schengen. Gdyby nie głupie decyzje polityków, po tym wyjeździe miałbym cały paszport pieczętek przybijanych na granicy! A tak ani pies z kulawą nogą (nie mylić ze mną! Wyrażam się metaforycznie) się za nami nie obejrzał. Mogliśmy sobie biegać tam i nazad, a nasze dokumenty pozostawały niczym ta tabula rasa. Nie po to przechodziłem katusze u doktora Dłutki, żeby mi teraz ten paszportowy świstek był do niczego niepotrzebny!

W każdym razie nikt się moimi przekonaniem geopolitycznymi nie przejął. Znaleźliśmy się na wysokości Góry Zamkowej i już mieliśmy mierzyć ku Rynkowi, gdy Solański dostrzegł jakieś zamieszanie pod dawną siedzibą Habsburgów. Zastanowiłem się, czy przypadkiem na tym zamku nie urzęduje jakiś rąbnięty kasztelan, na wzór tego całego Józefa opisywanego w niewielkich rozmiarów książeczkach, z których zarykiwała się ze śmiechu Róża. Autor nazywał się Evžen Boček, był Czechem i sam pracował na zamku, wiedział więc, o czym pisze.

Te dwie wścibskie jednostki ludzkie oczywiście od razu skrzyły w lewo i poprowadziły mnie pod zamek. Zaraz też dostrzegliśmy starszego aspiranta Lucjana Kordela, który ze znudzoną miną opierał się o radiowóz i wpychał sobie do ust resztkę bułki ze śledziem (jestem wyczulony na zapach rybki, ponieważ gustuję w niej od naszego ostatniego wyjazdu do Sopotu). Oprócz niego na terenie zamkowym kręciło się kilku mundurowych. A z głębi dochodziły jakieś lamenty.

– Co się stało? – zapytał Solański.

Lucek tak się na nasz widok wystraszył, że zakrztusił się swoją bułą. Zrobił się cały czerwony na facjacie, uniósł ręce do góry w geście poddań-

czym i próbował łapać powietrze, jak – nie przymierzając – wyrzucony na brzeg śledź. Róża zareagowała błyskawicznie. Doskoczyła do policjanta i zadała mu łupnia w plecy. Ten na chwilę zamarł. I już myślałem, że po nim, gdy nagle z jego ust – bardzo nieelegancko – wyleciał nieprzetrawiony kawałek posiłku, a chłopina odzyskał oddech.

– Jeeezu – jęknął, gdy w miarę doszedł do siebie. – Mało nie umarłem – poskarżył się.

Ludzkie samce są – jak zauważyłem dzięki już dobrym kilku wiosnom spędzonym u boku Szymona Solańskiego – niezwykle przewrażliwione na punkcie swojego zdrowia. Ledwie się takiemu katarek przytrafi, a już każe wzywać ambulans. Jeśli nie koronera. Ten z kolei trochę się poddusił i już chce się witać z grabarzem. Doprawdy nie wiem, jak kobiety wytrzymują te wszystkie historie swoich oblubieńców.

– Już bez przesady – skarciła gliniarza Kwiatkowska. – No to co tu się dzieje? – wróciła do tematu.

– Ach, bo jakiś debil wyciął magnolię – wyjaśnił Lucjan Kordel. – Tę największą.

– No właśnie! – Róży się przypomniało, że my to już wcześniej wykryliśmy. Inni pewnie też, ale policja dopiero teraz pofatygowała się na miejsce zdarzenia.

– Barbarzyństwo! – dało się słyszeć pokrzykiwania jakiejś kobiety. – Kara śmierci! Sama ją wykonam! Tylko wskażcie mi winnego! – Ryki stały się coraz głośniejsze, aż wreszcie naszym oczom ukazała się niewiasta na pierwszy rzut oka tak około sześćdziesiątki. Ubrana w wielokolorowe ponczo, przypominała mi motyla. Gdy wymachiwała rękami, poły wdzianka powiewały niczym skrzydła. Charakterek za to miała iście tygrysi. – Pan! – Wskazała na Kordela.

Dobrze, że policjant nie miał już bułki, bo gotowy się ponownie zadławić.

– Pracujemy nad sprawą – zapewnił prędko.

– Niezbyt efektywnie! – skarciła go kobieta. – A wy to kto? – poinformowała się, lustrując naszą nieświętą trójkę.

– Róża Solańska – przedstawiła się Kwiatkowska. – Dziennikarka. A to mój mąż. – Wypchnęła przed siebie Szymona. – Prywatny detektyw. – Dobrze, że mnie nie przedstawiła. Woląłem nie zwracać na siebie uwagi. Nicco się bałem tej krzykaczki, muszę przyznać. Być może mój strach miał coś wspólnego z faktem, że ja, ogólnie rzecz biorąc, nie przepadam za owadami. Jeśli na przykład do pokoju wleci ćma gigant, mnie należy w takiej sytuacji szukać pod łóżkiem. Wiem, że niektórym może się to wydać irracjonalne, ale nic nie poradzę na swoje fobie. Zresztą słyszałem o bardziej odjechanych. Jest podobno na przykład taka, co się zwie trypofobia i osoby na nią cierpiące boją się zbyt dużej liczby występujących obok siebie dziurek. Nie pytajcie...

– To się doskonale składa! – Moje rozmyślenia przerwała motylca. – Mira Chowaniuk – przedstawiła się i podała Róży prawe skrzydło. – Ja już jestem emerytką – wyznała – ale dobro mojego miasta wciąż mi leży na sercu! A skarbem Cieszyna jest...? – Nagle przeszła do przeprowadzania quizów. Od razu mówiłem, że owadom nie można ufać.

– Piwo? – wyrwało się Róży.

– Szymonki? – strzelił Szymonek.

– Bułki ze śledziem? – dołożył glina.

– Magnolie! – poprawiła ich Mira. – A jakiś neandertalczyk dopiero co wyciął jeden z naszych najpiękniejszych okazów. I ja mu tego nie daruję! – obiecała.

Pozostało nam wierzyć jej na słowo.

Na sugestię, że Róża ma napisać o sprawie do gazety, a Solański znaleźć mordercę magnolii, jak się wyraziła Chowaniuk, oddaliliśmy się z Góry Zamkowej w popłochu.

Co więcej, wyemigrowaliśmy za granicę!

Znów bez żadnej pieczętki w paszportach!



Szymon Solański zgłodniał. W odróżnieniu od swojej żony nie skonsumował przez ostatni kwadrans połowy dziennej produkcji miejscowych cukierków, zatem miał prawo wrzucić coś na ruszt. A mówiąc „coś”, oczywiście miał na myśli smażony ser i hranolky! Gdy wróci do domu, będzie się pożywiał standardowo. Teraz chciał maksymalnie wykorzystać czas spędzany w Czechach. Także pod kulinarnym względem.

Zaciągnął Różę do hospody, którą na rogu Hlavní třída i Božkovej prowadził Jiří Krásnohorský. Wcześniej jednak zostali zmuszeni przez Gucia do wstąpienia do położonego po sąsiedzku sklepu zoologicznego Maxi Pet i zakupienia kilku przysmaków. Pies zapał się przed wejściem do przybytku, więc po pierwsze, tylko półgłówkę nie zrozumiałby, o co mu chodzi, po drugie zaś, nawet gdyby kto się chciał sprzeciwić czworonogowi, nie było siły, by tego dokonać. Gdy chodziło o żarcie, pies nabierał nadspodziewanych sił. Wkroczyli więc do hospody z psem trzymającym kość w pysku.

– Hranolky ze smażonym serem! – Solański złożył zamówienie i wciągnął w płuca przesiąknięte zapachem starego oleju powietrze.

Jiří dzisiaj też robił za kelnera. Schował niezapisany kajecik do tylnej kieszeni spodni i poszedł do kuchni wydać dyspozycje. Facet wyglądał detektywowi na wyjątkowo antypatycznego. Jednak trzeba mu było oddać, że popisowe danie przyrządzał znakomicie. Piwo też miał niczego sobie.

– Idę na zachód^[17] – zabłysnął Szymon i skierował się do korytarzyka przed barem.

Kiedy po chwili wracał, jego wzrok padł na zaplecze, które z tego miejsca mógł swobodnie obserwować. Najpierw zauważył kufel, do którego ciurkiem z kranika wpływało piwo, potem zaś właściciela hospody nachylającego się nad naczyniem i...

– Róża! – Solański galopem podbiegł do żony i zasyczał jej do ucha.

– Oszalałeś? – poinformowała się dziennikarka i pomasowała się po małżowinie. – Chcesz, żebym ogłuchła?

– On nam... – jękał się Szymon. – On nam... napluł do browara! – wyjął.

Kwiatkowska wybałuszyła oczy na męża. Nie kazała sobie jednak powtórzyć przedstawionych właśnie rewelacji. Ze zgrzytem krzesła o podłogę wstała od stołu i dwoma susami znalazła się przy barze. Tkwiła tak przez chwilę bez słowa i przypatrywała się odwróconemu do niej plecami mężczyźnie. Wreszcie wypaliła.

– Bałwan!^[18] – I wskazała na Krásnohorský’ego palcem, żeby nie miał wątpliwości, że o nim mowa.

Facet rozejrzał się wokół siebie, jakby przypuszczał, że jednak kogo innego miała dotyczyć ta inwektywa. Przy czym w ogóle nie wyglądał na obrażonego. Róża poczuła się niezrozumiana. Jakoś w tej jednej chwili zapomniała wszystkie te czeskie słowa, których nauczyła się przez parę miesięcy pobytu w Cieszynie. Nie mogła więc dobitnie wygarnąć temu karczmarzowi z bożej łaski. Jechała zatem po polsku, z niewiadomych przyczyn mało płynnie, jakby również ojczystej mowy nie pojęła w stopniu zadowalającym.

– Ten płyn^[19]. – Wskazała na zmaczone piwo i z braku adekwatnych słów po prostu pokiwała facetowi energicznie palcem wskazującym przed nosem.

Krásnohorský zamiast się jakoś wytłumaczyć czy przeprosić, zadarł nos i zaczął węszyć. Róża łypnęła na niego złowrogo.

– Co pan jesteś, jakiś ksenofob? – poinformowała się. – Polaków nie lubisz? Ja wiem, że my nie jesteśmy narodem do rany przyłóż – weszła jednak w gawędziarski ton. – I wam nieraz podpadliśmy. Choćby w sześćdziesiątym ósmym. Ja chyba panu nie wyglądam na taką, która by w tamtym czasie już żyła? – zeźliła się.

Na tę przemowę facet zrobił się purpurowy na twarzy. I twarz tę przysunął niebezpiecznie do facjaty Kwiatkowskiej.

– Oddawać nam Cieszyn! – wycedził przez zęby. – A jak już musisz wiedzieć, to mój tatuś w sześćdziesiątym ósmym został ranny! Do końca życia nie wstał z wózka inwalidzkiego! To za to chociaż Cieszyn nam się na-

leży – poprowadził mało logiczny wywód. – Cieszyn powinien być czeski! Cały! Łącznie z zamkiem, tym waszym rynkiem, starówką i co tam jeszcze nam ukradliście!

– My? – upewniła się dziennikarka.

– Polacy! – potwierdził mężczyzna i teraz już jawnie napluł Kwiatkowskiej do piwa.

Szymon obserwował tę scenę z oddali. Był pewny, że jego żona pochwyci ochrzczonego ostravara i wyleje go po prostu na łeb nacjonalisty. Nic takiego – ku jego zdziwieniu – się jednak nie stało. Róża zachowała spokój.

– Biedny, biedny człowieku – przemówiła pełnym pożałowania tonem. – Mamy dopiero kwiecień^[20], a ty już tak się denerwujesz.

– Duben!^[21] – poprawił ją Krásnohorský.

– Och, sam jesteś dureń. – Dziennikarka nie zrozumiała rozmówcy, wciąż jednak zachowywała spokój. – To co ty zrobisz, gdy przyjdzie czerwiec i zjadą ci się tu hordy polskich turystów? Bzika dostaniesz!

– Červenec^[22] – przemówił znów karczmarz. – Wtedy dopiero przyjadą.

– No to przecież mówię! – O! Wreszcie było słycać nuty irytacji w głosie Róży. Solański odetchnął z ulgą. Spokój grabarza nie był typowy dla jego żony i raczej zwiastował kłopoty. – Musisz uważnie słuchać! – poczyła mężczyznę. – A co do jakichś ruchawek geopolitycznych, to sobie daruj – poradziła rozmówcy. – Wszyscy tu się pięknie dogadują, Grażyny rządzą zgodnie, a temu się nie podoba – gderała. – Teraz nalej nam porządnie piwa – zażądała. – A jak mi do niego znowu naplujesz, to ci nakopię do kloaki^[23]! – popisała się jednak szczątkową znajomością czeskiego. – Mam cię na oku! – przestrzegła.

Koniec końców obiad okazał się całkiem w porządku. Solański nie mógł narzekać.

ROZDZIAŁ 4

*Gdyby wszyscy ludzie myśleli o innych jak najlepiej,
toby się raz dwa wzajemnie wytłukli^[24].*

Gdyby wziąć pod uwagę ulubione przez starszego aspiranta Lucjana Kordela statystyki, drużyna Piasta Cieszyn nie miała najmniejszych szans wygrać dzisiejszej potyczki z piłkarzami FK Czeski Cieszyn. Tego jednego dnia Lucjan wolał zapomnieć o matematyce. Wieczorem na stadionie po czeskiej stronie Olzy miał się rozegrać mecz wyżej wymienionych drużyn. Kordel już dawno kupił sobie oraz synowi bilety i odliczał dni w kalendarzu do tego sportowego wydarzenia.

Tymczasem całkowicie pochłaniały go obowiązki zawodowe. Sprawa morderstwa Habsburga była niewątpliwie wyjątkowa i o niespotykanym dla nich kalibrze, jednak i bez tego urabiali się po same łokcie. Kordel siedział więc w komendzie przy Wojska Polskiego od świtu do późnego wieczoru niemal siedem dni w tygodniu.

– Ty tam lubisz gnić! – oskarżyła go Iwonka tego ranka, gdy spakował już drugie śniadanie do plecaka i się zbierał do wyjścia. – W ogóle dla nas nie masz czasu – perorowała. – Zawsze praca jest ważniejsza od rodziny.

Tak daleko z tą diagnozą by się nie zapędzał. Jednak słowa żony utkwiły mu w głowie. I teraz, zerkając z okna swojego gabinetu na mieszczącą się po drugiej stronie ulicy podstawówkę, zastanawiał się, czy w twierdzeniu Iwony nie ma choć odrobiny prawdy.

– Dzisiaj idziemy z Kubą na mecz! – usprawiedliwił się jeszcze w przedpokoju, wiążąc jednocześnie sznurówki. – Mogłabyś dołączyć – zaproponował.

– Dobrze wiesz, że nie cierpię piłki nożnej! – Iwonka zdenerwowała się jeszcze bardziej. I chyba zapomniała przy tym wszystkim o smażących się w kuchni kotletach, bo już było czuć swądek spalenizny unoszący się w mieszkaniu. Lucjan miał jednak swój rozum i wiedział, że lepiej dla niego będzie nie zwracać uwagi żony na tę kulinarną wpadkę. – Banda dorosłych chłopów w szortach ugania się przez trzy godziny za piłką. – Pani Kordelowa klarowała powody swojej dezaprobaty.

– Dziewięćdziesiąt minut. – Wbrew rozsądkowi Lucjan dokonał sprostowania.

– Wszystko jedno! – zeźliła się Iwonka. – Biegają jak z rozwolnieniem i jeszcze rzadko który potrafi trafić w bramkę! – diagnozowała stan polskiego futbolu, zdaniem policjanta nieco zbyt surowo. – Zadyszki dostają po kwadransie. To już nawet ja bym dłużej wytrzymała! Chociaż wiesz, jak nienawidzę sportu! I ludziom się to każe wszystko oglądać. Nie za darmo! Przez trzy godziny! – Jeśli Iwonka wbiła sobie coś do głowy, nie sposób jej było przetłumaczyć, że rzeczywistość może wyglądać odmiennie od jej obrażeń.

– No to pójdziemy sami – mruknął Lucjan.

Cmoknął żonę w policzek i umknął do pracy.

A teraz zerknął na zegarek i stwierdził, że ma jeszcze trzydzieści minut do zakończenia służby. Potem skoczy szybko do domu, zje te przypalone kotlety, zabierze młodego i wio na mecz. Zanim jednak do tego dojdzie, mógł jeszcze wykorzystać czas i zastanowić się nad śledztwem. Porzucił więc myśli o rodzinie, oderwał wzrok od uczniów wybiegających właśnie ze szkolnego budynku na podwórko i zasiadł przy swoim biurku.

Laboratorium twierdziło, że Gustaw von Habsburg został otruty fentanyllem. Lucjan wyszukał lek w Internecie. Odechciało mu się lektury tych wszystkich skutków ubocznych, wskazań, dawkowania czy rodzajów interakcji już po trzech zdaniach. Jedno było pewne – nietrudno dostać taki specyfik w dzisiejszych czasach. Sądził więc, że chodzenie po aptekach i wypytywanie, czy ktoś ostatnio nie kupił nadmiernej ilości sprayu do nosa

z fentanylem, miało się z celem. Przypuszczał, że morderca był sprytniejszy i z pewnością nie nabył narzędzia zbrodni u lokalnego farmaceuty.

W ogóle Lucjan był zdania, że życie – w tym pracę – trzeba sobie ułatwiać. Bo skoro coś wydawało się nieprawdopodobne, to po co tracić na to czas? Lepiej było skupić się na kwestiach bardziej oczywistych. Wprawdzie akurat teraz nie za bardzo wiedział, jakie by to miały być kwestie, ale był pewny, że Liduška coś wymyśli. Ona z kolei zazwyczaj upierała się przy sprawdzaniu każdego, nawet najbardziej bezsensownego, detalu. Pracowali razem już nie raz i nie dwa, i Kordel zdążył doskonale poznać jej metody działania. Zresztą nie tylko te związane z policyjną robotą...

Nie doszedłszy do żadnych istotnych wniosków, wstał zza biurka i opuścił komendę.

Mijał właśnie starą, zapuszczoną kamienicę przy Górnej czternaście, gdzie przy wejściu powieszono mało czytelną tablicę pamiątkową informującą, że w latach 1923-1932 pod tym adresem mieszkał Kornel Filipowicz (dodano też na końcu: „pisarz”, gdyby jakiś przechodzień miał wątpliwości, o którego Kornela chodzi), gdy poczuł uderzenie fali głodu. Aż zrobiło mu się słabo. Przyśpieszył więc kroku i wreszcie wpadł do mieszkania.

– Kochanie, jestem! – zawołał od progu.

Odpowiedziała mu cisza. Co gorsza, w powietrzu nie unosił się zapach obiadu. Nawet tego sfajczonego!

– Iwonka... – dodał niepewnie.

Dalej nic.

Zdjął buty i kurtkę. Wszedł do kuchni. Jego wzrok od razu padł na karteczkę umieszczoną na pustym piecu gazowym. Podetknął ją sobie przed oczy.

– „Obiad się spalił. A ja wyszłam na spotkanie z koleżanką. Bawcie się dobrze” – odczytał na głos wiadomość od żony. – Spalił? – zdumiał się Lucjan. – Wyszłam? Z koleżanką? – Wreszcie sam się zorientował, że musi brzmieć dość irracjonalnie, powtarzając tak każde słowo.

Nie zdążył zlustrować lodówki w poszukiwaniu może jakiegoś niedojezzonego dania z wczoraj, gdy trzasnęły drzwi wejściowe.

– Iwonka? – Pognał do przedpokoju.

– Tata, chodź, bo się spóźnimy – ponaglił go Kuba, który w przeciwieństwie do matki podzielał upodobania sportowe ojca.

– Daj mi sekundę – poprosił Kordel.

Kiedy przebierał się w łazience, jego myśli krążyły wokół jednej palącej kwestii – czy na meczu będą sprzedawać hot dogi?

Już z daleka dostrzegł na moście i na bulwarach ciągnących się po obu brzegach Olzy sznury zmierzających na mecz kibiców odzianych w pozakładane na kurtki koszulki w żółto-czerwonych barwach klubowych i także szaliki. Rozgrywka wprawdzie miała mieć charakter towarzyski i w zasadzie stoczyć się o honor – czyli to, o co zawsze grała polska reprezentacja na mundialach czy mistrzostwach Europy, duch jednak w cieszynianach był awanturniczy.

– Do boju, Piast! Do boju, Piast! Sięgnijemy dziś do gwiazd! – Słychać było przyśpiewki.

Kuba, syn Lucjana, szybko podłapał słowa i też nucił je pod nosem, gdy przeszli już do Czech i mijali tabliczkę z napisem „stadion kopané” w drodze do kompleksu sportowego Frýdecká, gdzie odbywała się impreza. Z przeciwnej strony nadciągały tłumy żółto-czarnych kibiców FK Český Těšín, którzy – jak miał nadzieję Lucjan Kordel – zostaną dzisiaj rozgromieni.

Lucjan wyjął bilety – miejsca mieli całkiem w porządku: na dolnej trybunie, prawie pośrodku murawy. Kordel wpadł o dziwo w tak dobry nastrój, że nawet dał się namówić Kubie na zakup tych migających, świecących w ciemności bzdziństw, które można było sobie przyczepić do ubrania. Do hot dogów, które na szczęście były w sprzedaży, i kofoli nie trzeba go było przekonywać. Zaopatrzeni w gadżety i wiktuały zasiedli na swoich miejscach. Z trybuny naprzeciwko poniósł się zgodny chór setek gardeł:

– Zelená je tráva, fotbal to je hra, a ten míč kulatý věc je záludná tak si každý z nás na něj pozor dej po zemi ho jemně podávej^[25].

– Tato! A do které bramki my kopujemy? – chciał wiedzieć Kuba.

Lucjan zatrzymał się w pół ruchu z hot dogiem pikującym w stronę jego ust, by wyjaśnić dziecku zawilosci futbolu, ale w rezultacie ani nic nie powiedział, ani sobie nie pojadł. A to dlatego, że kątem oka zobaczył ją.

Liduškę Žrankovą.

No przecież nie mogło jej tu zabraknąć. Większej fanki FK Český Těšín nie uświadczysz. Siadała właśnie na swoim miejscu. Po chwili obserwacji Lucjan uznał, że przyszła na mecz sama. Pół twarzy zasłaniała jej czapka z daszkiem. Dres zwisał na chudym ciele. Nawet długi rudy warkocz wyglądał smętnie. Lucjana coś zakłuło w okolicy serca.

– Tato! Wychodzą! – emocjonował się Kuba.

Kordel stracił jednak zainteresowanie piłką nożną. Nawet odeszła mu ochota na jedzenie. Wrzucił całego hot doga do kubka po kofoli, którą syn zdążył z miejsca wciągnąć, i zamiast na piłkarzy gapił się na policjantkę. Musiała jej doskwierać ta sprawa. Może niepotrzebnie tak się upierał, żeby czeska strona też wzięła udział w dochodzeniu? Liduška pewnie i tak miała huk roboty. A może problemy, wręcz wypisane na jej twarzy, dotyczyły się życia osobistego? Czyżby ktoś ją skrzywdził? Jej siostra i matka też, z tego, co pamiętał, dokładały swoje. Czy powinien do niej podejść? I zagadać? Dać jej znać o zawieszeniu broni? Już się nawet podnosił z miejsca, chciał przeproszać i przepychać w tłumie, w ogóle nie zwracając uwagi na toczący się w dole mecz, jednak otrzeźwiły go dwie sprawy.

Po pierwsze, Liduška nagle poderwała się z miejsca i zaczęła wymachiwać nad głową klubowym szalikiem. I się wydzierać. Do Kordela powoli wracała fonia.

Po drugie zaś, do policjanta dotarło, co takiego wykrzykuje jego była narzeczona, ponieważ te same słowa padały z ust jego synka.

– Piast čurák! Piast píča! – wykrzykiwał naprzemiennie Kuba, skandując z czeską grupą kibiców.

– Kuba! – wydarł się teraz Lucjan.

– No co? – zaciekawił się chłopczyk. – Nie podoba ci się piosenka?

– Tak nie wolno mówić! Nie wiesz, co to znaczy. – Kordel sam się wko-
pał. Choć nie można przecież zawsze o wszystkich myśleć dobrze. Może
więc nawet jego klub powinien czasem usłyszeć parę słów prawdy. Choćby
i one sprowadzały się do wulgarnych określeń narządów rodnych.

– A co to čurák? – chciało wiedzieć dziecko.

– To jest... – zająknął się policjant. – To jest... koński ogon! – palnął
w końcu, wciąż mając przed oczami włosy Liduški. – I nie wolno tak wołać
na drużynę – pośpieszył z naprędce wymyślonymi wyjaśnieniami – bo to
znaczy, że uważasz, że są powolni. Że biegają w ogonie. Czyli z tyłu. Rozu-
miesz? – zapytał syna, choć sam niczego nie pojmował ze swojego bełkotu.

Dziecko popatrzyło na niego podejrzliwie, ale przynajmniej przestało
wykrzykiwać przekleństwa. To miał być towarzyski mecz w rodzinnym
gronie! A zamienił się najwyraźniej w regularną kibolską nawalankę.

Jakoś dotrwali do końca widowiska, choć już niewiele brakowało, by na
murawę poleciały kawałki połamanych krzesłek. Lucjan z ulgą wyprowa-
dził wreszcie syna poza stadion. Kuba, dla odmiany, był zachwycony. Kor-
del zastanawiał się, czym go przekupić, żeby nie wygadał matce szczegó-
łów dzisiejszego wydarzenia. Gotowa zabronić im wspólnych sportowych
wyjść.

Kiedy znaleźli się wreszcie na ulicy Frýdecká, wciąż z trudem przepy-
chali się przez wylewający się ze stadionu tłum. Czescy kibice byli w zna-
komitych nastrojach, bo niestety ich drużyna nakopała Piastowi, aż żal było
patrzeć. Lucjan ścisnął za rękę Kubę, żeby tylko go nie zgubić. Zagapił się
pod nogi i wpadł na kogoś przed sobą.

– Przepra... – zaczął, ale nie skończył.

Przed nim stała czerwona na twarzy, z łobuzerskim błyskiem w oku i roz-
czochranym warkoczem Liduška.

– Dostaliście w prdel^[26] – rzuciła z uciechą.

Lucjan zastanawiał się, jak jej dogryźć. Sentymenty, które na chwilę dopadły go na stadionie, już dawno poszły w zapomnienie. Ponieważ w kwestii meczu nie miał zbyt szerokiego pola do mądrzenia się – nie da się ukryć, że przerżnęli z kretelem – uznał, że nawiąże do nieudolnie prowadzonego śledztwa i chociaż na tym polu osiągnie chwilowe zwycięstwo. Nie zdążył się jednak odezwać, gdyż uprzedził go syn.

– Ładny ma pani čurák – powiedział mianowicie, zadzierając głowę i przyglądając się zwisającemu na piersi policjantki warkoczowi. – Taki czerwony.

Czerwony to się zrobił Lucjan na twarzy. Liduška zresztą też. Po chwili konsternacji ryknęła jednak śmiechem. Poczochrała Kubę po czuprynie. I zniknęła w tłumie.

A Lucjana Kordela znowu coś zakłuło w klatce piersiowej.



Miasto mówi / Město říká

Miasto lubiło, gdy lokatorzy korzystali z jego udogodnień. Kiedy żyli pełnią życia. Bawili się i cieszyli z każdego dnia spędzonego w Cieszynie. Wszystko jedno, czy czeskim, czy polskim. Jak już miasto mówiło, było jednym organizmem podzielonym przez idiotów na nierówne części.

Czego jednak nie znosiło – i najchętniej, gdyby miało taką możliwość, w takiej sytuacji rozpętywałoby mieszkańcom piekło na ziemi (a przynajmniej porządną burzę) – to rozrób. Niszczenia mienia. Pijaków, bandytów, wszelkiej maści łajz, którym strzelało coś od czasu do czasu do łbów i rozpoczynali swoją haniebną działalność.

Jak ta zgraja tego wieczoru.

Zresztą po meczu zazwyczaj tak bywało. Miasto nie cierpiało futbolu. Budził w ludziach kretyńskie instynkty. Gdyby miało sporządzić dokładną

listę występków, do jakich doszło w tę kwietniową wczesną noc, musiałyby na niej wypisać takie debilizmy jak: obsikanie licznych latarni, krzaków, pomników, a nawet świątyń (najbardziej oberwało się tej należącej do świadków Jehowy, ponieważ niefortunnie stała nieopodal stadionu). Ponadto doszło do stłuczenia dwóch szyb w dwóch różnych samochodach ufnie zaparkowanych przy ulicy, jednej przebitej nożem opony, kilku zerwanych zupełnie niepotrzebnie kwiatów magnolii z przydomowych ogródków, a także do spawiwania się akurat tuż przed furtką prowadzącą do posiadłości należącej do Grażyny. Tej Grażyny!

Miastu to się nie podobało.

Jednak z drugiej strony może burmistrzynie na drugi raz się zastanowi, zanim zezwoli na organizację takich barbarzyńskich igrzysk, jak ten mecz jednego Cieszyna z drugim. Cóż za aberracja! Cieszyn występował w liczbie pojedynczej! W swoim przynajmniej mniemaniu. Jak więc miał grać sam ze sobą? Zupełny bezsens.

Tymczasem hordy kibiców podnieconych zwycięstwem tych jedenastu bubków w żółto-czarnych koszulkach przelewały się przez ulice Cieszyna i siały zniszczenie. Wśród nich kroczyła rażno ruda policjantka. Najpierw bardzo zadowolona, z każdym jednak krokiem, który przybliżał ją do jej wstrętnego bloku przy Kopernikowej, z coraz bardziej spuszczonego na kwintę nosem. Gdy wreszcie dotarła do swojej klatki, miasto ujrzało w jej oczach czające się łzy. Przetarła je ze złością rękawem bluzy i wbiegła na swoje ostatnie piętro. Bez zadyszki.

Od stadionu ciągnął też ten polski glina, wlokąc za sobą syna, którego już od małego kształtował na swoje podobieństwo. Miasto, gdyby potrafiło, skrzywiłoby się na taką wizję. Ten cały Lucjan Kordel niespecjalnie spodobał się miastu. Lelum polelum, tak się chyba na takich mówiło. Dzieciak za to jeszcze rokował. Widać, że miał dobry słuch i doskonałą pamięć. Oraz niewyparzony język. Wedle współczesnych standardów mógł więc daleko zajść w życiu.

Polska część miasta była spokojniejsza. Znaleźli się w niej nawet mieszkańcy, którzy lekce sobie ważyli ten kretyński mecz. Ba! Pewnie nawet nie

mieli pojęcia o tym, że się odbył. Na przykład ten chłopak ze szczurem w kieszeni. Siedział sobie spokojnie w studni Trzech Braci i pogwizdywał wesoło. Karmił szurka jakimś smakołykami, które dopiero co wyjął ze śmietnika. Dzielił je równo między siebie i pupila. Bolały go nogi, bo dużo tego dnia spacerował. Zresztą jak zwykle. Odwiedził na przykład Górę Zamkową, skąd podziwiał urodę miasta (nie można było chłopaka winić, że docenia piękno okolicy), przeszedł się bulwarami wzdłuż Olzy. Uciął sobie drzemkę na jednej z tych dziwnych okrągłych ławek. A potem zrobił szybki przegląd koszy na śmieci, dzięki czemu teraz mieli z Mundkiem ucztę.

Mira Chowaniuk też miała w nosie wydarzenie sportowe. Siedziała przy oknie w salonie swojego mieszkania ulokowanego w kamienicy przy ulicy Głębokiej. I wyglądała w ciemną noc, co i rusz przecierając policzki kaniem dłoni. Łzy nie chciały przestać płynąć. Jednak one, jak zauważyło miasto, zmieniły z czasem swój charakter. Początkowo wyrażały rozpacz. Mira nie potrafiła się pogodzić ze stratą jednej z najpiękniejszych magnolii – wiozówki Cieszyna! I w tym odczuciu miasto ją popierało.

Jednak z minuty na minutę nastrój Miry się zmieniał. Narastała w niej wściekłość. Na tego zwyrodnialca, który wyrznął magnolię. Zasługiwał na to, by z nim zrobić dokładnie to samo. Zasługiwał na to, co go spotkało. Mira nagle uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Miasto miało już dosyć tych emocji. Zostawiło mieszkańców samych sobie. Zamknęło oczy i poszło wreszcie spać!



Udało mi się ponownie zasnąć po tym, gdy Róża zwlekła się z wyra, obudziła wszystkich świętych (znaczy mnie i Szymonka), przesuwając tam i nazad drzwi do toalety, i oznajmiła nam, że idzie do roboty. Jakbyśmy tego nie wiedzieli... Solański przewrócił się na drugi bok i schował kudłaty czarny, choć poprzetykany już pierwszymi nitkami siwizny łeb pod poduszką. Ja, jak już zostało powiedziane, się zdrzemnąłem. Moje błogie szczęście nie trwało jednak długo.

Rozdzwoniła się ta przekłeta nokia należąca do detektywa. Naprawdę miałem nadzieję, że się na dobre pozbędziemy tego rozklekotanego kalkulatora, który swoim brzęczeniem już nieraz odrywał mojego pana od najważniejszej na świecie czynności, czyli głaskania psa. Szymon musiał spać badziewie klipsem, żeby w ogóle się jeszcze do czegokolwiek nadawało. Niestety prowizorka, jak to prowizorka, okazała się trwała.

– Tu Liduška Žrankova – rozbrzmiało na cały nasz pokój. Najwyraźniej noki rozregulowała się już kontrola głośności i przy każdej okazji aparat ryczał na potęgę. – Tak sobie pomyślałam... – urwała, a Solański usiadł na łóżku i potargał sobie jeszcze bardziej fryzurę. – Bo mam tu takiego jednego, niby studenta... – Znów urwała. Zastanawiała się przez chwilę. Solański nie przeszkadzał. – Polaka, więc zgodnie z umową powinnam go właściwie oddać w ręce Lucjana. Ale wolę nie – przyznała. – I ten student to jest straszna trzęsidupa. Boi się ze mną rozmawiać. Przypuszczam, że ma coś na sumieniu i paraliżuje go widok munduru. Więc tak mi przyszło do głowy... Jest pan tam jeszcze? – zapytała, bo Szymon wciąż się nie odzywał. Sam się zastanawiałem, czy przypadkiem nie zasnął. Nawet szturchnąłem go na tę okoliczność łapą.

– Jestem. – Ocknął się.

– Pogadałby pan z nim? Grażyny prosiły, żebyśmy się wspierali w śledztwie. Więc pan im potem powie, że się wykazałam wolą współpracy. To jest małe miasto – tłumaczyła. – Małe miasto, długie macki władzy. A ja lubię swoją robotę. Ponad wszystko – powiedziała, a my nie mieliśmy powodów jej nie wierzyć.

– Ale o czym? – Szymon się jeszcze do końca nie obudził. – Mam z nim gadać?

– Och, o morderstwie, a o czym?! – zeźliła się policjantka. – To jak, schodzi pan?

– Schodzi? – Nawet ja musiałem przyznać, że Solański nie brzmiał jak osoba inteligentna.

– Na pewno jest pan tym sławnym detektywem? – zastanawiała się Liduška. – Co to niby rozwiązał tyle spraw? Na dole czekam! – huknęła. – Le-

piej niech się pan pośpieszy, bo nie mam całego dnia.

– Skąd... – zaczął Szymon, pewnie chcąc się dowiedzieć, jakim cudem policjantka wiedziała, gdzie mieszkamy. Ale tak jak i ja doszedł do wniosku, że co by to była z niej za funkcjonariuszka, gdyby takiej prostej zagadki nie potrafiła rozwiązać. – Proszę mi dać pięć minut – poprosił. – Siemdem!

Rozłączył się i w trybie ekspresowym umył się i ubrał. O śniadaniu musiał zapomnieć. Dobrze, że Róża, zanim poszła do redakcji, napełniła mi miskę. W czasie gdy mój pan się pindrzył, ja sobie pojadłem i mogłem z godnością przystąpić do czynności śledczych.

– Dłużej się nie dało? – przywitała nas Žrankova.

Siedziała w fotelu recepcjonistki i bezwstydnie przeglądała listę zameldowanych gości na komputerze. Zaraz to zauważyłem, bo wepchnąłem się za ladę i zlustrowałem jej poczynania. Pani policjantka wzbudziła we mnie podejrzliwość. Choć mogło być też tak, że uległem nastrojowi Kwiatkowskiej, która, zapoznawszy się z tożsamością funkcjonariuszy biorących udział w śledztwie, z miejsca znieubiła Czeszkę. Jeśli sądzicie, że była zazdrosna, to nie jesteście w błędzie.

– Zadzwoń na numer, który podaliśmy w mediach do kontaktu. Dla tych, którzy mogli widzieć coś podejrzanego w okolicach czasowych śmierci tego całego Habsburga – wyjaśniała, gdy szliśmy w stronę parkingu. – Chłopak nazywa się Krzysztof Knast i jest studentem Uniwersytetu Śląskiego. Tu, w Cieszynie. Gdy mu powiedziałam, że będzie musiał złożyć wyjaśnienia na komendzie, to najpierw się rozplakał, a potem rozłączył – rzuciła z westchnieniem. – Musiałam go ponownie namierzyć i przekonać, żeby porozmawiał z kimś spoza struktur. Normalnie jak z jajkiem trzeba! – obruszyła się. – Ta dzisiejsza młodzież jest przewrażliwiona – denerwowała się. – Nie patrz na takiego krzywo, bo zburzysz jego morale. Nie podnoś głosu, bo będzie miał traumę. Nie krytykuj, bo zawali się jego świat. Już bez przesady! – orzekła.

Nie byłem jednak pewny, czy ostatnie zdanie aby na pewno odnosiło się do wspomnianego wrażliwca Krzysia, bo mogło też do zastanej na parkingu

hotelowym sytuacji. A ta prezentowała się tak, że obok siebie, drzwi w drzwi, stały dwie szare przerdzewiałe skody fabie. I wyglądały jak klony. Jedna z pewnością była nasza. Poznałem po znajomym swądku. Druga zaś, jak się szybko okazało, należała do nowej znajomej.

Solański, jak to chłop, niczego nie zauważył, tylko automatycznie wyjął z kieszeni kluczyki i wziął się do otwierania... nie swojego wozu.

– A panu wolność niemiła? – poinformowała się Žrankova. – Chcesz pan zostać zatrzymany za próbę włamania do policyjnego wozu?

– Hę? – Detektyw nie zrozumiał.

– Jedziemy moim – zdecydowała Liduška.

Otworzyła wrota i bez słowa wsiedliśmy do środka. Odpaliła silnik i ruszyła w drogę.

– Widzę, że ma pan dobry gust motoryzacyjny. – Wykrzywiła się w coś na kształt uśmiechu.

Tym grymasem jako żywo przypominała mi mojego pana. W ogóle znajdowałem coraz więcej punktów styecznych między tą parą chudzielców. Obawiałem się też, że nic z tego dobrego nie wyniknie. Bo jak kto jest do siebie taki podobny, to z doświadczenia wiem, że zaraz się bierze za łby. Długo nie musiałem czekać na potwierdzenie swoich przypuszczeń.

Wjechaliśmy do Polski i po licznych skrętach dotarliśmy pod jakieś ogrodzone gmaszysko. Miało czerwony dach, burą elewację i znajdowało się na wzniesieniu. Nasadzono wokół niego pełno krzaczorów. Dowiedziałem się, że to uczelnia wyższa, ta sama zresztą, którą sto lat temu ukończyli zarówno Solański, jak i Kwiatkowska, jeno ten tutaj to był wydział zamiejscowy. I gościł w swoich murach same artystyczne kierunki, czyli takie, na jakie Solański, choćby pękł, toby się nie dostał. Mój pan, gdyby zaśpiewał, rozerwałyby się bębenki w uszach osób znajdujących się na drugiej półkuli. Jeśli kazano by mu zatańczyć, biada każdemu (a zwłaszcza jego stopom), kto znalazłby się w pobliżu. A jakby miał co namalować, to pewnie piekło z miejsca rozwarłoby swoje wrota.

– Animacja społeczno-kulturalna z edukacją kulturalną – wyraziła się niezrozumiale policjantka.

– Hę? – Obawiam się, że w obecnym stanie umysłowym detektywa nie przyjęliby nie tylko tu, ale i do przedszkola uczącego metodą Montessori.

– Taki kierunek studiuje – wyjaśniła nasza towarzyszka. – Ten Knast. Gdzie on się podział? – zastanowiła się. – Miał tu czekać na schodach...

Rzeczywiście wyrosły przed nami strome i długie kamienne stopnie prowadzące do wejścia do tego edukacyjnego przybytku. Wolałbym się po nich nie wspinać, zważywszy na mą nieparzystą liczbę łap.

– Tam jest! – Ucieszona Liduška wskazała na coś palcem. – Panie Krzysztofie, proszę wyjść zza drzewa! – zaapelowała.

– Skąd pani wie, że to on? – chciał wiedzieć Solański.

– Intuicja mi to podpowiada – odparła policjantka.

I miała rację.

Zza grubego konara w rzeczy samej wyłonił się jakiś studencina z plecakiem przewieszonym przez ramię i drobiąc, podszedł do nas.

– Solański – przedstawił się detektyw i wyciągnął do chłopaka dłoń. – Podobno ma pan ważne dla śledztwa informacje.

Szymon, co od razu rozkminiłem, chciał ośmielić chłopaka, traktując go od progu z pełną powagą.

– Ale pan nie jest psem? – wyrwało się studentowi. – Znaczy... tym... gli-niarzem?

Za plecami usłyszeliśmy prychnięcie Liduški.

– W żadnym razie – zapewnił mój pan. – Pogadamy?

– Tylko że ja muszę iść do pracy – wyjęczał Krzysiu.

– Trzymajcie mnie! – zażądała Žrankova.

– W kawiarni. – Knast dalej męczył bułę. – Podwieziecie mnie?

Patrzcie państwo cwaniaczka. Ludzina przystała jednak na propozycję i całą czwórką wladowaliśmy się z powrotem do skody. Powiem wam, że w aucie – identycznym niby z naszym – było jeszcze bardziej syfiasto, niż

gdy Solański brał na przejażdżkę Różę. Kwiatkowska zawsze i wszędzie była w stanie w pięć minut zrobić wokół siebie rozpierduchę na miarę efektów działania tajfunu. Jednakże przy tym tutaj jej umiejętności bladły. Tak na szybko mogę wymienić, co mi się rzuciło w oczy: trzy zgniecione puszki po piwie, opakowanie po ciastkach (niestety puste), plątanina kabli niewiadomego przeznaczenia, niepełny blister tabletek od bólu głowy i – czego nie potrafiłem pojąć – taka śmieszna ceramiczna miska wystająca z kartonu, na którym było napisane: „fondue”. A to tylko czubek góry lodowej tego całego bałaganu!

Jak się okazało, Krzysiu pracował w kawiarni Avion położonej tuż przy moście Przyjaźni.

– Dorabiam tu sobie – zwierzył się Szymonowi, z którym zasiadł na tylnej kanapie (stanowczo odmówił ulokowania się z przodu obok policjantki. Bał się jej bardziej niż ja doktora Dłutki). – Fuchę załatwił mi kolega. On uczy się w technikum poligraficznym w Czeskim Cieszynie – rozgadał się. – Przydaję się, gdy przychodzą polscy turyści. Czasem trudno im się dogadać po czesku.

Dalej już nie trajkotał, bo dotarliśmy do białego przeszklonego okrągłaka i wkroczyliśmy do środka. Knast zniknął na chwilę na zapleczu, gdzie się pewnie musiał zameldować, a my zasiedliśmy na pomarańczowych skórzanych kanapach, które nieelegancko zaskrzypiały pod chudymi tyłkami towarzyszących mi ludzi. Rozejrzałem się wokoło. Co się od razu Solańskiemu spodobało (jego zachwyty objawiał się rozbieganym wzrokiem, trzęsącymi się dłońmi i niemal pianą toczącą się z pyska), to regały zastawione książkami. Na ścianach wisiały też czarno-białe zdjęcia mostu jeszcze z budkami celników, którzy niegdyś tu urzędowali.

– Napijcie się czegoś? – Nad nami stanął Krzysiu przebrany w firmowe wdzianko.

No to już wiedziałem, co tu się zaraz będzie odstawiało.

– Cola – burknęła Žrankova.

– Dla mnie kawa – powiedział Solański. Knast już się odwrócił, by pójść zrealizować zamówienie, ale Szymon jeszcze z nim nie skończył. – Roz-

puszczalna – dodał, a chłopak przystanął i popatrzył na detektywa. – Czarna.

– Robi się – zapewnił student.

– Z cukrem – kontynuował detektyw. – Pięcioma łyżeczkami. W szklance. Żadnych filiżanek! – zastrzegł.

Krzysiu otworzył usta. Nic jednak nie powiedział, tylko poszedł po tę siekiere. Chociaż Solański nie zjadł śniadania, nie kłopotał się zamawianiem czegoś na ząb. Właściwie po wstawieniu do szklanki połowy zawartości cukiernicy i tak dostarczał sobie kalorii z zapasem na trzy dni.

Liduška nic nie powiedziała na te dziwaczne zachcianki. Za to ugryzła się w końcówkę rudego ogona. Gdybym ja miał tak nerwowo reagować na wyczyny mojego pana, to już bym dawno swojej kity nie miał. Solański nie zdawał sobie sprawy z faktu, że zachowuje się w sposób odbiegający od normy.

– A pani... – zaczął detektyw, ale policjantka mu przerwała machnięciem dłoni.

– Skoro już jesteśmy na siebie skazani, to może będziemy sobie mówić po imieniu? – zaproponowała.

A ja od razu pojąłem, że kto jak kto, ale Róża nie będzie zadowolona z takiego spoufalania się. Ponieważ nie było jej w pobliżu, to komitywa została zawarta bez problemu.

– Szymon – powiedział detektyw i wyciągnął nad stołem dłonie.

– Liduška. – Policjantka odwzajemniła gest.

Wzrok detektywa padł na wyłożony brązową sklejką blat. Przekrzywił głowę i zaczął odczytywać napis, jaki na nim widniał. Dukał przy tym niczym jakiś absolwent hilfki, jak mawiamy na Śląsku na szkoły dla uczniów specjalnej troski. Jedyne, co go usprawiedliwiało, to fakt, że napis był po czesku.

– „Dva protipóly – celník a pašerák na různých březích společné řeky. Kontroly, potupa, fronty a útěky... Zmizely z města «mrówky» a celníci,

spaltei závory na hranici” – wyartykułował. – Co to ma znaczyć? – Zadu-
mał się i podrapał po łbie.

– Dwa przeciwieństwa – tłumaczyła na polski policjantka – celnik i prze-
mytnik na różnych brzegach tej samej rzeki. Kontrole, upokorzenia, kolejki
i ucieczki. Zniknęły z miasta mrówki i celnicy, palą szlabany na granicach.

– A, bo to jest miejsce z historią! – wtrącił się Krzysiu Knast, stawiając
na blacie napoje. – Ta kawiarnia powstała w latach trzydziestych. Zeszłego
wieku! – obwieścił z takim uznaniem, jakby co najmniej mówił o czasach
faraonów. – Zbudowała ją Żydówka. Rosalia Wiesner jej było. W trzydzie-
stym dziewiątym wysadzono most, to i kawiarni się oberwało – perorował
student. – No i Szwaby kazały budynek zniszczyć do końca. Avion odbudo-
wano dopiero w dwa tysiące dziesiątym roku! – ekscytował się. – I to jesz-
cze nie mogli początkowo użyć pierwotnej nazwy, bo była zastrzeżona.
Więc wypisali na szybach Noiva, co od środka, patrząc na opak, wyglądało
jak Avion.

– Do jasnej cholery! – huknęła Liduška. – Czy ja się nie mogę w spokoju
napić coli? – chciała wiedzieć. – Musi mi tu pan truć o tych bzdetach? Co ja
jestem, jakaś turystka?!

Krzysiu najpierw na to pobladł na twarzy, a potem zaraz poczerwieniał.

– Cicho – syknął Solański. – Znowu go wystraszyłaś. Panie Krzysztofie,
proszę sobie usiąść. – Pociągnął chłopaka za rękaw i ulokował obok sie-
bie. – No to teraz pan powie, co takiego widział, a co się może przydać
w śledztwie.

Krzysiu najwyraźniej jednak zaniemówił. Siedział z błędnym wzrokiem
wbitym w stojący naprzeciw niego regał. I ani mrugnął.

– Widzisz, co narobiłaś? – Solański zganił nową koleżankę.

Ta w odpowiedzi tylko fuknęła i wypila resztkę coli.

– Proszę tego łyknąć. – Detektyw podetknął kelnerowi pod nos swoją
kawę. Widziałem, że oddaje z żalem. Zdążył już ją odpowiednio posłodzić
i całość zamieszać długopisem wyjętym z tylnej kieszeni dzinsów. Krzysiu

musiał być początkującym kelnerem, bo mu się zapomniało przynieść łyżeczkę. – No już! – zażądał Solański.

Knast więc łyknął, zakrztusił się, opluł napis na stoliku, zachłysnął i odzyskał mowę. Czyli cel został osiągnięty.

– To było wieczorem – wyjawiał, odwracając się w stronę Szymona i wylupiając na niego oczy. – Dzień przed tym, gdy znaleziono tego Habsburga. Pracowałem na drugiej zmianie. Mieliśmy w Avionie spotkanie autorskie. Z jakąś poetką, straszna nuda, ale autorka ma najwyraźniej dużą rodzinę, bo wszystkie miejsca były zajęte. Czytała te swoje snuje, już myślałem, że przysnę – relacjonował, a ja się zastanawiałem, jak długo Krzysiu pociągnie na tym swoim kulturalnym kierunku z takim zrozumieniem dla wymagającej literatury. – I potem przez tę nudziarę musiałem zostać po godzinach i tu wszystko posprzątać. Bo towarzystwo się rzuciło na darmowy poczęstunek, który zorganizowała pani burmistrz, żeby wspierać ludzi sztuki.

– Grażyna? – wtrącił Solański.

– Chyba się nawet obie złożyły – przypomniało się studentowi. – Więc poetka i jej świta wszystko zeżarli i wypili. A bajzlu przy tym narobili, jakby tu było jakie koryto, a nie kawiarnia z bogatą historią sięgającą roku...

– Tylko mi z tym znowu nie wyjeżdżaj! – przestrzegła go policjantka.

– Do brzegu! – zażądał w tym samym momencie detektyw.

– No to przecież mówię! – zirytował się Knast i ponownie umoczył usta w kawie Solańskiego. Szybko jednak tego pożałował. Napluł na stół i dalej gadał. – Uporałem się wreszcie ze sprzątnięciem. Schowałem utarg do sejfu. Pogasiłem światła. Włożyłem kurtkę. I wtedy go zobaczyłem! – powiedział.

I zamilkł.

Detektyw i policjantka gapili się na studenta bez słowa.

– Kogo?! – Obawiałem się, że Liduška zaraz zdzieli tego młokosa.

– Skradał się po moście – zignorował ją student. – Tam i z powrotem. Przywarłem do szyby. O, tu! – Wskazał na kanapę ustawioną tuż pod

oknem i wciąż widoczny powyżej na szkle tłusty ślad po czole. – I dokładnie go widziałem, gdy tak łąził z Czech do Polski. Z Polski do Czech. Chyba z osiem razy. Po co? Nie mam pojęcia. Kiedy wreszcie nastawiłem alarm, zamknąłem wrota i sobie poszedłem w stronę akademików – a daleka droga była przede mną – to on tak wciąż łąził. Na mnie w ogóle uwagi nie zwrócił.

– Kto?! – Tym razem Solański i Žrankova ryknęli zgodnym chórem. Sam bym im zawtórował, gdyby mi się chciało.

Ale mi się nie chciało.

– A to nie powiedziałem? – zdziwił się świadek roku. – Tonda Kvapil. Ten, co zioło sprzedaje. Także u nas na uczelni. Całkiem tanio ma. O kurde! – Zorientował się, z kim rozmawia. – Ale ja u niego nigdy, przynigdy nic nie kupiłem! – zapewnił. – U innych zresztą też nie. Pani nie ściągnie mi na głowę żadnego DEA? – poprosił, najwyraźniej żyjąc w jakimś swoim równoległym, powiązanim z amerykańskimi serialami świecie.

– Muszę się napić – obwieściła policjantka. – Czegoś mocniejszego. Idziesz? – zapytała Solańskiego.

Chciałem się głośno oburzyć, że po pierwsze, dlaczego mnie też się nie zaprasza na imprezę, skoro każdy matoł by zauważył, że stoję tuż obok. Po drugie zaś, sam nie noszę zegarka, ale nawet mimo to byłem w stanie skumać, że nie ma jeszcze południa. A jak każdy wie, przed godziną dwunastą raczą się alkoholami jedynie patole. Nic jednak nie rzekłem, tylko podążyłem za tą nagle zakolegowaną dwójką, która – swoją drogą – zapomniała pożegnać się z biednym Krzysiem! Musiałem mieć ich na oku.

Po paru krokach w stronę czeskiej części miasta zorientowałem się, że nie tylko ja pilnie obserwuję Solańskiego i Žrankovą...

Mieliśmy ogon!



– To bardzo miło z pani strony – przyznała Róża Solańska, podziękowała po raz wtóry i wreszcie opuściła progi drukarni Matěja Heczki.

Udało jej się wynegocjować z młodą żoną właściciela całkiem niezły rabat na druk dla „Głosu Polaków”. Dziennikarka była przekonana, że poszło jej tak łatwo, ponieważ Eliška się rozkojarzyła. Zdawała się ledwie dostrzegać obecność Róży. Tego dnia zastępowała swojego męża, który miał jakiś ważny wyjazd służbowy. Kwiatkowska przypuszczała, że gdyby Heczko musiał przedłużyć delegację tak o tydzień, najpewniej po powrocie ogłosiłby plajtę. Jego żona ewidentnie nie miała zdolności biznesowych. Albo po prostu w ogóle jej drukarnia nie obchodziła.

Gdy pół godziny temu żurnalistka wkroczyła w progi zabytkowej kamienicy stojącej tuż przy moście Przyjaźni i skierowała się do biura Heczki, trafiła tam na zamyśloną Eliškę. Kobieta siedziała przy oknie i wyglądała w stronę Olzy. Głowę wsparła na ramieniu, a długie, kręcone, czarne włosy spływały na jej łabędzią szyję.

– Dzień dobry! – huknęła Róża, nie doczekawszy się żadnej reakcji na swoją obecność.

– Och! – odparła na to Heczkowa i dopiero teraz Solańska zauważyła czarne obwódki po tuszu rozmazane wokół oczu Eliški.

– Coś się stało? – zainteresowała się Kwiatkowska, choć wolała, żeby nie. Nigdy nie wiedziała, jak postępować z histeryczkami. A ta kobieta o urodzie (i ekszawodzie) gwiazdy filmowej na taką jej wyglądała.

– To tylko alergia – odparła Heczkowa.

I teraz Róża zainteresowała się na dobre. Bo skoro ktoś tak jawnie kłamał – tego lodowatego kwietnia żadne alergenne rośliny jeszcze nie zdążyły rozkwitnąć – to musiał mieć ku temu interesujący powód.

– A na co? – dociekała.

– Na... – zająknęła się Eliška, potwierdzając podejrzenia dziennikarki – ...w zasadzie wszystko, co ma kwiaty – wybrnęła. – Długo by opowiadać.

Kwiatkowska chwilowo zmieniła temat i przeszła do wspomnianych już negocjacji biznesowych. Oprócz spraw finansowych chciała też uzgodnić zmiany w layoucie gazety. Wyjęła więc z torebki ostatni numer „Głosu Po-

laków” i rozłożyła go na biurku Heczkowej. Z pierwszej strony gapił się na nie Gustaw von Habsburg, jeszcze całkiem żywy i niezamordowany.

– O tu, chciałam, żeby było bardziej w prawo. – Solańska popukała palcem w łamy. – A tu nieco wężiej – kontynuowała. – Da się to zrobić przy następnym wydaniu?

Zamiast odpowiedzi dotarło do niej jednak źle powstrzymywane łkanie. Eliška Heczkova teraz już się nie powstrzymywała, tylko płakała, wycierając łzy w chusteczki wyciągane jedna po drugiej z kolorowego kartonika.

– Nagły atak alergii? – Solańska czasami nie wiedziała, kiedy trzymać dziób na kłódkę.

– To taaakie smutne! – wyjęczała żona drukarza. – Że on nie żyje! – Chlapnęła łzami na egzemplarz „Głosu Polaków”.

– Znała go pani? – W Róży doszły do głosu umiejętności śledcze. Wszak była żoną swojego męża. – Tego Habsburga?

Kobieta pokiwała tylko głową. Na usta Róży już cisnęło się dziesięć kolejnych pytań, niestety dochodzenie przerwał jej dźwięk telefonu leżącego na biurku. Eliška bez słowa odebrała i wysłuchała, co ma do powiedzenia ktoś na drugim końcu linii.

– Tak, kochanie – powiedziała wreszcie sztucznie radosnym głosem.

Solańska zmarszczyła brwi.

– Mogę? – zapytała i nie czekając na reakcję, wyrwała Heczkowej słuchawkę. – Halo! Panie Matěju, to ja, Solańska. Róża Solańska – przedstawiła się na modłę Jamesa Bonda. – Chciałam się tylko upewnić, że zmiana layoutu będzie możliwa, tak jak już wspominałam. Mieliśmy to dzisiaj dokładnie obgadać, ale pana nie ma... – zawiesiła głos.

– Będzie, będzie – burknął na to Matěj najwyraźniej nie w sosie.

Róża pomyślała, że jego też musiała dotknąć śmierć Habsburga. Skoro Heczkowie się z nim przyjaźnili...

– Moje kondolencje – powiedziała więc współczującym tonem.

– Hę? – zapowietrzył się drukarz.

Musiły być jakieś zakłócenia na linii.

– Przykro mi z powodu śmierci waszego przyjaciela – brnęła Róża, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego Eliška energicznie macha rękami przed jej nosem. Czyżby opędzała się przed tymi wymyślonymi alergenami?

– A kto umarł? – W słuchawce usłyszała zdziwiony głos Matěja.

Albo więc mężczyzna robił sobie z niej jaja, albo długotrwałe wdychanie farby drukarskiej zaszkodziło mu na rozum.

– No Habsburg przecież! – fuknęła Solańska.

Tak to już było z facetami. Najwyraźniej pod każdą szerokością geograficzną mieli problemy z kumacją. Nie tylko jej Szymonek szwankował czasem w tym względzie.

– Eliška powiedziała mi... – zaczęła Róża, ale w porę urwała, uświadamiając sobie nagle, że jeżeli ktoś tu ma problemy z kojarzeniem faktów, to ona!

Czerwona na twarzy jak pomidor malinowy żona drukarza mało nie wyszła z siebie, dając dziennikarce porozumiewawcze znaki, by ta wreszcie się zamknęła.

– Co powiedziała? – zainteresował się Heczko.

– Że... – wydukała Solańska – ...z tym layoutem nie będzie problemu. Muszę już kończyć! – zaznaczyła i czym prędzej przerwała połączenie.

Obie kobiety z westchnieniem ulgi opadły na fotele stojące po przeciwnych stronach biurka.

– On nie wie? – zapytała Róża.

– Nie – odparła Eliška.

– A to był tylko pani... przyjaciel? – Ostatnie słowo wypowiedziała z wahaniem.

– Tak.

– Ale... teraz?

– Dawno! – zaprzeczyła Heczkova. – Ja bym nigdy... – słowa przychodziły jej z trudem – nigdy bym nie zdradziła męża. Stare dzieje. Zapo-

mniane – rozgadała się. – Sama byłam zaskoczona, jak śmierć Gucia mną wstrząsnęła – przyznała. – Pani nic nie mówi Matějowi – poprosiła.

– Ja już pójdę. – Róża sama odprowadziła się do drzwi. – Z tym layoutem to bardzo miło z pani strony – dodała jeszcze w progu.

Stała wreszcie na chodniku i odetchnęła rześkim kwietniowym powietrzem. Poczła w nim ciągnącą od rzeki wilgoć. I wtedy ich zobaczyła! Solański i ta ruda policjantka zmierzali gdzieś ramię w ramię w najlepszej komitywie! I tylko ciągnący za nimi Gucio ją rozpoznał. Odwracał się co chwila i łypał na nią brązowymi oczkami.

Róża miała nadzieję, że pies jej nie wyda. Bo miała zamiar – z czego nie była dumna – śledzić tę podejrzaną parę!

ROZDZIAŁ 5

*To, co jest w środku człowieka, odbija się w tym,
co go spotyka w życiu. Habsburgowie tylko wskazali
mi kierunek, potem już szedłem sam^[27].*

Powariowali! Zamiast śledzić mordercę, tropili się nawzajem! A mnie stawiali między młotem a kowadłem. Czyli między Różą a Szymonem! I po czyjej stronie miałem stanąć w zaistniałej sytuacji? Solański skumał się z tą wychudzoną jak i on policjantką. Razem wykryli, że w noc zabójstwa mojego imiennika Habsburga po moście Przyjaźni biegał jak z pieprzem ten nieudany dealer narkotykowy Tonda Kvapil. A skoro, jak już wcześniej ustaliliśmy, czeski Jesse Pinkman opylał też zioło arystokracji, który mu nie zapłacił za towar, to miał nie tylko motyw, ale i sposobność go załatwić. Na cacy.

Do swoich wywodów śledczych jeszcze powrócę, zanim jednak to nastąpi, chciałem nawiązać do złotej myśli, która przyszła mi teraz do głowy. No bo sami powiedzcie, jeżeli ten cały Habsburg miał na imię Gustaw – tak jak ja! – to może byliśmy spokrewnieni?! Czyżbym należał do bogatej rodziny i nic o tym nie wiedział? Przysługiwał mi jaki spadek? I wiem, że zaraz odezwą się mądrale, które będą mnie pouczać, że to nazwisko ewentualnie wskazuje na spowinowacenie, a nie imię, ale ja takich cwaniaków od razu odsyłam na Islandię! Tam nazwisko delikwenta tworzy się, łącząc imię tatusia i końcówkę „son” dla chłopca i „dottir” dla kobiety. Idąc tym tropem, gdybyśmy my mieszkali na tej wulkanicznej wyspie, a nie w Polsce, to siłą rzeczy byłoby mi Gucio Szymonson. Brzmi całkiem dostojnie. Zastanowię się, czy nie zacząć się w ten sposób podpisywać na mijanych latarniach i w przydrożnych krzaczorach.

W każdym razie w tej chwili, zamiast zajmować się kwestią rodowodu, musiałem sobie poradzić z tymi gamoniami. Liduška Žrankova uparła się, że zabierze nas do jakiejś speluny, gdzie będziemy się raczyć napojami wyskokowymi (a raczej oni będą, ja alkoholu z założenia nie tykam!). Chciałem znów zauważyć, że była na służbie, więc mogłaby wstrzymać konie przynajmniej do szesnastej, kiedy będzie już po godzinach urzędowania. Najwyraźniej jednak pani komisarz miała w nosie regulamin.

I gdyby użerania się z tą dwójką mi było mało, to jeszcze do tego musiałem też wziąć na swoje barki ogon, który się do nas przykleił zaraz po tym, gdy opuściliśmy progi kawiarni Avion. Ogonowi temu było na imię Róża, a na nazwisko Solańska. Z pewnością na widok Szymona kroczącego obok innej przedstawicielki płci żeńskiej włączyła się w niej wewnętrzna zazdrośnica. A gdy do tego dochodziło, musicie wiedzieć, że Róży odbierało rozum. Żeby potem nie było, że nie ostrzegałem.

Zdążyliśmy zrobić kilka kroków w głąb czeskiego miasta, gdy rozdzwonił się telefon w kieszeni Liduški. Zerknęła na wyświetlacz, skrzywiła się i z widocznym obrzydzeniem przesunęła palcem po zielonej słuchawce.

– No co? – zapytała elokwentnie.

Przez chwilę słuchała tego, co ktoś miał do powiedzenia po drugiej stronie linii, i z każdą sekundą krzywiła się coraz bardziej. Pięknie to to nie wyglądało. Jej szczupła, blada, piegowata twarz mogłaby w tym momencie dostać rolę w jakimś horrorze, którego kadry nadałyby się do straszenia dzieci odmawiających zjedzenia obiadu. Na widok pomarszczonego oblicza policjantki wsunęłyby nawet gotowany szpinak zaprawiony brukselką. I jeszcze poprosiły o dokładkę. Rezultat tej rozmowy (która zakończyła się złowrogim burknięciem Liduški) był taki, że nagle się zatrzymaliśmy.

– Chodźmy do Polski – nakazała funkcjonariuszka i zrobiła w tył zwrot.

A Solański posłusznie wykonał za nią naprzód marsz. Kątem oka dostrzegłem, że Róża w ostatniej chwili uskoczyła za róg kamienicy i nie została zauważona przez tę dwójkę przecież niby profesjonalnie szkolonych śledczych.

Znów przedrałowaliśmy przez ten nieszczęsny most (jeśli to śledztwo potrwa dłużej, to się od tego naszego galopowania kładka w końcu zawali) i zaraz za nim skręciliśmy na prawo w wybrukowaną kocimi łbami ulicę, która ciągnęła się wzdłuż kamiennego muru. Spływały po nim kaskadami jakieś zielone chabazie. Bluszcz zapewne, możliwe nawet, że trujący. Skoro w tym mieście, jak wynikało z dochodzenia w sprawie śmierci mojego ziomeczka Habsburga, lubili się bawić w Lukrecję Borgię, to pewnie gdzie się dało hodowali sobie różne truciki na tak zwany wszelki wypadek. Poprzysiągłem sobie uważać na to, co tu spożywam. „Better safe than sorry”, jak to mówią na moich ulubionych amerykańskich filmach. Choć może w zaistniałych okolicznościach geopolitycznych powinienem rzec: „Je lepší být v bezpečí, než poté litovat”^[28].

– Co to za rudery? – zapytał mój pan, gdy ruszyliśmy w głąb wąskiej uliczki, przy której stały jakieś fawele.

– Cieszyńska Wenecja – odparła policjantka. I zagryzła wargi.

Solański łypnął na swoją towarzyszkę wzrokiem podejrziwym, sądząc zapewne, że sobie z niego robi jaja. Ja wprawdzie nigdy nie byłem w Wenecji (tej oryginalnej), ale coś mi się tam obilo o moje kłapciate uszy, że słynie ona z licznych kanałów, flisaków i srających wszędzie gołębi. No to tu nam tylko flisaka brakowało. Po prawej w dole ciągnął się – jeden bo jeden, a do tego wyschnięty – ale kanał. O, tam po prawej gołąb już przymierzał się do odpalenia dział armatnich. Powietrze zaś zalatywało stęchlizną typową dla obszarów o licznych zbiornikach wodnych. (Pewnie winna temu była pobliska Olza). No to co się tu niby Solańskiemu nie zgadzało? On to w ogóle bywał wybredny. Na wspomnienie polskich Malediwów w Jaworznie stukał się palcem w czoło, aż mu się czerwone zrobiło. Polskie Karaiby w nieczynnej Elektrowni Adamów generowały u niego serię prychnięć, chrząknięć i splunięć przez lewe ramię. A już z polskim Dubajem w Jarosławcu nawet nie było co przy nim wyjeżdzać. Chciał oryginałów i daj mu! Tombak, choćby i polskiej, narodowej produkcji, go nie interesował. Bojówki oenerowców dałyby mu popalić za ten brak patriotyzmu.

Nic więc dziwnego, że i cieszyńską Wenecją nie był ukontentowany. Mnie się natomiast podobało. Od razu wdrożyłem akcję zostawiania gdzie popadnie nowego podpisu. „Gustaw von III Szymonson”, obsikałem stylizowaną na starą latarnię i to samo dopisałem na zielonej metalowej poręczy dzielącej nas od jakiejś knajpy. Biały domek, w którym się mieściła, leżał poniżej poziomu chodnika i oddzielony był tym wspomnianym kanałem-fosą. Przeszliśmy po mostku prowadzącym w dół i znaleźliśmy się w... Dworku Cieszyńskim!

Aż mi się sierść zjeżyła, gdy dostrzegłem tę nazwę. Bo skoro dworek, to musiał należeć do jakiejś lokalnej arystokracji, czyli do... Gustawa Habsburga, *ergo* – do mnie! Od razu poczułem się jak pan na włościach! Wkroczyłem w progi przybytku gastronomicznego jak do swojej chaty na chorzowskiej Cwajce. Rozejrzałem się po wnętrzu i wybrałem stolik. Po chwili dołączyli do mnie Solański i Liduška. Trochę potrwało, zanim kelner zorientował się, że ma gości. O tej porze roku stanowiliśmy dla niego zaskoczenie.

- Whisky z lodem! – Policjantka złożyła zamówienie.
- Dżin z tonikiem! – zaordynował Solański.

Ja zaś zrobiłem przegląd swojego gospodarstwa. Uznałem, że będę musiał tu wprowadzić nieco zmian, kiedy już oficjalnie, zapewne z udziałem notariusza, przejmę ten obiekt. Na przykład wprowadzę nakaz podawania gościom przystawek w postaci kielbasy śląskiej. Nie ma nic pyszniejszego.

Moje rozmyślenia nad biznesplanem i analizą SWOT słabych i silnych stron przedsiębiorstwa przerwał niecodzienny widok za oknem. Otóż nagle ponad parapet od zewnętrznej strony przybytku gastronomicznego wychyliła głowa. Dość poczochrana, z błędnym wzrokiem i czerwonym z wysiłku oraz wściekłości obliczem. Właścicielka owego oblicza namierzyła nasze towarzystwo i zamarła w bezruchu. Tymczasem kelner przyniósł szklanki z napitkami dla ludziny, dla mnie zaś zupełnie nic. Tak się traktuje przyszłego szefa? Będę musiał zapamiętać, żeby tego bubka zwolnić jako pierwszego, gdy już obejmę tu władzę. Zero szacunku.

– Gruba jest u was kartoteka tego całego Kvapila? – zapytał Solański i łyknął bąbelkowanego napoju.

Policjantka znowu się skrzywiła i siorbnęła wódki pędzonej na myszach o kolorze lurowatej herbaty.

– Znamy go – przyznała. – Ale to płotka. Handluje ziołem. Nic poza tym.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz – marudził Szymon, który najwyraźniej chciał już zakończyć śledztwo. Uznać, że Habsburga zamordował drobny dealer w zemście za nieuregulowane długi, i przez resztę czasu, jaki mieliśmy spędzić w Cieszynie, pić jałowcówkę. – Ten deser z szymonkami poproszę! – zwrócił się do kelnera, przeglądając rzucone niedbale na stół menu.

Nasza nowa znajoma przyjrzała się Solańskiemu ze zmarszczonym czołem.

– Też chcesz? – zreflektował się detektyw.

– Wybrałeś to danie z dziecięcego menu? – poinformowała się.

– Mamy go, ale aktualnie bez szymonków – wtrącił się kelner.

– Bez szymonków? – zmartwił się Szymonek.

– Zamuli cię – ostrzegła ruda.

– Bez.

– A to dlaczego?

– Bo są za drogie – przyznał kelner. – W ostatnim miesiącu podrożały trzykrotnie! A kupujemy hurtowo – rozgadał się.

– Coś takiego – mruknął detektyw, a po jego minie widziałem, że guccio go obchodzą meandry polityki cenowej fabryki cukierków.

Jednakże kelner musiał się srogo nudzić w tym porzuconym przez cywilizację poza sezonem dworku, bo jak już dorwał kogoś, do kogo mógł otworzyć gębę, to tak prędko nie zamierzał jej zamykać.

– Ta cała Alicja Szymon w końcu doprowadzi swój rodzinny interes do ruiny – zawyrokował.

– Co, co? – Detektyw jednak się zainteresował.

A ja zauważyłem, że poczochrana facjata zza okna zniknęła. To nie wróżyło niczego dobrego. Z dwojga złego już woląłem ją mieć na oku, niż żeby wyskoczyła tu nagle jak jaki filip z konopi.

– Habsburg chciał kupić fabrykę, to się nie zgodziła, bo tradycja! – zezłościł się kelner. – Tradycja to takie imię dla dziewczynki! – warknął, choć zważywszy na jego szczeniacki jeszcze wiek, nie powinien znać filmu Stanisława Barei.

– Chciał kupić? – Liduška włączyła się do konwersacji.

– Podratowałyby fabrykę finansowo, a tak ta wariatka wali ceny z kosmosu i pewnie niedługo będzie musiała zwinąć biznes. A Cieszyn straci swój towar eksportowy! – O, proszę, lokalny patriota nam się trafił.

Musiałem podzielić swoją uwagę, ponieważ przy drzwiach wejściowych się zakotłowało. Mówię „się”, a mam na myśli Różę Solańską. Bo kogóż by innego? Chciała cichaczem wejść do dworku, ale jej się to naturalnie nie udało. Zaraz za progiem potknęła się o krzesło, pociągnęła je za sobą ze dwa metry, zgrzytając przeraźliwie drewnianą nogą o kamienną posadzkę, z trudem zachowała równowagę, po czym udowodniła, że jest jeszcze gorszą aktorką niż ci bracia bliźniacy, tłukący jedną rolę od dwudziestu lat w tym samym serialu nadawanym w telewizji reżimowej.

– Och! – wrzasnęła mianowicie, budząc zapewne zmarłych zarówno na polskich, jak i czeskich cieszyńskich cmentarzach. Niezależnie od wyznania. – A co wy tu robicie?! – Dalej się wydzieriała. – Ale niespodzianka!

Na szczęście dalsze występy tego spalonego teatru jednej aktorki przerwano pojawieniem się nowej osoby dramatu.

– Toż to starszy aspirant Lucjan Kordel! – Róża wciąż trzymała się swojej kiepskiej roli, przedstawiając zebranyemu nowo przybyłemu. Co najmniej jakbyśmy chłopca pierwszy raz na oczy widzieli. – A to niespodzianka! Kolejna!

– Przechodziłem przypadkiem... – zaczął gliniarz, udowadniając, że taki sam z niego aktorzyzna jak z Kwiatkowskiej. – I zauważyłem panią Różę, jak się skrada – wydał moją przyjaciółkę.

– Chyba ty – odpyskowała mu na to Solańska i niczym niezrażona zasiadła obok swego męża. Następnie opróżniła jego szklankę do dna i zrobiła zadowoloną minę.

– No co? Pić mi się chciało – usprawiedliwiła się. – Zmachałam się, gdy za wami lazałam – palnęła i niczym dziecko, które zorientowało się, że powiedziało coś nie tak, zakryła usta dłonią.

– Skoro już tu wszyscy jesteśmy, to może zrobimy małe podsumowanie śledztwa? – zaproponował Kordel. – Grażyny byłyby zadowolone.

Liduška coś tam wymamrotała pod nosem po czesku. Nie zrozumiałem dokładnie co, ale dałbym sobie ogon uciąć, że nic pochlebnego.

– Więc, moim zdaniem, to ten wasz narkoman – zawyrokował, nie doczekawszy się reakcji zebranych. – Degenerat ze spalonymi zwojami mózgowymi wnerwił się, że mu Habsburg nie zapłacił za zioło, i go trzasnął. Mógł mu opchnąć dragi nafaszerowane tą trucizną. Miał motyw i sposobność, skoro go ten cały student-kelner widział na moście w stosownym czasie. Umówił się tam z Habsburgiem. Gustaw może mu obiecał zapłatę, ale przyniósł za mało kasy, więc Tonda wepchnął mu śmiertelnego skręta i upewnił się, że trucizna zadziałała. A potem go tam zostawił.

– Jak to: „ten nasz”?! – zezłościła się Liduška. – A poza tym skąd wiesz o studencie?

– On mi powiedział. – Lucjan wskazał na Szymona. – Esemesa mi wysłał.

Solański przybrał minę niewiniątka, a policjantka zerknęła na niego z odrazą.

– A mnie się nie podoba Eliška Heczkova – wtrąciła się Róża.

Żadna nowina. Kwiatkowskiej nie podobały się wszystkie ładne i zgrabne kobiety, które przebywały w pobliżu Solańskiego. Z daleka od jej ukochanego mogły sobie żyć i zarywać nawet Ryana Goslinga, Róża trzymała za nie kciuki. Natomiast każda próba zbliżenia się takiej flądry do jej wybranka musiała skończyć się katastrofą.

– A to dlaczego? – zainteresowała się policjantka.

– Za bardzo rozpacza po jego śmierci. Próbowwała mi wcisnąć kit, że to jej dawny przyjaciel. Ja jej nie wierzę! – zapewniła.

– To po co miałyby go zabijać? – stropił się Kordel.

– Po co, po co – marudziła dziennikarka. – Powód się zawsze znajdzie!

– Państwo coś piją? – Na to przywłókł się kelner i próbował wyłudzić jeszcze jakieś zamówienia.

Towarzystwo się jednak zawinęło i wyszliśmy na dwór. Sam nie wiem, jak nas tam nogi poniosły, ale całą zgrają ruszyliśmy w górę tej podrabianej Wenecji. Wreszcie też pojawił się jakiś podśmierdujący strumyk, który mógł uchodzić za tak pożądaną w tym miejscu kanał. Lucjan Kordel coś tam bormotał pod nosem, że on tu musi tylko na chwilę wpaść w jedno miejsce i zamienić słówko, a my podążyliśmy za nim bezwiednie.

Z satysfakcją deptałem po kocich łbach (kamiennych – na prawdziwe nie miałbym odwagi się zasadzić). Przyglądałem się mijanym kolorowym chatkom ciągnącym się w rzędzie po lewej. Ich dachy wyglądały, jakby się miały za chwilę zapaść. Byłem święcie przekonany, że mieszkają w nich krasnoludki. Dlatego najpierw się zdziwiłem, gdy z jednej chaty – takiej o żółtej elewacji i z kolorowymi ceramicznymi chabaziami poprzytykanymi wokół drzwi – wyszła jakaś kobieta ludzkich rozmiarów. Potem sobie wytłumaczyłem, że to musi być Królowna Śnieżka, ta od siedmiorga karakánów z bajki. A na końcu to już niczego nie pojmowałem, bo się okazało, że to jest ta cała Mira Chowaniuk, którą już mieliśmy okazję poznać na zamku.

– Jest pan w końcu! Już miałam wracać do domu! – wydarła się na widok Lucjana Kordela i z rozczochranym włosiem, obłędem w oczach oraz powiewającym za nią ponczo wyskoczyła na ulicę. – Musimy pogadać! – oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Skoro tak się sprawy miały, to wepchnęliśmy się wszyscy za nią do chatynki, bo nie chcieliśmy, by nas jakie atrakcje ominęły. Ciasno tam miała i duszno (dawało jakimś koszmarnym kadzidłem rodem ze sklepu indyjskiego, które swego czasu święciły triumfy, opychając pstrokate spódnice do ziemi i podobne do tego, co opisane wyżej smrody), koszmar klaustrofo-

bika. Jeśli znów mówimy o fobiach, to w tym temacie unikam także wind (bo kto to widział, żeby się z własnej woli pakować do takich jeżdżących pionowo trumien), ale i tu miałem problemy z koncentracją.

– Herbatki! – rzekła Mira. – Zaparzę herbatki. Witajcie w mojej pracowni rękodzielniczej!

I dawaj, rura do parnego aneksu kuchennego, odpalać gaz, stawiać na nim czajnik, dolewać wody i napełniać porcelanowe kubki. Moi szanowni państwo to się zazwyczaj raczą earl greyem, dlatego zdziwiłem się, co to za woń unosi się nad naczyniami, podobna zupełnie do niczego. No, może gdyby tak nazbierać na polu siana, dorzucić nieco gnojówki, a całość zalać wrzątkiem, uzyskałoby się podobny efekt.

– Pijcie! – nakazała gospodyni, usadzając nas na pluszowych kanapach w zastawionym różnymi rzeźbami, sztalugami, pseudoartystycznymi rupieciami salonie dla liliputów i stawiając nam przed nosami tę breję. Mówię „nam”, ale na szczęście mnie ten wykwit gościnności się nie tyczył. Mogłem bezpiecznie podsłuchiwać ze strategicznie przyjętej pozycji podstolikowej.

– To ten Habsburg! – huknęła Mira Chowaniuk i dla przykładu (bo jakoś nikt się jeszcze nie odważył spróbować) siorbnęła swojej herbatki. – To był jego pomysł, żeby powycinać magnolie w całym Cieszynie! – oznajmiła.

Naprawdę wolałbym, żeby nie szkalowała mojego nowo odkrytego po-bratymca. Do tego nieżywego. O tych, co już się przekręcili, podobno mówi się dobrze albo ani, ani.

– O! – powiedziała i strzeliła na blat szklanego stolika, na którym wciąż stały parujące kubki, jakąś gazetą. Pacnęło toto dokładnie nad moją głową. Przyjrzałem się stronie zwróconej do dołu, czyli prosto w mój pysk.

– To nie moja – oznajmiła Róża, sprawdzwszy zaprezentowane łamy.

Najpierw dostrzegłem zdjęcie, które przedstawiało jakiegoś gogusia. Potem napis tuż nad nim: „Felieton”, a dalej zwarty tekst, który popełnił... Gustaw von Habsburg we własnej osobie! Znacząca gazeta musiała być sporo przeterminowana, bo przecież autor wahał już kwiatki od spodu. Wziąłem się do lektury wypocin przodka, jak już zacząłem go nazywać w myślach.

– Pan czyta! – Chowaniuk znów wydała rozkaz.

Z tą kobitą się nie dyskutowało. Zanim jednak policjant sięgnął po gazetę, ja już zdążyłem się zapoznać z tekstem. No i załamłem łapy.

Tymczasem znad mojej głowy dochodziło szeleszczenie kartkami, sapanie, mamrotanie, aż wreszcie:

– Że co proszę?! – dało się słyszeć naszego dzielnego gliniarza.

– A nie mówiłam? – Zadowolony głos Miry.

– Ale o co chodzi? – To Liduška, powstrzymująca ziewanie.

Znów seria szelestów, podawania sobie gazety z rąk do rąk, protestów w kwestii pierwszeństwa. Pomyślałby kto, że polski naród tak się rwie do lektury. Statystyki mówią co innego...

– Chyba skretyniał – zawyrokował Solański.

– W naszej gazecie w życiu byśmy nie puścili takiego bełkotu – stwierdziła Róża.

– Sranda!^[29] – Czeska policjantka wyraziła się, zdaje się, nie w temacie. Ale może w tym domku dla niewysokich mieli jaki wychodek i ktoś byłby łaskaw wskazać jej drogę, zanim narobi tu poruty.

Tak się piekliła ludzina nad tym felietonem Habsburga, gdyż oznajmiał on w nim z grubsza, że czas wyrznąć wszystkie magnolie w Cieszynie, bo, jego zdaniem, miasto ma ciekawsze rzeczy, które mogą posłużyć za znak rozpoznawczy zamiast – tu cytat: „jakichś chwastów”. Na przykład Gustawa von Habsburga. Rzeczony chciał, by to z jego osobą kojarzono Cieszyn. A magnolie, jak dowodził, przyciągały tylko „jakieś robactwo” i „czas był się z nimi rozprawić”.

Po lekturze tych wykwitów myślowych ni chybi wariata uznałem, że ta sprawa z pokrewieństwem musi być grubą pomyłką. Nie przypuszczam, by w mojej rodzinie występowały takie typki. Będę musiał znów przelecieć się po mieście i nadsikać te podpisy z arystokratycznym przedrostkiem „von”, które już złożyłem, żeby mnie nikt więcej nie łączył z tym – wprawdzie martwym – ale jednak *nut jobem*, jak to mawiają Jankesi.

– Policja powinna wystawić mandat tej redakcji! – Mira Chowaniuk wreszcie wyjawiała, po co ściągnęła tu stróża prawa. – Żeby więcej nie zamieszczali takich bredni!

Lucjan Kordel powiedział, że tak, tak, do widzenia się z panią i jednocześnie wycofywał się wyjątkowo szybkim rakiem najpierw z salonu, a potem w ogóle z tego domu i cieszyńskiej Wenecji.

Nie pozostało nam nic innego, jak pójść w jego ślady. Choć zanim to uczyniliśmy, Solański jeszcze zawrócił i zadał kobiecie pytanie, które słyszą wszyscy podejrzani w każdym kryminalnym serialu telewizyjnym. No w każdym.

– Gdzie była pani w noc morderstwa? – chciał wiedzieć mianowicie.

Kobieta wcale nie zadała mu kopa w zadek za tę impertynencję, tylko odpowiedziała z świętym wręcz spokojem.

– Na imprezie. W parafii – dodała, powodując konsternację Szymona. Rozpoznawałem ten zamęt myślowy po jego rozbieganych szarych oczkach i zmarszczce między brwiami. Jakoś mu się nie sklejał w całość związek tych dwóch słów: impreza i parafia.

– Na imprezie? – powtórzył. Dość głupio. – W parafii? – Dalej się pograżał.

– W naszym kościele – potwierdziła Mira Chowaniuk. – Protestanckim. Był koncert. Powinien pan kiedyś wpaść. Spodoba się panu.

Nie byłem tego taki pewny. Gdyby ewentualnie pastor raczył zaprosić na taki występ zespół Lady Pank, wtedy moglibyśmy tu mówić o jakimś zadowoleniu. W przeciwnym wypadku nawet sami Beatlesi (także ci zmarłychwstani na potrzeby eksperymentu) nie przekonaliby mojego pana.

Teraz to już naprawdę zostawiliśmy wielbicielekę magnolii w spokoju i poszliśmy sobie a kysz.



Narada wojenna została przeprowadzona w tramwaju. Tak na pierwszy rzut oka mógłby pomyśleć ktoś nieorientowany. Po bliższym przyjrzeniu dostrzegłby jednak, że to wnętrze przypominające przedpotopowy tramwaj – taki, co to jeszcze niedawno jeździł z Chorzowa na Chybie Pyntłę – z drewnianymi ławkami i zaokrąglonym sufitem tak naprawdę stanowi wystrój kawiarni. Szymon Solański rozsiadł się na niewygodnych deskach i zapatrzył przez okno. Widać stąd było plac Teatralny, po którego przeciwnej stronie stał Teatr imienia Adama Mickiewicza. Detektyw zaklinał w duchu rzeczywistość, trzymając kciuki za to, by Róży nie przyszło do głowy wyciągnąć go na jakiś spektakl. Solański doceniał teatr pod tym względem, że w trakcie przedstawienia – przy zgaszonych światłach, w szumie dobiegającym od strony sceny i na miękkich zazwyczaj (w odróżnieniu od tych tutaj) fotelach można się było elegancko zdrzemnąć. Wszelkie wartości artystyczne prezentowane w tego typu przybytkach raczej go jednak nudziły.

– Co wy tu macie za zajoba z tymi tramwajami? – Jego rozmyślenia przerwała żona, moszcząc się obok niego. – To jakieś niedokończone tory w chodniku, to knajpa w wagonie – marudziła.

– Dame si do nosu?^[30] – zaproponowała Liduška, spoglądając na zebranych. I najwyraźniej oczekiwała poważnej odpowiedzi.

– Wolę kawę. – Solański wybrał bezpieczną odpowiedź.

– Jestem na służbie – wymigał się Kordel.

– A to legalne? – chciała wiedzieć Róża.

Policjantka westchnęła i niezadowolona z braku stosownego towarzystwa poszła do baru.

– Bo kiedyś – odezwał się Lucjan Kordel i zasiadł naprzeciw Solańskich, jednocześnie oglądając się za Lidušką, która składała właśnie za wszystkich zamówienie – jeździł w Cieszynie tramwaj – wyjaśnił. – Nawet przez most. Jakoś przed wojną.

– Przez dekadę! – doprecyzowała Czeszka, podnosząc głos, żeby ją usłyszeli. – Od tysiąc dziewięćset jedenastego do dwudziestego pierwszego. Po pierwszej wojnie podzielono miasto na czeską i polską stronę i kursy tramwajowe przestały mieć sens.

– Celnicy sprawdzali pasażerów na granicy. – Kordel najwyraźniej nie był zadowolony, że policjantka wcięła się w jego opowieść. – Podwozie pojazdu nawet przeszukiwali, żeby sprawdzić, czy kto jakiej kontrabandy nie przemyca. Za długo więc to wszystko trwało i linię zlikwidowano. Teraz wracamy do tradycji i upamiętniamy nasze tramwaje na różne sposoby.

Solański kątem oka zauważył, że Róża marszczy czoło i unosi jedną brew. Pewnie myślała sobie, że zważywszy na to, jak upiorne bywają podróże ich śląskim transportem publicznym, nie ma się nad czym tu rozpływać.

– Ale ja chciałem rozpuszczalną – jęknął detektyw, gdy kelnerka postawiła przed nim kawę. Nie dość że z ekspresu, to jeszcze jakieś cappuccino czy inne draństwo z mleczną pianką.

– Nie mamy – odparła na to dziewczyna i sobie poszła.

Szymon z miną cierpiętника przystąpił do przesypywania cukru z saszetek do filiżanki. Kiedy uporał się z dwiema przydzielonymi jemu, podebrał te należące do Róży i też zużytkował. Zamieszał. Wciąż nie był zadowolony. Takie pseudowłoskie obrzydlistwo wymagało ponadstandardowego dosłódzenia. Rozejrzał się wokół. Liduška bez słowa rzuciła w jego stronę saszetkami. Skorzystał.

– Zatem nasi podejrzani – odezwał się starszy aspirant Lucjan Kordel. – Ja wciąż najchętniej postawiłbym na Tondę Kvapila. Tego waszego narkomana – upierał się. – Przecież skoro on robi w substancjach odurzających – dowodził – to mógł mieć ułatwiony dostęp do fentanylu. Motyw też się zgadza. Nie darował Habsburgowi długu i go załatwił.

– No ale dlaczego zostawił ciało na moście? – drążyła Kwiatkowska.

– A bo to taka leniwa łajza jest, że nawet jeśli chciał gdzieś je ukryć, to się zmęczył tachaniem i porzucił tam, gdzie stał. – Starszy aspirant dokonał diagnozy.

– A nie przyszło ci do głowy – Liduška najwyraźniej postanowiła bronić swojego rodaka i przerzucić piłeczkę na drugą stronę boiska – że ta stara wariatka mogła go kropnąć?

Teraz to Solański zmarszczył czoło i uniósł brew.

– Wielbicielka magnolii! – Žrankova cedziła słowa. – Gustaw chciał je wszystkie pousuwać, to ona zawczasu usunęła jego. Proste i logiczne! – perorowała, jednocześnie próbując otworzyć puszkę z colą, którą zamówiła dla siebie. Ponieważ jednak jej paznokcie były krótko i schludnie przycięte, nie miała o co zahaczyć zawlecзки. Wysiłki więc spełzały na niczym. – Trucizna to kobiece narzędzie zbrodni! – dowodziła dalej. – Pani w jej wieku raczej nie miałyby siły trzepnąć delikwenta w dekiel. Ale już podtruc, czemu nie? A ten felieton Habsburga podetknęła nam dla zmylenia przeciwnika!

Szymon, widząc zmagania koleżanki z materia, odebrał od niej puszkę i już chciał jednym pstryknięciem otworzyć napój, gdy zawlecзка została mu w ręce.

– Tys to posral!^[31] – skomentowała to policjantka.

W tym momencie inicjatywę przejęła Róża.

– Daj tę puszkę^[32] – rzekła.

– Broń służbową zostawiłam w sejfie – odparła kobieta. – Na komendzie.

– Co? – Kwiatkowska nie zrozumiała. – Czy ona mi grozi? – poinformowała się, spoglądając na Kordela. A ponieważ w odpowiedzi otrzymała tylko wzruszenie ramion, wróciła do prób otwierania coli i swojego wyvodu śledczego. – Ja wam mówię, że z tą Elišką jest coś nie ten teges – wtrąciła swoje trzy grosze i dawaj, dłubać przy napoju dobytym nie wiadomo skąd scyzorykiem. – A i pani prezes od szymonków jest mi podejrzana. Skoro ma kłopoty finansowe i grozi jej utrata rodzinnej fabryki, a taki Habsburg jej się wtrynia niechciany ze swoim kapitałem, pewnie rada nadzorcza naciska, żeby sprzedać interes, to najlepiej się typa pozbyć. Tak czy... – powiedziała i nie dokończyła.

W tej chwili nastąpił wybuch brunatnego, słodkiego, lepkiego gejzeru. Płyn, który najlepiej nadawał się do udrażniania rur, a mimo to był spożywany ze smakiem przez miliony ludzi na całym świecie, trysnął z pienistym sykiem.

Przy stoliku panowała zupełna cisza. Dopiero po chwili z okolic podłogi dało się słyszeć siorbanie. To Gucio zajął się zlizywaniem skapującego z blatu napoju.

– Kochanie, a może byśmy poszli do teatru? – Solański usłyszał głos Róży.

Wiedział. No po prostu wiedział. Wyrok zapadł już dawno. Z wyrokiem się nie dyskutowało. Trzeba było go odbyć. Bez nadziei na przedterminowe zwolnienie.



Miasto mówi / Město říká

Miasto westchnęło z poirytowaniem, aż zaszumiały poruszone korony drzew na Górze Zamkowej. Ten śląski detektyw, jego szurnięta żona i trzyłapy pies zdawali się wpływać destrukcyjnie na poczynania, ale i inteligencję oficjalnych cieszyńskich śledczych. Miasto już od jakiegoś czasu miało oko na tę policyjną parę. Pod względem poczynań zawodowych nie zgłaszało wobec nich większych zastrzeżeń. To nie była w końcu ich wina, że w roгатki dostawały się różne szumowiny, studenci czy turyści. Taką zgraję trudno było upilnować. Mimo to tak czeska, jak i polska policja radziły sobie całkiem nieźle, zwłaszcza pod nadzorem Grażyn. Jednak w zetknięciu z prywatnymi dochodzeniowcami funkcjonariusze zaczęli się gubić.

Także na płaszczyźnie prywatnej nie do końca sobie radzili. Mogli się zgrywać, ile chcieli, przed miastem jednak nic się nie ukryło. Ono miało wgląd we wszystko, w każdy zakamarek, także duszy swoich mieszkańców. Widziało te ukradkowe spojrzenia, skwaszone miny, smutek w oczach. Gdyby je ktoś spytał o zdanie, miasto powiedziałoby, co Lucjan i Liduška powinni zrobić. Miasto było jednak kulturalne i taktowne. Wiedziało, że jak kto rady nie prosi, to się rady nie udziela, bo w przeciwnym wypadku jest to zachowanie opresyjne. Dlatego miasto milczało. Ale swoje myślało.

Na przykład teraz, gdy starszy aspirant Lucjan Kordel włókł się do domu z opuszczoną głową. Jeśli nie będzie uważał, wyrznie orła na nierównych płytach chodnikowych. Komisarz Liduška Žrankova maszerowała zaś w przeciwnym do Lucjana kierunku w towarzystwie tej trójki, która za bardzo miastu wchodziła w paradę. Najpierw kroczyła ramię w ramię z detektywem, ale szybko między nich wbiła się ta wrzaskliwa dziennikarka i przejęła stery. Nie była głupia. Wiedziała, że lepsza jest prewencja niż leczenie skutków. Jedyny w pełni zadowolony z życia wydawał się ten podpalany kundel bez lewej tylnej łapy. Na niego miasto miało największe nerwy, bo co rusz obsikiwał a to krzaki, a to latarnie, a raz nawet zanieczyścił Olzę! Ta dwójka powinna zaprowadzić swojego podopiecznego do psiego urologa, bo inaczej okolica będzie cała zafajdana!

Miasto porzuciło nieszczęsnych śledczych, jak i nadzieję, że złapią mordercę Gustawa Habsburga. Najwyraźniej samo będzie musiało wziąć sprawy w swoje ręce. I znaleźć zabójcę.

W obu częściach miasta właściwie mieszkało około pięćdziesięciu siedmiu i pół tysiąca ludzi. Z takiego tłumu trudno więc wytypować sprawcę. Miasto miało jednak czas. I swoje sposoby. Oraz wgląd w każdy kąt swojego terenu. Bardzo żałowało, że akurat w momencie, w którym ktoś porzucił ciało arystokraty na moście Przyjaźni, ono smacznie spało. Miało jednak prawo do wypoczynku. Zwłaszcza o tak nieludzkich godzinach porannych.

Teraz będzie już uważać. Będzie mieć oczy szeroko otwarte. Cieszyn poprowadzi to śledztwo.



Róża Solańska tej nocy nie zmrużyła oka. I to nawet nie dlatego, że jej ukochany – raczący się zbyt często czeskimi browarami – ze trzy razy chodził do łazienki, przesuwając skrzypiące na potęgę drzwi. A przynajmniej nie tylko dlatego. Dziennikarka leżała na plecach w twardym łóżku i wpatrywała się w cienie przesuwające się po suficie. Zza okna dobiegały pohukiwania przejeżdżających pociągów. W nogach chrapał pies. Regularnie spo-

glądała na zegarek, czas jednak jakby zwolnił. Cyfry na wyświetlaczu uparcie trzymały się swoich kształtów. Z oporem zmieniały na kolejne.

– Oż, do diabła! – warknęła Róża i rezygnując z liczenia baranów, usiadła na posłaniu i oparła się plecami o ścianę.

Ufała Solańskiemu. Wiedziała, że ją kocha i nigdy by jej nie zdradził. Jednak to nie zmieniało faktu, że nie podobała się Róży ta czeska policjantka, oj, nie podobała! Kwiatkowska po prostu z zasady nie ufała tak szczupłym kobietom! Dysproporcja między nimi a dziennikarką kłuła w oczy. Uleczone już niby kompleksy wracały do Róży niespodziewanie.

– Niech to szlag! – Znów wymamrotała żurnalistka.

Odrzuciła nachalne myśli natury romansowej i skupiła się na tym, co istotne. Czyli na morderstwie. Krąg podejrzanych się powiększał. Kwiatkowska nie była jednak przekonana do żadnego z nich. Naoglądała się wystarczająco dużo seriali kryminalnych, by wiedzieć, że Liduška nie łże. Trucizna była kobiecym narzędziem zbrodni. Krótko mówiąc, jeśli jakaś baba z wyprzedzeniem planowała kogoś zaszlachtować, to raczej decydowała się na najmniej krwawe rozwiązanie. No bo kto by się chciał uchlastać juchą i zabrudzić sobie kieckę przez palanta, który tak czy tak, kwalifikował się do odstrzału? Róża by nie chciała. Dlatego lepiej i prościej było takiemu podać truciznę do żarcia czy picia i po sprawie.

To wywnioskowawszy, Róża postanowiła zbadać rzecz we własnym zakresie.

Co to tam było mówione o Alicji Szymon i Habsburgu? Czy rzeczywiście rodzinna firma chyliła się ku upadkowi, a zaborcza właścicielka nie chciała się ratować i sprzedać udziałów arystokracji? Trzeba było potwierdzić te wieści.

Róża z trudem usiadła bez ruchu do szóstej rano, w tym czasie obmyślając plan działania. Zanim Solański się na dobre obudził, wymknęła się z hotelu, czując tylko niewielką satysfakcję przy przesuwaniu upiornych drzwi i budzeniu wcale nie umarłego. I jeszcze podczas kąpieli z premedytacją wylała zawartość butelki żelu pod prysznic, który przywiózł ze sobą

Szymon. Może wreszcie, tak jak go już o to milion razy prosiła, przejdzie na kosmetyki naturalne w ekologicznych opakowaniach!

– Guciu, pilnuj pana! – nakazała wpatrującemu się w nią piwnymi oczami psu, pogłaskała go po aksamitnym łebku, zajęczała drzwiami i już jej nie było.

– Jasna cholera! – usłyszała zaspány głos zza ściany i uznała, że odniosła pierwszy sukces tego dnia.

Rewanż! Oto odpowiednia metoda wychowawcza. To pomyślawszy, wybrała stosowny numer zapisany w smartfonie.

– Jak to zdjęcia nie wyszły? – chciała wiedzieć Alicja Szymon, która odebrała telefon Róży już po pierwszym dzwonku.

– Znaczy, wyszły – plątała się Kwiatkowska w zeznaniach, zapominając szczegóły swego planu. – Ale chciałabym zrobić jeszcze dodatkowe. Takie w plenerze. One zawsze lepiej wyglądają w gazecie – ściemniała.

– To nie mogła pani tak od razu? – Szymon jeszcze trochę pomarudziła, ale wreszcie dała się namówić na ponowne spotkanie.

Umówiły się przy moście Wolności, by stamtąd przejść się do Lasku Miejskiego nad Pańcówką, bo skoro Róża wymyśliła już sesję fotograficzną w terenie, to właśnie tam mogła znaleźć najbardziej dziką przyrodę w okolicy. Poza tym nieopodal mostu Wolności mieściła się komenda policji, a Kwiatkowska zamierzała zaangażować w sprawę organy ścigania w osobie pewnego starszego aspiranta. Chciała, żeby przyznanie się do winy (bo nie wątpiła, że takowe wydobędzie z Alicji Szymon) zostało odpowiednio udokumentowane i sporządzone przy świadku. Mogła wprawdzie poprosić o pomoc Solańskiego, ale wciąż była na niego trochę zła za te konspiracje z panią komisarz. Uznała więc, że nie zaszkodzi odwrócić nieco sytuację. Niech to teraz on będzie o nią zazdrosny! Kwiatkowska wyszukała w komórce numer gliniarza i przytknęła aparat do ucha. Szła rażno przez cieczyńską Wenecję, mijając mury, na których jakiś miejscowy artysta uliczny, zapewne cierpiący na daleko posunięty daltonizm, wymalował zielonego kota, różowego lisa, szare cholera wie co i ludzkiego kościotrupa, opisując owe twory jako mieszkańców lasu miejskiego. Róża miała nadzieję, że nie

jest to prawda, zwłaszcza w odniesieniu do tego szkieletu. Wolałaby żadnego nie spotkać na swojej drodze. Żadnego więcej, bo wystarczyło już Habsburga.

Szła dalej, podziwiając kolejne komunikaty pozostawiane przez mieszkańców na murach. Ktoś na przykład wyrażał chęć odbycia stosunku miłosebnego z partią rządzącą – tylko komunikował swe pragnienie w nieco bardziej dosadnych słowach. Inny informował, że ruda to dziwka. Kwiatkowskiej przeszło przez myśl, że żadna prasa nie jest już potrzebna. Najważniejsze wiadomości można było znaleźć bezpośrednio na ulicy.

Policjant wreszcie odebrał. Do Kordela jednak najwyraźniej nie docierało sedno krótkich, żołnierskich wyjaśnień.

– Czaić się mam? – nie dowierzał.

– Pozostawać w ukryciu – klarowała Róża. – Żeby się podejrzana nie wystraszyła, ale ty dobrze słyszał. Co do słowa!

– Ale gdzie mam się czaić? – Temu trzeba było wszystko jak pięciolatkowi. Nie nazbyt rozgarniętemu!

– W krzakach! – warknęła Solańska. Miała dosyć wszystkich glin świata. Co jeden to bardziej niepociumany. Doszła już do mostu Wolności i rozglądała się nerwowo wokół siebie za znajomą kobiecą postacią. – Specjalnie takie miejsce wybrałam, żebyś się miał gdzie schować. Zarośnięte tam jest jak w jakiej dżungli. Dasz radę.

– To się okaże – mruknął starszy aspirant.

– Cicho! Idzie! – ofuknęła go Róża, bo w oddali zauważyła zbliżającą się do niej Alicję Szymon. – Tylko się pośpiesz!

Rozłączyła się i przywdziała na twarz uśmiech numer jeden.

– Dziękuję, że poświęciła pani swój czas. – Uznała, że trochę uprzejmości na początek nie zaszkodzi.

– Och, byle szybko – zbyła ją Szymon.

– To może zaczniemy tu – zaproponowała Róża i wskazała na most. Musiała przecież poczekać na Kordela, aż się zdąży wygramolić z komendy i doczłapie te parę metrów.

– Tu? – Szymon zmarszczyła czoło, przyglądając się rzeczywiście dość obskurnej kładce.

Róża jednak była nieustępliwa i wypchnęła niemal siłą swoją ofiarę na środek mostu. Trzasnęła jej fotki na tle wielkiego czerwonego napisu: „Obleky”. Obok rozwijano zresztą informację o dostępnym asortymencie przydrożnego sklepu, donosząc, że można tu nabyć na przykład kożichy czy kalhoty. Każdemu wedle uznania, pomyślała Kwiatkowska i zerknęła w głąb ulicy 3 Maja, by sprawdzić, czy nie nadciąga policyjna odsiecz.

Starszy aspirant Lucjan Kordel pomykał żwawo w kierunku Kwiatkowskiej i jej podejrzanej. Wreszcie je zauważył i czym prędzej czmychnął w poboczne krzaki, zapewne w nadziei, że nie zostanie dostrzeżony.

Róża westchnęła.

Całe życie z partaczami.

– Tędy – nakazała Alicji Szymon i poprowadziła ją leśną ścieżką ciągnącą się wzdłuż kanału Młynówka dalej w gęstwinę. – A tak w ogóle, to jak to było z tym Habsburgiem? – zagadnęła.

– A co miało być?! – Szymon zatrzymała się w pół kroku i wbiła w Kwiatkowską wściekłe spojrzenie.

Dziennikarka rozejrzała się niepewnie wokół siebie. Może, całkiem być może, sama na siebie sprowadziła śmiertelne niebezpieczeństwo! Poszła na spacer do lasu z morderczynią! I jeszcze jak ta głupia dawała jej znać, że wie, czego ta się dopuściła. O ile to była prawda. No tak, ale przecież przyciągnęła za sobą obstawę. Gdzie też się podziewał ten cholerny Kordel? Róża stanęła na palcach i wyjrzała ponad ramieniem Alicji. W oddali po prawej między drzewami, za kupą wysuszonych liści, sterczał jak byk starszy aspirant. Gdyby prezeska się teraz odwróciła, mogłaby go zauważyć.

– Podobno chciał wykupić akcję pani fabryki. – Kwiatkowska nie owijała w bawełnę. Trudno. Prawdopodobnie zginie, ale przynajmniej wcześniej dowie się prawdy. Kto wie, może za odwagę postawią jej pomnik, rozmarzyła się. – Ale pani się nie zgodziła.

– Jeszcze czego! – obruszyła się producentka słodyczy. – Szymonki to rodzinna firma! – piekliła się. – Z tradycjami! Żadne pieniądze nie są warte zaprzepaszczenia takiej wartości!

Róża zacisnęła usta i ruszyła przed siebie, mając nadzieję, że kobieta podąży za nią i że policjant będzie się zachowywał możliwie cicho. Po prawej minęły nieczynne o tej porze roku kąpielisko miejskie. Puste baseny o popękanej tafli z błękitnych kafli wyglądały dość upiornie.

– To skąd weźmie pani pieniądze? – Kwiatkowska odezwała się po dłuższej chwili wypełnionej tylko odgłosami wściekłego sapania Alicji Szymon, ćwierkania ptaków i szumu w oddali przejeżdżających samochodów.

– Coś wykombinuję – warknęła Szymon. – To robimy te zdjęcia czy nie?

Doszły do ścieżki spacerowej ciągnącej się wzdłuż stadionu piłkarskiego zwanego Pod Wałką. Po nierównej murawie jakiś starszy facet jeździł miniaturowym walcem, ubijając trawę.

– Jeszcze, jeszcze. – Róża nieustępliwie prowadziła kobietę do brzegu Olzy. Wreszcie przystanęła przy tamie. – Tu – zaordynowała i dawaj, ustawiać Alicję Szymon do nikomu niepotrzebnych zdjęć (numer „Głosu Polaków” z wywiadem z prezeską już dawno poszedł do druku). – Proszę popatrzeć na prawo – poleciła. – A on – znów wróciła do jedynie interesującego ją tematu – ten Habsburg to bardzo nalegał na tę sprzedaż?

– Nie chciał się odczepić! – Szymon znów się zdenerwowała. – Jakbym miała pitbulla, tobym go poszczuła! – wyznała. – Przylazł nawet do mnie do domu, pani sobie wyobraża? Groził mi! – wyrwało się kobiecie.

– Groził?! – Róża zagapiła się na rozmówczynię i już zupełnie zapomniała, że miała robić zdjęcia. Jednocześnie kątem oka dostrzegła jakiś ruch w krzakach po lewej.

– Co tam jest?! – Szymon też go zauważyła.

– Gdzie? – Kwiatkowska rznąła głupa, przysięgając sobie w duchu, że wprawdzie nie ma do dyspozycji żadnego pitbulla, ale takowego znajdzie i sprezentuje mu na obiad starszego aspiranta! Bo Gucia wolałaby nie podtruwać!

– Tam! – Alicja nie pozwalała się zbyć. – Tam ktoś jest!

– Ale gdzie? – Solańska zaczynała panikować. Lepiej, żeby kobieta nie dowiedziała się, że szpieguje je policja.

– W tym czosnku! – huknęła Szymon i wyciągnęła przed siebie palec wskazujący.

– W czoszku? – Róży z nerwów zaczął plątać się język.

Leśną ściółkę rzeczywiście porastał czosnek niedźwiedzi w ilościach zaskakujących. W powietrzu unosił się nawet charakterystyczny, z niczym nie do pomylenia zapach. Ku przerażeniu Solańskiej Alicja Szymon ruszyła w kierunku skrytego w krzakach policjanta.

– A czym pani groził?! – Róża truchtała za kobietą i próbowała odwrócić jej uwagę.

– Powiedział... – Szymon zatrzymała się nagle, a dziennikarka w ostatniej chwili uniknęła zderzenia – ...że mnie załatwi! Dokładnie tak! – Uniosła rękę ze swoim wciąż wystawionym palcem wskazującym, a Kwiatkowska dostrzegła za nią w zaroślach ruch. Kordel zmieniał pozycję na bardziej strategiczną.

– Lepiej już stąd chodźmy – mruknęła Róża. – To jest rezerwat przyrody. Cholera wie, czy się tu w krzakach nie czają jakie niedźwiedzie.

Szymon popatrzyła na nią dziwnie, ale dała się wyprowadzić z lasu. Rozstały się przy moście Sportowym, który – zdaniem Róży – wyglądał, jakby go zaprojektował nawalony w trzy trąby architekt. Nie dość że miał jedno przesło, to jeszcze przekrzywione. Kwiatkowska minęła obojętnie żółtą tabliczkę z czerwoną obwódką, która obwieszczała, że właśnie przekracza się granicę państwa. Przeszła po mostku i przysiadła na wystruganej z kawałka drewna ławce. Dopiero gdy dołączył do niej zdyszany Lucjan, Róża zauważyła, że brzegi siedziska wyżłobione były w kształt zwierzęcego pyska. To by było tyle, jeśli chodzi o cieszyńskie niedźwiedzie...

– I co? – poinformował się policjant. – Bo nic z tych chaszczy nie słyszałem.

– Za to my ciebie całkiem dobrze – burknęła Kwiatkowska. – Habsburg groził Alicji – oznajmiła. – Mówił, że ją załatwi. No co? To cytat! – zapewniła. – Nie chciała sprzedać udziałów w fabryce, to się wkurzył, chłopina. Więc może Szymon wyprzedziła bieg wypadków i sama go otruła?

– No może – zgodził się starszy aspirant.

I wyjął sobie zza kołnierza jakąś nadłamaną gałązkę.

ROZDZIAŁ 6

Potem ciotka spoważniała i spytała, co wobec tego będziemy jeść. Starszy pan powiedział: „Kto pokłada szczęście w jadle, tego cały zaszczyt w sadle”^[33].

Z pełną powagą zastanawiałem się nad wyprawą. Nie miałem wielkich wymagań. Wystarczyłby mi przybytek, w którym do pokoju nie wchodziło się przez wychodek. I w którym – co najistotniejsze – projektant postawił na drzwi tradycyjne z klamką i zawiasami, takie jakie każdy przeciętny Kowalski czy jaki tam Svoboda ma w domu. A nie to przesuwne dziadostwo! W dodatku nienaoliwione! Tej nocy najpierw co pięć minut budził mnie Solański, łażąc jak, nie przymierzając, kot z pęcherzem do wuceta. Jeszcze raz zamówi w knajpie browara, to go ugryzę! A potem, gdy już mi się wreszcie udało zdrzemnąć na moment, Kwiatkowska wstała niczym ten skowronek i gdzieś polazła, oczywiście telepiąc tym dynksem po zardzewiałych wihajstrach! Nie rozumiecie, o czym mówię? To sami sobie sprawdźcie fachowe nazewnictwo na stronie Castoramy!

Uniosłem się, ale to tylko z niewyspania. W rzeczywistości wciąż jestem małym słodkim – być może trochę ponadgabarytowym – kundelkiem z chorzowskiego schroniska dla bezdomnych zwierząt.

Solański nie czuł się o wiele lepiej ode mnie. Obaj potrzebowaliśmy drzemki. Kiedy więc wreszcie otworzyliśmy oczęta i wyjrzelśmy na zalaną słońcem ulicę, wybiło południe. Nie przejęliśmy się jednak specjalnie tym faktem. Jedynym naszym problemem był brak śniadania – o tej porze już go w La Bambie nie wydawano. Ja oczywiście pożywiłem się należną mi co rano puszczką, ale przecież wyżebrane w trakcie ludzkiego posiłku co lepsze kąski z Szymonowego talerza to jest to, co kundelki lubią najbardziej!

Solański wziął prysznic, wciągnął na zadek poprzecierane ze starości dżinsy, na górę jedną z tych swoich wymiętolonych jak kocimoczowi z gęby koszulek w kolorze rozbełtanej kałuży, a stopy wetknął w czarne trampki z białą gumą na czubkach. Swoją drogą, nie mam pojęcia, skąd on je jeszcze brał. Produkcji tego typu obuwia zaniechano gdzieś w latach dziewięćdziesiątych zeszłego wieku, detektyw musiał więc mieć zapasy ukryte pewnie w piwnicy naszego chorzowskiego familoka. W jednej parze – choć nie miały nic przeciwko temu – nie mógł chodzić od wieków, bo to badziewie rozklejało się dość szybko.

Porzucając te fazonistyczne rozważania, zauważyłem, że nogi poniosły nas do hospody pod szyldem Ostravara, która mieściła się przy tej wymarłej, choć głównej, ulicy zwanej Hlavní Třída. Byliśmy pierwszymi i jedy- nymi na razie klientami. Solański, który odkrył w sobie wielką miłość do smażonego sera (nie pytajcie), stwierdził, że po co się kłopotać śniadaniem, skoro od razu można sobie zaserwować ulubione danie. Załamalem łapy. Znaczyło to, że nie pojem. Poza tym w ogóle się nie zniechęcił ostatnimi wyskokami Jurka Krasnogórskiego i uparcie parł do tej właśnie jadłodajni.

Za barem stał wspomniany Jiří Krásnohorský. Przyjął zamówienie bez słowa i zniknął na zapleczu, skąd po chwili zaczęły się dobywać smrody starego oleju. Zanim usmażył Szymonowi danie główne, podał już piwo. Wystawiłem kły w gotowości do spełnienia swojej groźby, ale ledwie posta- wił oszroniony kufel na drewnianej ławie, a już w drzwiach wejściowych pojawiła się znajoma nam postać.

– Liduška! – przywitał się Solański.

Policjantka zatrzymała się w progu i skrzywiła. Po chwili jednak ruszyła w naszą stronę i wciąż milcząc, klapnęła naprzeciwko detektywa. Głowę schowała w dłoniach, łokcie wsparła na stole. Obwąchałem ją celem sprawdzenia, czy żyje. Żyła. I woniała napojami wyskokowymi! Kacyk ją ewi- dentnie męczył, więc klin klinem, z dzikością rzuciła się na także jej po- dany kufel pełen złocistego trunku. Za jednym pociągnięciem wydoiła jedną trzecią zawartości naczynia. Byłem ciekaw, gdzie jej się to mieści w tak chudym ciele. Może szło w ten długi warkocz?

W ogóle, jak teraz sobie tak patrzyłem na tę ludzinę, to znów zauważałem stanowczo zbyt wiele podobieństw między nimi. Na pewno zmysł mody mieli identyczny. I nie był to komplement. Szkapowaci z postury (mnie w tym względzie bliżej do Róży). A i nawet jeździli takimi samymi samochodami! Czyżby Solański miał siostrę bliźniaczkę, z której istnienia do tej pory nie zdawał sobie sprawy?

Liduška wreszcie się ogarnęła o tyle, o ile i zamiast sobie grzecznie porozmawiać z Solańskim, wyjęła zza pazuchy wymiętolone zdjęcie przedstawiające mego imiennika Habsburga. Dokładnie je sobie obejrzałem, wskazując na siedzenie obok mojego pana. Sami powiedzcie, ileż można odgniatć tyłek na podłodze? Czy kto kiedy widział jakiego człowieka odgniatającego cztery litery na podłodze? W restauracji? Chyba tylko upojonego ponad miarę. Dlaczego więc ja miałbym naśladować jakąś ochlejmordę, skoro jestem psem kulturalnym?

Całą trójcą gapiliśmy się bez słowa na martwego arystokratę, gdy Jureczek wreszcie przyniósł Szymonowi jego upragnione danie.

– Dla mnie to samo – rzekła policjantka, nawet nie zerkając na kelnera.

Nic spektakularnego się nie działo. Solański ciamkał. Liduška się gapiała na wizerunek denata i dopijała piwo. Ja spoglądałem za okno tęsknym wzrokiem, jakim mogą się poszczycić tylko prawdziwi melancholicy. A ten łajza Krásnohorský wciąż się nie pojawiał z zamówieniem!

Policjantka w końcu się zdenerwowała i zaczęła wybijać na blacie krótko przyciętymi paznokciami rytm, który mi brzmiał jak jaka symfonia. Nagle od strony kuchni doleciał wyjątkowo dokuczliwy smród spalenizny.

– Co on tam? – nie wytrzymała Czeszka.

Wstała od stołu, co i my uczyniliśmy. Takim korowodem skierowaliśmy się na zaplecze. Jeśli wam jeszcze tego mama albo Magda Gessler nie mówiły, to ja was uświadomię – nigdy nie wchodźcie na kuchenne zaplecze publicznych przybytków gastronomicznych! Pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć. Na przykład jak powstaje podawane wam danie. Tego się nie da odzobaczyć i potem człek i pies chodzą głodni, bo się brzydzą coś sobie zamówić. I po co to komu? Niewiedza bywa złotem.

Oprócz gastronomicznych bebecchów ujrzelismy tez inny ciekawy obrazek. Nasz stary znajomy restaurator stal sobie elegancko w ciemnym zakamarku i... rzucal jajkami w sciane. Woalabym z miejsca ambulans, najchetniej ten obslugujacy wariatow, ale po pierwsze, konczyla mu sie amunicja, a po drugie, rozpoznalem cel jego rebelianckiej dzialalnosci. Otocz na scianie, w miejscu, w ktore mierzyl nasz gastronom, wisialo zdjecie przedstawiajace... Gustawa Habsburga!

– A pan co? – poinformowal sie Solański.

– A rzucam sobie! – odparl Jureczek, wcale sie nie dziwiac naszej wizycie na zapleczu. – W tego patafiana!

– Patafiana? – zaciekawil sie detektyw.

– Ano tak! – huknal męczyzna. – Pan wiesz, czego on chcial? Czego zadal?!
Zgodnie musieliśmy przyznac, ze nie wiedzieliśmy.

– On mobbowal wsród polityków najwyzszego szczebla za... – zajaknal sie Krásnohorský – ...za przylaczeniem Czeskiego Cieszyna do Polski! Pan uwierzysz?

Pan nie uwierzyl. Ja i policjantka tez nie.

Swoja droga, zastanawialem sie, jak to jest, ze wciaz nowe osoby w zasadzie podkladaja nam sie jako podejrzeni. Kazdy jeden ochoczo przyznawal, ze nie cierpial Habsburga. Moze wiec oni wszyscy ubili go jakos wspólnie? Dogadali sie i dawaj, huzia na Jozia! Tak mi tylko przyszlo do glowy rozwiązanie rodem z powiesci królowej Agathy.

Ze tez ludzina miewa takie durne pomysly. Jakby nie mogli zostawic rzeczy takimi, jakie sa. Na przyklad granic państwowych. Co to za różnica, do jakiego narodu nalezy splachetek ziemi? I kto na nim mieszka? Nie mogliby wszyscy na całej Ziemi po prostu zyc i pozwolic zyc innym? Bez wzgledu na pochodzenie? Ale ci nie. Ten chce Krym, a tamten Rzym, i daj mu.

Nasz arystokrata najwyrazniej rowniez gustowal w takich politycznych ruchawkach. Choc akurat na to Jureczek burzyc sie nie powinien. Jesli do-

brze pamiętałem, on chciał dokładnie tego samego, tylko że na odwrót.

– Cieszyn powinien być czeski! – potwierdził słusność swoich przemyśleń. – Do diabła! – postawił kropkę nad i.

Po czym zorientowawszy się, że skończyły mu się jajka do bombardowania, wyszedł z kuchni, zostawiając nas w oparach spalonego oleju.

Solański – mogłem to stwierdzić po jego minie – stracił apetyt na dobre.



– Alibi! – powiedział z naciskiem starszy aspirant Lucjan Kordel i wbił zęby w bułkę ze śledziem. Nieco sałatki warzywnej, która była częścią składową posiłku, wyslizgnęło się spomiędzy chleba i pacnęło na brukowany cieszyński rynek.

Róża Solańska zmarszczyła nos.

– Trzeba sprawdzić alibi naszych podejrzanych! – obwieścił wciąż z pełnymi ustami.

Dziennikarka odsunęła się nieco od policjanta. Niewiele jej już zostało miejsca do manewrów na ławce, na której siedzieli i omawiali śledztwo. Słabił ją ten gliniarz. Sama przecież do niego zadzwoniła tego ranka i powiedziała mu o tym, że należy się dowiedzieć, czy wszyscy, którzy wpadli im w oko w kontekście zbrodni na Gustawie Habsburgu, mają alibi na czas morderstwa. I że ona chętnie pomoże, bo prędzej – argumentowała – ludzie będą chcieli gadać z nią niż ze znanym gliniarzem. Cieszyn to nie Nowy Jork, mieszkańcy się tu kojarzyli przynajmniej z widzenia. Zatem wypytujący ich aspirant od razu wzbudzał nieufność.

Na uwagę bezczelnie podsłuchującego rozmowę telefoniczną Solańskiego, że dziennikarze też nie cieszą się wielką estymą wśród społeczeństwa i większość wolałaby zeżreć własne kapcie, niż udzielić wywiadu, a potem czytać poprzekręcane bzdury na swój temat w wypocinach niby to najznamienitszych żurnalistów, Kwiatkowska zareagowała wściekłym prychnięciem.

Detektyw nie mógł też przeżyć, że nie może towarzyszyć Róży w spotkaniu z aspirantem. Niestety musiał odwalić papierkową robotę związaną z prowadzeniem agencji. Inaczej jego księgową gotowa była go udusić. Albo nawet gorzej – wystawić na pastwę toczących pianę z pysków urzędniczek urzędu skarbowego. Z tymi lepiej było się niepotrzebnie nie kontaktować, bo zaraz bogu ducha winnemu przedsiębiorcy prowadzącemu jednoosobową działalność gospodarczą i ledwie wiążącemu koniec z końcem sprowadzały na kark serię kontroli. Solański już swoje w tym względzie przeżył. Łącznie z panią, która przysłała sprawdzić, czy kamienica przy 11 Listopada 113 w Chorzowie, w której mieszkał i pracował detektyw, w rzeczywistości istnieje. Na sugestię, że szybciej i taniej było sobie odpalić internetową mapę z podglądem ulic, Szymon usłyszał litanie na temat oszustów transferujących swoje aktywa na jakie Kajmany czy inne Cypry, prowadzących firmy-wydmuszki, okradających nasze wspaniałe państwo z podatkowego haraczu i tak dalej, i w ten deseń, wszystko z domysłem, że jednak Solański może być jednym z nich.

Chciałby.

Jednak rzeczywistość była bardziej skrzecząca niż chora wyobraźnia znudzonej biurwy.

Mógł sobie tak biadolić, ale koniec końców biurwa i tak miała nad nim przewagę – faktury musiał wystawić, zebrać i wysłać do księgowej. Nie podobalo mu się, że jego żona zajęła się śledztwem. W dodatku w towarzystwie tego policjanta! Sam jednak uważał za stosowne niby to toczyć dochodzenie, a tak naprawdę spotykać się po knajpach z tą Rudą Małą! Dziś rano zagryzł jednak zęby, ucałował Różę, zanim wyszła z hotelu, i zasiadł przed laptopem z Guciem leżącym mu na stopach. W takiej pozycji Solańska zostawiła swojego męża i ruszyła w miasto.

Kordel umówił się z nią na Rynku. Dlaczego tam, szybko się okazało – gliniarz miał blisko do firmowego sklepu sprzedającego te cuchnące ryby! Oznajmił, że palcem nie będzie w stanie kiwnąć, zanim nie skonsumuje tego lokalnego przysmaku.

Teraz Lucjan wreszcie skończył przeżuwać, obtarł serwetką palec wskazujący, po czym go nieelegancko wystawił przed siebie.

– O! Na przykład jej alibi chciałbym poznać! – powiedział, a Róża podążyła wzrokiem za wystawionym paluchem.

Przeciwną pierzeją Rynku bieżyła znajoma postać.

– Mira Chowaniuk? – Kwiatkowska przyglądała się rażno kroczącej kobiecie, za którą powiewało narzucone na plecy ponczo w kolorze dojrzałej pomarańczy. – Że niby za te magnolie miała go kropnąć?

– A dlaczego by nie? – zastanowił się policjant. – Widziałem już jak jeden drugiego za dwie dychy posłał na tamten świat.

Solańska nie zdążyła skomentować, bo jej uwagę przykuła Mira, która rzuciła się w objęcie jakiejś pary. Mężczyzna i kobieta przystanęli i wdali się w dyskusję z Chowaniuk.

– A jakby tak... – Róża złożyła propozycję, której esencji nie musiała nawet wyjawiać policjantowi, ponieważ ten najwyraźniej pomyślał o tym samym.

Zgodnie podnieśli się z ławki, okrążyli Rynek i cichaczem zbliżyli się do Miry i jej znajomych, akurat w momencie, gdy ci weszli do kawiarni Mount Blanc. Nie namyślając się długo, dziennikarka i stróż prawa podążyli ich śladem. Zajrzeli przez przeszklone drzwi. Ku ich uciesze śledzeni zajęli miejsca w głębi lokalu. Tym sposobem para śledczych mogła zasiąść przy stoliku położonym niedaleko kasy i choć przez jakiś czas nie zostać zauważona.

– Poproszę czekoladę na gorąco. – Kwiatkowska złożyła zamówienie. – I pralinę – dodała, przeglądając menu. – Albo nawet trzy. Taką jedną małą człowiek się nie naje – wytłumaczyła się, choć nikt jej o to nie prosił. – A ty? – zagadnęła policjanta.

Kordel rozejrzał się po lokalu z obrzydzeniem. Właściwie trudno mu się było dziwić. Gdyby spożyte właśnie śledzie popił gorącą czekoladą, nie skończyłoby się to dobrze ani dla jego żołądka, ani dla konspiracji.

– Jest brackie? – chciał wiedzieć.

Niestety nie było.

Kordel zamówił więc wodę gazowaną i nadstawił ucha. Z sali położonej za toaletami dobiegały odgłosy rozmowy. Róży słuch wyostrzył się dopiero, gdy wciągnęła dwie wymyślne czekoladki i zjadła bitą śmietaną zdobiącą podany jej napój.

– Musimy to powtórzyć! – mówił towarzyszący kobietom mężczyzna.

– Co to była za impreza! – zachwycała się Mira.

– Ale właściwie głupio wyszło – dodała trzecia osoba. – Nie po bożemu. No bo my tak świetnie się bawiliśmy, podczas gdy ten biedny człowiek niemal w tym samym momencie umierał na tym moście – klarowała piskliwym głosem.

Róża zamarła z łyżeczką pełną czekolady w połowie drogi do rozwartych ust.

– Ten chór tak pięknie śpiewał – perorował dalej facet, jakby słowa przedmówczyni do niego nie dotarły. – Ale i tak najlepsze było after party na probostwie – zadeklarował.

Na to obwieszczenie Róża już się jednak popluła. Bezwiednie wytarła bluzę serwetką i odsunęła od siebie słodycze. Patrzyła prosto w oczy Kordelowi, który był tak samo zafascynowany podsłuchiwaną rozmową jak ona. Żadne z nich ani drgnęło, by nie umknęło im ani słowo.

– Oj, uspokój się, Krysiu! – Mira strofowała koleżankę. – Habsburga nie ma co żałować. Wiesz, że to on wyciął magnolię na zamku?

– Och! – westchnęła Kryisia. – Mimo wszystko. Każdego żal...

– A pamiętacie – ciągnął mężczyzna – jak o trzeciej basista wskoczył na biurko pastora i z niego spadł? – Zarżał z uciechy. – Ale się działo!

– Może już chodźmy – odparła na to Mira. – Pastor czeka. Trzeba ustalić szczegóły majowego festynu.

Kwiatkowską odblokowało.

– Za mną! – zaordynowała Kordelowi.

A ponieważ ten wciąż się nie ruszał, szarpnęła go za rękaw i zawlekła za sobą do damskiej toalety, wcześniej zgarniając z kontuaru klucz dostępny

tylko dla klientów lokalu. Ledwie zdążyła przekręcić go w zamku od środka, a za drzwiami usłyszała głosy śledzonych.

– Ja jeszcze do kibelka skoczę – rzekła Mira.

I dawaj, szarpać kłamek. Róża zerknęła na Lucjana, który wybałuszał oczy w swoje odbicie w łazienkowym lustrze. Solańska postanowiła wziąć intruzkę na przeczekanie. Znudzi się kobita i da za wygraną. Rzeczywiście, po jeszcze kilku próbach dostania się do środka Chowaniuk zrezygnowała. Róża i Lucjan odczekali dobrą minutę, po czym wydostali się na zewnątrz. Kwiatkowska rzuciła banknot na stolik i czym prędzej wyszła na Rynek. W sam raz, by dostrzec trójkę znikającą w głębi ulicy Regera.

Znów wzięła aspiranta za wszarz i pociągnęła w tym kierunku.

– Jeszcze z nimi nie skończyliśmy – warknęła, gdy policjant próbował stawiać opór.

W ferworze prac detektywistycznych dziennikarka nie zauważyła, że z śledzącej stała się śledzoną!



– Na pohybel biurwom ze skarbówki! – przemówił Szymon Solański do swojego psa, po czym odwrócił się nerwowo przez ramię i przyjrzał z podejrzliwością leżącemu na łóżku laptopowi. – Skoro już wyłączony, to może nie mogą mnie podsłuchać? – zastanowił się na głos. Przy tych dzisiejszych systemach inwigilacyjnych nigdy nie było nic wiadomo.

Zaraz po wyjściu Róży z pokoju uznał, że jednak są na tym świecie (a przynajmniej w Cieszynie) sprawy ważne i te niecierpiące zwłoki. Dochodzenie należało do drugiej kategorii, natomiast ze światem finansów mógł się rozprawić w późniejszym terminie. Wetknął więc stopy w trampki, zapiął psu smycz i wymknął się w ślad za żoną. Chciał ją zawołać i przyłączyć się do niej, jednak Guccio tak długo zwlekał, obwąchując i skrapiając róg kamienicy o żółtawej elewacji na styku Nádražní i Hlavní Třída, że detektyw stracił rozpęd i przekonanie. A potem już mu było głupio gonić za

Róża. Wydawało mu się, że jest za późno na dekonspirację. Chciał nie chciał, ruszył więc w potajemny pościg za ukochaną.

Czuł się podle. I już na Rynku, obserwując, jak Kordel walczy z kanapką ze śledziem, był bliski ujawnienia się. Zwłaszcza że Gucio dostrzegł swoją panią i wyrywał się w jej kierunku w celach powitalnych. Zresztą kundelek był gotowy cieszyć się na widok swoich ludzi choćby i trzydzieści dwa razy dziennie. Wystarczyło na pięć minut zniknąć z mieszkania, a po powrocie otrzymywało się pełny ceremoniał powitalny, na czele z próbami wskoczenia właścicielowi na głowę, radosnymi szczekami i podawaniem łapy.

Sprawy jednak potoczyły się szybko, a w ich wyniku Solański zmienił nastawienie.

Róża i Lucjan – a za nimi Szymon – dostrzegli Mirę Chowaniuk, miejscową artystkę i aktywistkę, wielbicielkę magnolii, wraz z jakimiś znajomymi. Weszli za nimi do kawiarni. Szymon zerknął do środka przez szybę. I cóż dostrzegł? Swoją żonę wpatrzoną w tego cholernego gliniarza! Pan pała też się zresztą gapił na Solańską rozszerzonymi gałami, jakby się naćpał i jego źrenice odmawiały normalnego funkcjonowania. Siedzieli bez ruchu przy stoliku przy oknie i patrzyli sobie w oczy.

Niebywałe!

I co też Róża widziała w tym żrącym śmierzącego śledzia, kapiącym sobie majonezem po brodzie niechluj?! Tyle zdążył pomyśleć detektyw, gdy jego żona ochlapała sobie bluzę czekoladą...

Trafił swój na swego.

To wszystko Solański może by jeszcze jakoś zniósł. Jednak wydarzenia, które nastąpiły już po chwili, były zgoła niewytłumaczalne! No bo jak racjonalnie wyjaśnić fakt, że Róża zamknęła się – wręcz zaciągając go tam siłą! – z aspirantem w toalecie?!

Damskiej!

Na klucz!

Wyobraźnia Solańskiego szalała! Powstrzymał się od działania, ponieważ z lokalu wyszła Mira z pozostałą dwójką, musiał się więc przed nimi

ukryć. Zaraz też na Rynek wyłonili się Kwiatkowska i Kordel. I ruszyli tropem trojga starszych ludzi. A Solański za nimi. Ciekawe, dokąd im się tak śpieszyło?

Takim tajemnym korowodem szli ulicą, mijając po prawej Muzeum Śląska Cieszyńskiego, potem po lewej przy Wyższej Bramie klasztor Boromeuszek. Wreszcie tuż za spożywczakiem skręcili w prawo. Gdy Solański dotarł do rogu kamienicy, śledzona trójka i ich ogon znikali już w parku okalającym kościół. Wieża tego ostatniego wznosiła się wysoko ponad korony już zieleniących się drzew. Dopiero gdy obie grupy zniknęły we wnętrzu świątyni, Solański mógł zbliżyć się niezauważenie do budowli. Najciszej, jak potrafił, uchylił drzwi do kościoła. Od razu zorientował się, że to ewangelicki przybytek. Do tego o oryginalnej architekturze. Wetknął głowę do środka i ujrzał półokrągłe okna dziurawiące elewację jak sito, ze wszystkich stron wpuszczające do wnętrza mnóstwo światła. Białe ściany, niebieski sufit i nieprzesadna liczba pstrokatych ozdób dawały dobry efekt. Szybko jednak musiał przerwycić swoją uwagę z wystroju wnętrza na kotłujących się w ławkach ludzi.

Starsi państwo podeszli do ołtarza, coś tam przy nim pogmerali, zachowując się jak gospodarze na swoich włościach. Róża i Lucjan udawali zaś rozmodlonych wiernych, cały czas obserwując tych pierwszych. Padli na kolana w ostatniej ławce i złożyli dłonie na oparciu. Solański prychnął pod nosem. Ta kontemplacja długo jednak nie potrwiała, bo cała ekipa wyniosła się z kościoła bocznym wyjściem. Szymon opuścił swój punkt obserwacyjny i okrążył świątynię od zewnątrz. Akurat, by dojrzeć Mirę i spółkę wchodzących do żółtego piętrowego budynku postawionego tuż obok. Najpewniej do plebanii. Detektyw przyśpieszył kroku. Nie zważając już na to, czy ktoś mu zwróci uwagę, wpadł do środka. W wąskim wyłożonym buczką wykładziną korytarzu unosił się zapach obiadu. Jarzynowa, mielone, ziemniaki i groszek z marchewką – zgadł w myślach Szymon. Gucio też zainteresował się kulinariami, wystawiając nos ku górze i węsząc.

Głosy dobiegły z pokoju po prawej. Detektyw zerknął przez szparę w drzwiach, tylko po to, by dojrzeć tyłek swojej żony wypięty koncertowo

tuż obok tak samo nieelegancko upozowanego zadka policjanta. Róża i Lucjan podsłuchiwali w najlepsze, przykładając uszy do framugi. Jeszcze im tylko brakowało szklanek w rękach dla wzmocnienia efektów akustycznych! Solański wyteńczył słuch.

– Wiesz, tak sobie myślę – mówił kobiecy głos. – Miry wtedy nie było.

– Kiedy? – Tym razem odezwał się mężczyzna. – Zaraz wróci. Poszła przecież po pastora.

– Nie teraz! – odparowała zirytowana rozmówczyni. – Wtedy! Na imprezie. W noc śmierci Gustawa Habsburga.

– O czym ty mówisz? – Facet był najwyraźniej mało zorientowany.

– No najpierw była. Na koncercie. Potem, gdy się przenieśliśmy na plebanię, to w pewnym momencie zniknęła. Nie mogła przypomnieć sobie upadku basisty ze stołu, bo jej tu wtedy nie było! Pamiętam to, bo chciałam jej przedstawić pomysł na nową aranżację kwiatów przy ołtarzu, którą widziałam w Internecie, ale nigdzie jej nie mogłam znaleźć. Sprawdziłam we wszystkich pomieszczeniach! – Kobieta nadawała na tyle głośno, że i Solański z oddali mógł wszystko usłyszeć. – Wróciła pod sam koniec, gdy już się pastor struł winem i zasnął pod stołem. Tym samym, z którego basista... Nic ci nie świta? – drążyła.

– A nawet jakby, to co z tego? – Znow dało się słyszeć mężczyznę.

– Nie wiem. I może nie chcę wiedzieć. Zważywszy na jej miłość do magnolii i „zbrodnię” na tych krzewach, jak mówi Mira, którą popełnił Gustaw Habsburg.

– A potem sam padł ofiarą morderstwa – dokończył myśl facet.

– O czym tu tak sobie plotkujecie? – Do pokoju wróciła Mira Chowaniuk.

W odpowiedzi dało się słyszeć jakieś mętne zapewnienia, że o niczym. Solański tak zapamiętał śledził dyskusję, że zapomniał o własnej konspiracji. Dlatego też po chwili usłyszał głośne niczym dzwony na kościelnej wieży:

– A co ty tu robisz, do cholery?!

Od odpowiedzi chwilowo uwolniły go jednak ogólny pośpiech i panika. Kwiatkowska bowiem zorientowała się, że niepotrzebnie zwróciła na siebie i Lucjana uwagę knujących za drzwiami parafian.

Rzuciła się do ucieczki, ciągnąc za sobą gliniarza, męża oraz psa.



Wprawdzie wiem, że jestem psem detektywa, ale jeśli jeszcze raz ktoś mi każe kogoś śledzić w tych przeklętych Cieszynach, to ostrzegam, że w ruch pójdą moje nadszarpięte upływem czasu i mroczną przeszłością zęby. A ich wcale nie należy nie doceniać! Solańscy pogłupieli, a ja się z nimi musiałem użerać. Postanowiłem sobie, że zorganizuję naradę bojową i im nawtykam do tych zazdrosnych łbów. Koniec wygłupiania się albo będą mieli do czynienia ze mną. Lub jeszcze gorzej – zawezwę na pomoc taką jedną wściekłą kocicę, o której przygodach czytałem. Nosi dziwne męskie imię i podobno rozwiązuje gdzieś na Mazurach zagadki kryminalne za pomocą bardzo ostrych pazurów. Jest też znaną pamiętnikarką. Wiecie, o kim mówię?

Wróciłem myślami do rzeczywistości i rozkopałem kołderkę. Spałem na środku łóżka i pilnowałem moralności mojej ludziny. Wieczorem wreszcie się pogodzili, niby wyjaśniając sobie, dlaczego się od kilku dni wzajemnie śledzą, a potem zebrali im się na amory. Jednak nie ze mną te numery, Brunery! Co to, to nie! Hola, hola! Nie przy dzieciach! Nie przy psie, zboczeńce jedne! Tak im powiedziałem i zaprowadziłem ład moralny w pokoju numer dwanaście, tylko trochę wspomagając się wspomnianymi wyżej zębiskami. Wpakowałem się pod kołdrę między nich i tak w spokoju przespałiśmy do rana.

Róża zrobiła sobie wolne, więc po śniadaniu poszliśmy na wspólny spacer. Cały czas musiałem pilnować tych gołąbeczków, żeby się za bardzo nie spoufalali. Gdy tylko zbyt do siebie przytulali, wkraczałem do akcji. Wskakiwałem mianowicie im przednimi łapami na zadki i wpychałem mokry nos w ich dłonie.

Działało.

Jak zwykle.

Pozachwycali się mną odpowiednio i mogliśmy ruszyć w dalszą drogę. Pogoda była dzisiaj, że tylko splunąć przez lewe ramię, otrząsnąć się i pójść czym prędzej na browara. Co i my postanowiliśmy uczynić. Jednak zanim znaleźliśmy przybytek, które by nam odpowiadał, trafiliśmy w sam środek afery kryminalnej. Miała ona miejsce na Rynku, który był – swoją drogą – chodzącą reklamą tego festiwalu filmowego, podczas którego różni kinomani, hipsterzy, studenci i inna szarańcza niby to oglądają kino na granicy, a tak naprawdę przyjeżdżają do Cieszyna po to, by właśnie pójść na wspomniane wyżej piwo.

Trudno ich za to winić.

Na środku centralnego placu miasta odbywała się właśnie pikiet. Może kilkanaście osób poruszało się tak zwanym wężykiem wkoło Rynku i jeszcze tylko brakowało, żeby zaczęli śpiewać, że jedzie pociąg z daleka, na nikogo nie czeka. W zamian zdzierali gardła, skandując te same hasła, które mieli wypisane na niesionych – nie bez trudu – transparentach. Było im trochę ciężko, ponieważ żadne z tych awanturników były młodzieniaszki. Głównie starsze panie poubierane na kolorowo w powłóczyście szaty, z włosiem wyjętym dopiero co spod fryzjerskiej maszyny do robienia trwałej ondulacji i z tak szeroko opisywanymi w literaturze politycznej kurwikami w oczach. W skład tego sabatu wchodził jeden zagubiony chłop, pewnie siłą przyprowadzony małżonek którejś z protestujących.

Wcale się nie zdziwiłem, gdy odkryłem, że przewodniczyła im Mira Chowaniuk.

Ta stara awanturnica zdawała się nic innego nie robić, tylko protestować przeciwko czemu tylko się da.

– Filmy do kin! – wykrzykiwali zebrani. – Nie na granicę!

– A nie nam tu śmiecić, chłać po bramach i zanieczyszczać Olzę! – Jedna z aktywistek powiedziała o tym, co najbardziej leżało na sercach tej grupie obywateli.

– Wymiocinami! – Uznał za zasadne uzupełnić informację rodzynek i zaczął wymachiwać transparentem tak energicznie, że aż w rezultacie sam się nim palnął w czachę.

Byłem pełen obaw, czy zaraz nie zejdzie z tego łez padołu, ale podeszła do niego jedna z niewiast – założę się, że żona! – szturchnęła go butem między żebra (a gdy mówię: „szturchnęła”, mam namyśli: „zadała kopa”) i wydarła się jeszcze donośniej.

– Wstawaj, stary! – zaapelowała mianowicie. – Ja ci tych gaci prała nie będę!

Na ten argument chłop podniósł się błyskawicznie i tylko trochę chwiejnym krokiem podążył za wężykiem.

Przechodnie łypali na protestujących, unosząc brwi albo pokazując ich sobie palcami. Choć i znaleźli się tacy, którzy zadeklarowali swoje poparcie w słowach na tyle nieprzyzwoitych, że ich tu nie przytoczę. Powiem jedynie, że można by je przetłumaczyć jako apel do zwolenników festiwalu o „umykanie z Cieszyna, a to chyżo”. To z kolei nie spodobało się tym, którzy się jeszcze przed chwilą podśmiewali z uczestników wężyka i już sam nie wiem, do jak dantejskich scen by tu doszło, gdyby nie pojawienie się na scenie dramatu sił policyjnych w osobach starszego aspiranta Lucjana Kordela i komisarz Liduški Žrankovej.

Jak się szybko okazało, nie przyszli tu w celu zapanowania nad niepokojami społecznymi. W momencie gdy niezadowoleni z inicjatyw szerzenia kultury znaleźli się mniej więcej na wysokości Powszechnej Spółdzielni Spożywców Społem – a przynajmniej taki napis zamieszczono na żółtej elewacji kamienicy – para policjantów podeszła do Miry Chowaniuk i zatarasowała jej drogę.

– Mira Chowaniuk? – Aspirant zapytał jak jaki głupi.

– A co? Skleroza dokucza? – zmartwiła się aktywistka.

– Ale czy to pani? – upierał się policjant.

– W żadnym razie – odparła Chowaniuk i już się zabrała do wymijania zawalidrogi, gdy do akcji wkroczyła policjantka.

– Jest pani zatrzymana – obwieściła.

Mira przyjrzała jej się z uwagą.

– A to już protestować nie wolno? – Na to wtrącił się ten jedyny chłop, który rzeczywiście musiał się srogo uderzyć w dekiel kijem od szczotki, na końcu którego przyczepił karton z napisem: „Precz z festifalem”, nie przejmując się specjalnie prawidłową pisownią. – Cenzura! – wydarł się. – Komuniści!

– Panie, zamknij się pan – rzekł na to Kordel i zadyndał znacząco kajdankami.

– Z jakiej paki mnie aresztujecie? – zainteresowała się Mira i owinęła się szczelniej swoim indiańskim ponczo, bo jak już wspominałem, aura nas nie rozpieszczała.

A pamiętam, gdy jeszcze kiedyś mieliśmy cztery pory roku i w kwietniu to była prawdziwa wiosna, ciepło, motylki i tarzanie się w świeżej gnojóweczce. Teraz w Polsce można było liczyć na tropikalne lato przez dwa miesiące i zimę przez pozostałe dziesięć. Naprawdę muszę na poważnie porozmawiać z moimi człowiekami o pomysłe emigracji w jakieś bardziej ogarnięte pogodowo miejsce na świecie. Ale o czym to ja...

– Pod zarzutem morderstwa! – wyjąwił aspirant i aż się zaczerwienił na licu.

My w tym czasie siedzieliśmy na ławeczce – jednej z tych oklejonych na kolorowo reklamami znienawidzonego przez Mirę festiwalu, i obserwowaliśmy zajście z wielkim zainteresowaniem. Ku widocznej na twarzach stróżów prawa konsternacji Mira, zamiast wziąć nogi za pas – o co można by ją podejrzewać – i próbować zwiać przed psami, roześmiała się perliście, po czym dobrowolnie wyciągnęła przed siebie dłonie gotowe do zakucia w dyby.

– Proszysz – powiedziała i ramieniem otarła łzę rozbawienia z policzka. – Że ja niby Habsburga trzasnęłam? – doinformowała się jeszcze.

Proszę, proszę, jak od razu wiedziała, o którego trupa chodzi. Moim zdaniem mieliśmy przed oczami wysokiej klasy manipulatorkę! Na miejscu

gliniarzy zamknąłbym ją od razu w wieży Piastowskiej i nie wypuszczał aż do procesu, bo w przeciwnym razie na pewno by coś zamataczyła.

Tymczasem cała trójka: jedna podejrzana plus dwóch zdumionych policjantów, udała się w kierunku zaparkowanego w poprzek ulicy Głębokiej radiowozu. Nam nie pozostało nic innego, jak wreszcie pójść na to obiecane piwo!



Liduška Žrankova powinna być zadowolona. Tak sobie myślała, siedząc w swojej ulubionej speluncie niedaleko Rynku w Czeskim Cieszynie: „powinnam być zadowolona”. Opierając się łokciami o blat baru, popijała drugą już tego wieczoru whisky. W tle z głośników sączył się jakiś metal niewiadomego pochodzenia. Może chorwacki? W każdym razie niezbyt głośno, mogła więc spokojnie się zastanawiać. Wskazała palcem na barmana i podsunęła mu szklankę. Aluzja została zrozumiana. Polecenie wykonane bez słowa. Żłoty płyn przyjaźnie migał na dnie szklanego naczynia.

Zatem Žrankova powinna się cieszyć. Mieli swoją podejrzaną. W dodatku przymkniętą w areszcie. Nie mogła im zwać. Mira Chowaniuk miała motyw, by zabić Gustawa Habsburga. Kwestie społeczne były dla niej najwyraźniej niezwykle ważne. Słysnęła w Cieszynie z organizacji wszelkich rozrób związanych z drażliwymi tematami: ekologią, feminizmem czy choćby obroną nieszczęsnych magnolii. Liduškę nie zdziwiłoby więc w zupełności, gdyby Mira załatwiła arystokratę, karząc go w ten sposób za wycięcie drzewka na zamku. Szczerze mówiąc, sama by mu za to dała po łapach.

Mira Chowaniuk miała motyw, za to alibi ni hu, hu. Do tej pory utrzymywała, że w noc morderstwa była na imprezie parafialnej. Jak się jednak okazało, zniknęła z niej w newralgicznym momencie. I wciąż nie przedstawiła im przekonującego wyjaśnienia, gdzie się wtedy znajdowała, skoro nie na moście Przyjaźni, mordując Habsburga.

Liduška i Lucjan przesłuchali Mirę na komendzie, jednak nic nie wskórali. Zupełnie nic. Chowaniuk nie była zainteresowana przydzieleniem jej adwokata.

– Tylko winni potrzebują papugi – powiedziała i już więcej się do nich nie odezwała, chociaż wypróbowali na niej wszystkie znane im techniki przesłuchań. Łącznie z oklepanym dobrym i złym policjantem. Tego drugiego grała Žrankova. Nie musiała się specjalnie wysilać. Bo chociaż, jak już zostało powiedziane, powinna być zadowolona, to nie była w ogóle. Coś jej w tej sprawie nie pasowało. Nie wiedziała tylko co. Czuła, że to nie jest koniec śledztwa, a dopiero wierzchołek góry lodowej, po której ona będzie musiała się wspiąć. Pewnie bez asekuracji.

Przyjrzała się swojemu blademu odbiciu w zawieszonym za barem lustrze. Teraz wyglądała na swoje prawie czterdzieści lat. Kąciki jej ust opadły. Policzki zwisały. Pod oczami znać było szare cienie, a na chudej twarzy odznaczały się zmarszczki mimiczne. Zwłaszcza te wokół warg. Žrankova naciągnęła głębiej na czoło czapeczkę z daszkiem, tak by nie widzieć swojej facjaty. Sama nie wiedziała, jak to się stało, że w szklance znów zobaczyła dno. Już miała ponownie wskazać na barmana, gdy spostrzegła, że na krzesło obok niej wdrapał się jakiś facet. Z wydatnym brzuchem wetkniętym pewnie siłą pod jedwabną koszulę wsadzoną z jeszcze większym wysiłkiem do garniturowych spodni. Jego marynarka zwisała przerzucona przez ramię, na oko zaś spadała przetłuszczona czarna grzywka.

– Hej, mała – powiedział to, czego właściwie można się było po takim podpitym biznesmenie na wyjeździe służbowym – którym z pewnością był – spodziewać. – Co dla ciebie? Ja stawiam – rzekł i przybliżył się wraz z krzesłem do Liduški.

Policjantka zaśmiała się niewesoło. Zazwyczaj wsmarowywała takich grubasów w chodnik bez najmniejszego wysiłku. Nie bała się. Nawet było jej żal faceta. Nie wiedział, z kim postanowił zatańczyć.

– Spierdalaj – powiedziała tonem tak łagodnym, że do kołosa początkowo nie dotarł sens wypowiedzianych słów.

Dopiero po chwili jego głupawy uśmiezek tłustych warg zrzędł.

– Aaa – przeciągnął samogłoskę. – Rozumiem.

– Gównu rozumiesz – zapewniła go policjantka wciąż tak samo miłym głosem.

– Lubisz na ostro – zaopiniował wyraźnie ucieszony frajerzyna. – Panie barman, dwa whisky! – zaordynował, wiercąc się na stołku, który zaczął mu się wrzynać w tyłek. – Dla mnie i dla Pippi! – zarzął z własnego dowcipu. – Lubię rudzielce – zapewnił ją. – Jesteście najlepsze w te sprawy. To dlatego, że przez całe życie – rozgadał się – nie macie powodzenia wśród chłopaków. W szkole się z was śmieją i ciągną za warkocze. Więc potem, jeśli już ktoś zwróci na was uwagę, jesteście wdzięczne. I ja tę wdzięczność doceniam! – zapewnił i się oblizał. Liduška poczuła napływającą falę mdłości. – Dzisiaj jest twój szczęśliwy dzień, bo docenię ciebie – powiedział i napił się podanej mu przez barmana whisky.

– Powiedziałaś, wypierdalaj – powtórzyła policjantka, tym razem już z rezygnacją. Nudził ją ten zbok.

– Uuu – zawył znowu. – Nieustępliwa. Takie też lubię. Pij! – Podsunął jej drinka.

– Wiesz co? – Žrankova postanowiła zmienić taktykę. Chwyciła szklankę i też przysunęła się z krzesłem do faceta.

– No co? – zapytał zupełnie już purpurowy na facjacie.

Widziała krople potu perlące się u nasady jego – teraz już mogła to stwierdzić z pewnością – farbowanych włosów. Przełknęła gulę narastającą w przełyku i zmusiła się do działania.

– Lubię ostro – wyszeptała, jeszcze bardziej przybliżając twarz do tego spasionego ryja.

– Wiedziałem! – zapiszczał Jedwabnik, jak w myślach zdążyła go nazwać.

Komisarz Liduška Žrankova zadziałała błyskawicznie. I na wielu frontach. Najpierw wylała zawartość szklanki na krocze namolnego gnoja. Zanim ten zdążył zaprotestować, zeskoczyła ze swojego krzesła i zadała z całej siły kopa w nogę siedziska, na którym ulokowany był zboczeniec. Krze-

sło zachwiało się i biznesmen z kwikiem wylądował na podłodze. Liduška jednak jeszcze z nim nie skończyła. Następnym celem, na którym spoczął czubek jej zimowego obuwia zakupionego zresztą w dziale męskim miejscowego sklepu, było przyrodzenie Jedwabnika. Zaparło mu dech z bólu. Policjantka szybko doprawiła ofiarę, nadeptując jej na piszczel, po czym jeszcze – już tylko dla własnej satysfakcji – nachyliła się nad nim i wymierzyła prawy sierpowy w szczękę leżącego.

– Lubię ostro – powtórzyła – sprać mordę takiego przekonanego o swoim wdzięku i powabie skurwysyna, który nie rozumie prostej komendy. – Znów przemawiała anielskim wręcz tonem. – Wypierdalaj. Jeśli nie chcesz, żeby Pippi jeszcze raz ci stłukła tyłek.

Przyjrzała się facetowi. Leżał na podłodze, trzymając się za jaja, i jęczał. Liduška otrzepała dłonie.

– Będę się już zbierać – powiedziała do barmana. – Sorry za bałagan.

Barman, który doskonale wiedział, kim jest jego stała klientka, wzruszył tylko ramionami.

Žrankova położyła kilka banknotów na ladzie i wspięła się po stromych kamiennych schodkach. Na ulicy uderzyło w nią chłodne, orzeźwiające powietrze.

Czas było wracać do domu.

Liduška chciała włożyć dłonie do kieszeni. Ze zdumieniem stwierdziła, że nie może trafić. Trzęsły jej się ręce. Potyczka z nachlanym prostakiem odbiła się na niej bardziej, niż by sobie tego życzyła. Parę kroków dalej dostrzegła jakiegoś żula popalającego papierosa. Znała go z widzenia.

– Daj zajarać – zażądała, zbliżając się do łachmaniarza.

On najwyraźniej też ją pamiętał z kilku interwencji, podczas których mieli się przyjemność zapoznać, bo bez protestu poczęstował ją fajką z wymiętowanego opakowania. Psom się nie odmawiało. Poza tym ta chuda policjantka zachowywała się wobec niego przyzwoicie. Nie wlepiła mandatów, a raz nawet, w dość srogą grudniową noc tuż przed Bożym Narodzeniem odwiozła go do przytuliska, żeby mu dupa nie zamarzła. Użyczył więc

kobiecie zapalniczki i jeszcze uklonił się na do widzenia. Liduška zazwyczaj nie paliła. Teraz jednak zaciągnęła się z lubością i ruszyła w stronę swojego mieszkania przy Koperníkovej.

Dopiero gdzieś na wysokości Hasičského muzeum zorientowała się, że ktoś za nią idzie. Ulica była ciemna, do tego mrok pogłębiały rosnące tu gęsto drzewa. Najpierw usłyszała zbliżające się coraz szybsze kroki. Nie chciała się odwracać, by nie dać po sobie poznać strachu. A ten niespodziewanie chwycił ją za gardło. Rozejrzała się na boki. Jak na złość ani jednego przechodnia. Czeski Cieszyn spał. Ona też powinna, zamiast szlajać się samotnie po jego zakamarkach. Przyśpieszyła. Do domu zostało jej już naprawdę niewiele drogi.

Pościg też wydłużył krok.

Liduška poczuła, że w ogarniającej ją panice traci oddech. Potem ktoś podciął jej nogi. A może potknęła się o kostki brukowe pozostawione tu przez budowlańców, którzy nie zdążyli dokończyć swojej roboty? Nie miało to znaczenia.

– To jak, Pippi? – wychrypiał do jej ucha znajomy głos. – Mówisz, że lubisz na ostro?

Nastała ciemność zupełna. Czarna i nieodwracalna.



Starszy aspirant Lucjan Kordel był, w odróżnieniu od swojej koleżanki, kontent. A właściwie nie powinien. Zwłaszcza biorąc pod uwagę życie osobiste. Iwonka wprawdzie wróciła do domu, ale się do niego nie odzywała. Ciche dni doprowadzały go do szaleństwa. Wolałby, by żona go zwymyślała. Mogła mu nawet przyłożyć, jeśli to miałoby pomóc. Ona jednak milczała zawzięcie. Lucjan wyczytał gdzieś – chyba w jednym z tych kobiecych magazynów, po który sięgnął z nudów podczas oczekiwania na swoją kolej u fryzjera – że takie długotrwałe nieodzywanie się do bliskich to forma przemocy psychicznej. Tak samo jak odmawianie bliskości, przytulenia czy niezauważanie drugiej osoby. A to był właśnie pełny repertuar tor-

tur, jakim poddawała Lucjana Iwona. Chciał jej nawet o tym powiedzieć – o wnioskach płynących z tego artykułu – ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Pomyślał, że wyjdzie to jakoś niemęsko, cokolwiek by to miało znaczyć.

W zamian więc wybrał się tego wieczoru na spacer. Szwendał się po mieście bez celu i nawet bez specjalnej świadomości tego, gdzie się znajduje. Myślał o żonie. Ale i o przeszłości. O Lidušce. Po raz nie wiadomo który rozważał, czy wtedy podjął właściwą decyzję. Chciał mieć żonę i dzieci. Prawdziwą rodzinę, jak podkreślał. Liduška miała inne plany na przyszłość. Kochała go, owszem. Pewnie tak jak nikt nigdy przedtem ani potem. Kochała też swoją pracę. Nie chciała być jak inni. Podążać tradycyjną ścieżką życiową, którą obrały chyba wszystkie jej koleżanki ze szkoły. Nie widziała siebie przy garach, w pieluchach, na nudnych obiadkach u teściów. On niby o tym wiedział, ale i tak jej się oświadczył. A ona... Nie, tego akurat wolał sobie nie przypominać.

Lucjan przystanął, oparł się o pień drzewa i rozejrzał się wokół siebie. Ku swojemu zdumieniu stwierdził, że znalazł się w Czeskim Cieszynie. Czyżby przyprowadziła go tu podświadomość? Musiało tak być, bo stał na chodniku naprawdę niedaleko bloku, w którym mieszkała Liduška. W jednej chwili Lucjan poczuł chęć wdrapania się po schodach na szóste piętro. Zastukałby do drzwi, ona zaspana otworzyłaby i wpuściła go do środka. Pewnie pomyślałaby, że przyszedł pogadać o śledztwie. Że myśli o mordercy nie dają mu spać. A potem... W zasadzie nie miał pojęcia, co potem. Był idiotą. Powinien przestać żyć złudzeniami, wyrzutami sumienia i żałami. Powinien wrócić do Iwony.

Z takim postanowieniem od razu poczuł się lepiej. I już miał obrócić się na pięcie i pójść do domu, gdy kątem oka po drugiej stronie ulicy, nieco w oddali, zauważył jakiś ruch. Coś mu się w nim nie zgadzało. Był jakiś nietypowy. Ktoś poruszał się nie tak, jak powinien. Te myśli przebiegły w głowie policjanta w ciągu sekundy. Zadziałał instynkt. Zamiast wyjść na jezdnię, ujawnić swoją obecność, sprawdzić, co się dzieje, Lucjan zamarł. Przyczał się za konarem drzewa i wyjrzał ze swojej kryjówki ostrożnie.

Z tej odległości i przy takim mroku, niezakłócanym nawet przez zasłonięte chmurami gwiazdy, nie mógł stwierdzić, do kogo należą te dwie sylwetki kotłujące się na przeciwległym chodniku. Czy to jakaś pijana para uderzyła w amory w tak niestosownym miejscu? Powinien zareagować? W końcu był policjantem. Ale właściwie nie u siebie. Niech się czeska policja martwi o swoich nieobyczajnie zachowujących się obywateli. O, i proszę, do czego prowadzi ten ich nieskrępowany niczym brak zasad moralnych i odejście od tradycyjnych wartości! Nie, on się tym nie będzie przejmował.

Z obrzydzeniem odwrócił się i ruszył w kierunku, z którego przyszedł.



Liduška w mig zrozumiała, że jest na straconej pozycji. Nie miała szans z tym leżącym na niej trzy razy cięższym cielskiem. Stosunek sił był nierówny. Nie na darmo na kursach samoobrony kobiet nie uczy się walczyć, tylko uciekać. I robić hałas. Jednakże ani jednego, ani drugiego policjantka zrobić nie mogła, bo po pierwsze, leżała na chodniku przygnieciona facetem, który przyciskał ją do ziemi z całych sił i szeptał do ucha sprośności, których starała się nie dopuszczać do siebie. Po drugie zaś, Jedwabnik zatykał jej dłonią usta, nie mogła więc wezwać pomocy. Nawet gdyby jej się to udało, kto miałby ją usłyszeć na tym wygwizdowie? Liduška szarpała się, ale z sekundy na sekundę traciła nadzieję.

Nie pomagały też trzy whisky wypite duszkiem w barze. Na pewno to były trzy? Czy więcej? Nie mogła sobie teraz przypomnieć. Alkohol ją dekoncentrował. Odbierał energię. Mimo adrenaliny buzującej w żyłach jej świadomość zanurzała się w mgle.

Zbok uparcie nazywał ją Pippi. Niezbyt oryginalnie. To była jedna z jej ksyw podczas przymusowych lat edukacji. Rude włosy doprowadzały ją do rozpacz. W przenośni i dosłownie. Pewnego dnia, gdy kolega z klasy nazwał ją Pippi Pończoszanką, a potem oskarżył o kradzież jakiegoś cennego pióra, bo „rude to wredne i kradnie”, jak raczył się być wyrazić, Liduška poszła do drogerii, kupiła czarną farbę do włosów i po powrocie do domu za-

mknęła się w łazience na dobrą godzinę. Gdy po tej metamorfozie zobaczyła ją matka, otworzyła usta, następnie nie wypowiedziawszy ani słowa, zamknęła je i nie odzywała się do córki przez ponad miesiąc. Dokładnie przez czterdzieści dwa dni. Liduška specjalnie liczyła. Skreślała kratki na zawieszonym nad biurkiem ściennym kalendarzu. A kiedy wreszcie matka przemówiła, to – jak stwierdziła Liduška – mogłaby jednak nie. Powiedziała, że córka przynosi wstyd rodzinie, wygląda okropnie i że jeśli dalej będzie upierała się przy uskutecznianiu tego niezrozumiałego buntu niewdzięcznicy, będzie musiała sama utrzymywać się na studiach prawniczych, na które miała się wybrać po szkole średniej.

Liduška więc poszła do szkoły policyjnej i od tamtej pory radziła sobie sama finansowo. Do czarnych włosów jednak nigdy już nie powróciła. Ich naturalny odcień prezentował się zdecydowanie lepiej.

To wszystko policjantka zdołała sobie przypomnieć w ciągu ułamka sekundy trwania swojej agonii. Wezbrał w niej taki żal wymieszany z wściekłością, że jakimś cudem zdołała wyswobodzić na chwilę nogę, zgiąć ją w kolanie i ponownie kopnąć Jedwabnika w krocze. Facet zeszywniał i na moment zsunął dłoń z ust Liduški. To wystarczyło, by policjantka nabrała w płuca powietrza i ryknęła tak głośno, na ile pozwalało jej ściśnięte przeżeniem gardło:

– Pali się!

Doskonale wiedziała, że ludzie prędzej zareagują na alarm tej treści niż na jakieś tam „pomocy”.

Więcej jednak nie zdołała osiągnąć, bo napastnik szybko powrócił do zaciskania dłoni na jej gardle. Z jeszcze większą zajadłością.

ROZDZIAŁ 7

*Ordynarne słowa są aktami strzelistymi
przeciw grubiaństwu^[34].*

Lucjan zdążył zrobić kilka kroków przed siebie, gdy usłyszał wołanie. Pali się? Czyżby zmysły go zawodziły? Wokół z pewnością nie było żadnego pożaru. Poczuliby przecież swąd spalenizny. Obejrzał się za siebie. Para wciąż dokazywała po drugiej stronie ulicy. Kordel się otrząsnął. Jak mógł być taki głupi? Osobiste rozterki przyćmiły jego jasne myślenie. Był świadkiem ataku! Próby gwałtu? Morderstwa? Wciąż trudno to było stwierdzić, jednak obserwowane przez niego osoby z pewnością nie wyglądały, jakby łączyła je miłosna więź.

W jednej chwili starszy aspirant zawrócił. Obiegł parę szerokim łukiem. Gdy znalazł się w krzakach po właściwej już stronie jezdni, gorączkowo rozejrzał się wokół siebie. W ciemnościach zamajaczył jakiś stos. Najciszej, jak potrafił, skoczył ku pozostałościom po pracach budowlanych i sięgnął po jedną z wielu walających się tu kostek brukowych. Zważył ją w ręce. I, dodając sobie odwagi potokiem obelżywych wyzwisk wypływających z ust, ruszył z błyskawiczną odsieczą.



Nagle uchwyt na jej gardle zelżał. Zbok jęknął i przestał się ruszać. Liduška, telepiąc się jak w malignie, zdołała strząsnąć z siebie cielsko. Przewróciła się na plecy. I zobaczyła swojego wybawcę, który wciąż ścisnął w dłoni, trochę tylko umazaną krwią, kostkę brukową. Policjantka najpierw się rozplakała.

– Lucek – zdołała z siebie wydusić.

A potem zemdlą.



– Nic mi nie jest! – powtarzała Liduška i próbowała się bohatersko uśmiechać. Kiepsko jej to jednak wychodziło.

Lucjan kipiał z wściekłości. Siedzieli w czeskiej komendzie policji i popijali wystygłą już herbatę. Smakowała jak rozpuszczony w wodzie kurz. Niestety cukru Kordel nie znalazł, nie wspominając o cytrynie. Sama herbata była zaś podejrzanego pochodzenia. Musiał jednak czymś zająć ręce.

O mało by tego gnoja nie zabił. Palnął go w łeb raz a skutecznie. Kiedy jednak się zorientował, że doskonale zna ofiarę i że jest nią Liduška, wstał w niego sam diabeł. Nie wiedział jeszcze, jak wytłumaczy śledczym fakt, że napastnik oberwał kostką brukową dobre trzy razy. Choć już pierwsze uderzenie pozbawiło go świadomości. Gdyby Liduška go nie powstrzymała, pewnie teraz oblech szykowałyby się do trumny, a Lucjan za kraty. A tak skończy się na obronie koniecznej, a do paki trafi ta gnida, której nie dało się jeszcze porządnie przesłuchać, bo niedomagała.

– Nie będę gadać z żadnym lekarzem od wariatów – warczała Žrankova, odmawiając pomocy psychologa. – Nic mi nie jest! – powtarzała jak mantrę, chociaż najbardziej zagorzały kretyn zauważyłby, że jest wręcz odwrotnie.

Lucjanowi udało się jedynie wymusić na koleżance, że odwiezie ją do domu – choć zapewniała, że przecież dojdzie sobie piechotą. Na sugestię, by zamiast u siebie przenocowała u matki albo siostry, była gotowa – Lucjan mógłby się o to założyć – zdzielić go cegłówką, gdyby tylko takową miała pod ręką. Wciąż więc wściekły, zapakował ją do pożyczonego od Czechów radiowozu i odwiózł na Koperníkovą. Potem, wbrew jej woli, odprowadził ją do mieszkania. Obszedł – ze wścibstwa, jak sam przed sobą musiał przyznać – wszystkie pomieszczenia, upewniając się, że są bez-

pieczne. Potem poczekał na klatce, nasłuchując, jak Liduška przekręca oba zamki. I dopiero wtedy wrócił do domu.

– Gdzie byłeś?! – spytała Iwona, zapominając o wciąż obowiązującej karze milczenia.

– A to już ze sobą rozmawiamy? – odwarknął Lucjan.

I poszedł spać na kanapę, okrywając się narzutą.

Gdy następnego ranka zaspany, z bolącymi gnatami i wciąż wściekły stał się w komendzie do pracy, czekała tam na niego niespodzianka.



– Raport toksykologiczny? – powtórzyła Róża Solańska, przyciskając komórkę do ucha.

Przeszła parę metrów wzdłuż wypełnionych książkami regałów, oby jak najdalej od wścibskiego ucha bibliotekarki, która niezbyt dyskretnie łąpała w jej stronę. Kwiatkowska zjawiała się tu w poszukiwaniu tytułów, które mogły jej się przydać do artykułu. Zamierzała go napisać dla „Głosu Polaków”.

Podobało jej się to miejsce. Miejska biblioteka publiczna ulokowana była w zabytkowej kamienicy. Nawet ozdobne drzwi wejściowe pod piętnastką przy ulicy Głębokiej już wyglądały dostojnie. Nie jakieś tam szklane domy rodem ze stolicy. W ogóle Solańska coraz bardziej była przekonana, że ona sama należy do grupy tych małomiasteczkowych, o których śpiewa ten kudłaty wokalista, który wygrał jakiś *talent show*. Nie bez powodu zresztą. Głos miał jak dzwon i Róża lubiła sobie puszczać jego kawałki na YouTube.

W Cieszynie na każdym kroku trafiała na tradycyjne zakłady rzemieślnicze. A to na fotografa, gdzie na witrynie wisiała reklama zdjęć do tableau, a na drzwiach zawieszka informująca: „Jestem obok w sklepie Foto Fugi”. Tak jakby właściciel z góry wiedział, że tłumy klientów nie będą walić akurat w jego progi i może sobie pozwolić na pogawędkę z kolegą z sąsiadującego przybytku.

Albo na sklep mięsny w podcieniach zachęcający przechodniów do zakupów wywieszoną nad ich głowami tabliczką potwierdzającą, że ten akurat lokal znajduje się w tym właśnie miejscu od tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego roku. Były jeszcze Dom Rzemiosła, oldskulowy punkt PTTK czy sklepy Społem, które – wbrew temu, co Róża dotąd myślała – wcale nie stanowiły tylko eksponatów w ostatnio tak modnych, zwłaszcza wśród zachodnioeuropejskich turystów, muzeach PRL-u. Przy tym wszystkim ekstrawagancją wydawały się butiki z niemarkowymi ciuchami na Głębokiej zwane fikuśnie Oky Doky czy By Lola.

– Że jak się to świństwo nazywa? – Kwiatkowska wróciła do rozmowy telefonicznej, odwracając się do bibliotekarki plecami. Babsko – co zauważyła z oburzeniem – wstało zza biurka i rzuciło się wyrównywać rzędy romansów o zjechanych grzbietach na regale stojącym – a to przypadek! – nieopodal żurnalistki. – Nie, dobra, daruj sobie jednak – pouczyła starszego aspiranta, który w ramach wciąż deklarowanej współpracy między policjantami a prywatnym detektywem i dziennikarką zadzwonił do niej, by przekazać nowe ustalenia w śledztwie.

Gustawowi Habsburgowi zrobiono autopsję, a następnie zlecono dodatkowe, szczegółowe badania, mające na celu określić, czym dokładnie otruto nieszczęsnego arystokratę. I właśnie tego ranka do cieszyńskiej komendy dotarły ich rezultaty. A wynikało z nich, że oprócz wspomnianego już wcześniej fentanylu w organizmie denata wykryto jeszcze jakąś substancję, straszliwie trującą i o równie straszliwej nazwie, której zapamiętaniem Kwiatkowska postanowiła sobie nie zaprzętać głowy. Z chemii zawsze była noga. W chorzowskim Słowaku na tym przedmiocie przetrwała tylko dzięki szczęściu w grach hazardowych. Otóż gdy brodaty pan profesor w swojej znajdującej się na ostatnim piętrze pracowni zarządzał test, Kwiatkowska wyciągała kości do gry i kierowała się ich opinią. Wypadła dwójka? Bez czytania pytań zaznaczała odpowiedź B. Czwórka? Ptaszek przy D. Tym sposobem dostawała jakieś dwóje (raz nawet trafił jej się dopuszczający). Należało to uznać za ogromny sukces, bo jej zrozumienia w tym wszystkim

było tyle, ile w przypadku, gdy ktoś dałby jej do przeczytania instrukcję obsługi pralki zapisaną w języku kikuju.

Z takim podejściem niestety teraz wychodziła na ignorantkę, którą zresztą była.

– Co ciekawe – przerwał jej wspomnienia Lucjan Kordel – sprawdziłem, do czego się używa tego chlora...

– Powiedziała, żebyś zmilczał! – przerwała mu Róża. Na sam dźwięk tych wszystkich bredni z tablicy Mendelejewa zaczynała ją boleć głowa. – Czekać chwilę – poprosiła i ruszyła w głąb pomieszczenia, bo bibliotekara już na dobre przykleiła jej się do ogona. – Teraz. Babsko mnie tu podsłuchuje – wymamrotała.

– No i tego się używa do dezynfekcji – oświadczył najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony Kordel.

– Ran kłutych i szarpanych? – poinformowała się Solańska.

– Kadzi! – huknął policjant. – Spożywczych. Takich, jakie się stosuje w fabrykach różnego rodzaju żywności. Na przykład w...

– Szymonkach! – Dziennikarka znów przerwała swojemu rozmówcy. – A co Alicja Szymon robiła w noc morderstwa?

– Tego musimy się dopiero dowiedzieć – przyznał gliniarz. – Ale raczej bez Liduški. Wczoraj wieczorem napadł ją jakiś zboczeniec – powiedział.

I odmówił dalszych wyjaśnień przez telefon.

Róża zawróciła więc w stronę wyjścia, zapominając o książkach, które chciała wypożyczyć, by jak najszybciej znaleźć się na komendzie.

– Przepraszam! – usłyszała głos za plecami, gdy już stanęła w progu biblioteki. – Czy pani Róża Kwiatkowska? – Ta wścibska bibliotekara najwyraźniej znała jej tożsamość!

– A jeśli tak, to co? – spytała podejrzliwie.

– Czy mogłabym prosić o autograf? – chciała wiedzieć kobieta, wyciągając spod biurka książkę – reportaż o irlandzkiej wyspie Inishmore – którą Róża kiedyś napisała i już całkowicie o niej zapomniała. – Jestem wielką fanką! – wyznała bibliotekarka, a Kwiatkowskiej zrobiło się głupio, że tak

źle myślała o tej kobiecie. O swojej wielbicielce! Takie wyrazy podziwu nie spotykały jej na co dzień. Szczerze powiedziawszy, w ogóle jej nie spotykały.

– Oczywiście! – Solańska zgodziła się łaskawie.

Nabazgrała życzenia miłej lektury na stronie tytułowej, próbując jednocześnie utworzyć takie zawijasy, by czytelniczka nie zorientowała się, że autorka nie ma bladego pojęcia, czy na końcu jej imienia postawić jedno, czy dwa „i”. Z polskiego Róża też nie była najlepsza. Gdyby się tak głębiej zastanowić nad jej czasami licealnymi, można by dojść do wniosku, że to cud, że nie tylko zdała maturę, ale jeszcze skończyła studia...

Żegnana ukłonami, opuściła w podskokach miejską bibliotekę i pobieżyła w kierunku komendy.

Starszy aspirant czekał już na nią na starych, rozpadających się betonowych schodkach, na których przysiadł, złożył głowę na ramionach i najwyraźniej przysnął. Solańska popukała policjanta w ramię. Podskoczył wystraszony, przyjrzał się Róży i dopiero po chwili ją poznał.

– Miałem ciężką noc – usprawiedliwił się.

A potem opowiedział jej o napaści na Liduškę.

– Jak ona się czuje? – zapytała Róża.

– Nie najlepiej – przyznał Lucjan i przetarł zaczerwienione oczy rękawem. – Moim zdaniem będzie potrzebowała pomocy specjalisty. Ale na razie nie chce nawet słyszeć o naszym policyjnym psychologu – poskarżył się.

– A co z tą świnią? – drażyła Solańska. – Która ją zaatakowała.

– Siedzi zamknięty u nas. Zabraliśmy go od Czechów, bo mają jakiś chwilowy problem techniczny w swoim areście. Jeszcze będzie przesłuchiwany. To co, idziemy?

– Nie weźmiemy radiowozu? – zdziwiła się Róża. Do fabryki szymonków był stąd kawałek. A wybitnie nie chciało jej się więcej drałować piechotą.

– Daleko nie mamy – ocenił Lucjan i wreszcie wstał ze schodków. Wspiął się po nich, choć jak na oko Róży, groziło to katastrofą budowlaną, obojętnie minął odnowioną willę, w której znajdowała się komenda, i wskazał palcem przed siebie. – To tam – powiedział.

Kwiatkowska wybałuszyła oczy.

– Tam? – upewniła się.

Lucjan pokiwał energicznie głową.

Nie wiedziała, czym zdaniem Kordela było „tam”, bo jeśli chodzi o nią, to widziała gmach, w którym ni chybi mieściła się szkoła podstawowa. Te wybudowane jeszcze przed drugą wojną światową w każdym polskim mieście wyglądały tak samo. Róża chodziła do jednej z nich. Kilkupiętrowy budynek, hangar w zasadzie, który mógłby robić równie dobrze za szpital.

– Zadzwoń do Alicji – odezwał się Lucjan, widząc niepewną minę koleżanki – i powiedziała, że możemy pogadać tutaj, bo ma coś do załatwienia z dyrektorką szkoły. O, chyba idzie! – Wskazał palcem na zbliżającą się postać.

– Dzień dobry – przywitała się Alicja Szymon i podała im rękę. – Dobrze się składa, musiałam ustalić kilka spraw. Moje dzieci będą tu chodzić od nowego roku szkolnego – wyjaśniła. – Prywatna edukacja jest przereklamowana – zadeklarowała.

„Przereklamowana, akurat”, pomyślała Solańska. Skończyły się fundusze, to trzeba ciąć wydatki. A najlepiej zaoszczędzić na smarkaczach.

– Wejdźmy. – Kordel poprowadził je do komendy.

Już od progu zmysły Kwiatkowskiej zostały brutalnie zaatakowane.

Węch – przez mdławy zapach sałatki warzywnej, którą ewidentnie przeziadający za szklanym okienkiem funkcjonariusz przyniósł sobie na drugie śniadanie. Oraz przez kwaśny zapach kawy rozpuszczalnej.

Słuch – przez wrzaski dobiegające z głębi komendy. Co dokładnie wykrzykiwano, nie można było z tej odległości zrozumieć. Jednak tego Róża miała się dowiedzieć już po chwili, gdy także przed jej wzrokiem zostało postawione wyzwanie.

No bo czy rzeczywiście Kwiatkowska widziała przed sobą swojego męża Szymona Solańskiego oraz ich psa Gucia? Obaj najwyraźniej próbowali na tak zwanego chama wyciągnąć z pokoju... Liduškę Žrankovą. A ta wierzyła, kopała i to ona wydawała z siebie te nieboskie dźwięki.

Róża mogłaby pomyśleć, że dopadły ją omamy, jednak było coś na rzeczy, skoro Lucjan Kordel rzucił się przed siebie i przystąpił do interwencji.

– Co tu się dzieje?! – Też się wydzierał. – Co ty robisz?! – pytał zarówno rozjuszoną policjantkę, jak i użerającego się z nią Szymona. Być może pytanie było skierowane także do kundelka, który chwycił w zęby nogawkę Liduški i ciągnął w swoją stronę.

W kolejnych sekundach wszystko się wyjaśniło. Zwłaszcza po tym, gdy z pomieszczenia, które służyło do przeprowadzania przesłuchań, wyczołgał się jakiś grubawy facet w jedwabnej przepoconej koszuli. Kiedyś może i była elegancka, ale teraz wyglądała jak psu z gęby. I – sądząc po zadowolonej z siebie minie Gucia – nie była to przenośnia. Nalaną mordę miał pobijaną, z łuku brwiowego ciekła mu krew, z trudnością łapał oddech.

– Złożę skargę – zdołał wychrypieć, na co otrzymał kolejnego kopniaka w żebra zadanego buciorem Liduški.

– Spokój! – zażądał Kordel.

O dziwo, zyskał posłuch. Jednym szarpnięciem za kajdanki, którymi Jedwabnik miał skute ręce, i z widocznym obrzydzeniem doprowadził aresztowanego do pionu. Wepchnął go do salki przesłuchań i zatrzasnął za nim drzwi. Dopiero wtedy odwrócił się w stronę detektywa, policjantki i psa.

– Porąbało was?! – poinformował się.

Zdaniem Róży, która przyglądała się scenie z bezpiecznej odległości, jeśli tu kogoś porąbało (i to fizycznie, a nie tylko na umyśle), to tego grubego. Ale że już się domyśliła, kto zacz, nie zamierzała mu współczuć.

– Kto was tu w ogóle wpuścił?

– On – powiedział Solański i wskazał na gościa w okienku, który właśnie wkładał sobie do ust kopiastą łyżkę... sałatki warzywnej! Węch Róży nie zawiódł.

– Co ty tu robisz? – Lucjan znów zwrócił się do policjantki. – W dodatku z nim! – Machnął na detektywa.

„Proszę, proszę, jaki zazdrośnik”, pomyślała Róża, jednocześnie wypierając z pamięci swoje niedawne wybuchy tego niegodnego uczucia.

– Miałaś siedzieć w domu – powiedział już łagodniej. – Chodź, odprowadzę cię – zaproponował. – To będzie chwila. Poczekają państwo? – zwrócił się do Alicji Szymon, która stała za plecami Róży i wybałuszała oczy na zebranych.

Nikt nie zdążył mu odpowiedzieć, bo Liduška doskoczyła do aspiranta. Przyciągnęła go za klapy marynarki do siebie i zaczęła na niego syczeć. W tej chwili przypominała Róży rozjuszoną jaszczurkę.

– Nigdzie z tobą nie idę – mówiła, spoglądając Lucjanowi prosto w oczy. – Nie będziesz mi rozkazywał.

– Ale, ale... – jąkał się zdezorientowany aspirant.

– Dziękuję ci za pomoc – syczała dalej. – Ale to, że mnie uratowałeś przed tym zbokiem, nie sprawiło nagle, że masz wobec mnie jakieś prawa. Rozumiesz? – upewniła się.

– Liduškaaaa – wyjęczał Lucjan, czerwieniejąc na twarzy i rozglądając się po komendzie. Jego upokorzenie stało się publiczne i nic na to nie mógł poradzić.

– Miałaś swoją szansę. A teraz wracaj do żony – zakończyła przemowę.

Poprawiła potargany w starciu z aresztantem warkocz i wyszła z komendy.

– To może ja przyjdę innym razem? – wtrąciła się na to Alicja Szymon.

Lucjan dopiero po chwili przypomniał sobie o jej istnieniu.

– Zapraszam – powiedział z całą godnością, na jaką było go stać, i poprowadził wszystkich do swojego gabinetu.

Ledwie zajął miejsce za biurkiem, Alicja Szymon na fotelu naprzeciwko niego, a detektyw i Róża na krzesłach pod ścianą, drzwi otworzyły się i w progu znów stanęła Liduška.

– Na miłość boską! – huknął aspirant. – Jeszcze ci mało?! – Walnął pięścią w blat.

– Ja też prowadzę to śledztwo – przypomniała mu policjantka. – Więc chętnie posłucham.

Co rzekłszy, weszła do gabinetu i oparła się o parapet. Kordelowi zajęło chwilę jako takie dojście do psychicznej i intelektualnej normy.

– Co pani robiła w noc morderstwa? – zapytał.

Pewnie gdyby nie był aż tak wzburzony, przemyślałby taktykę przesłuchania i od razu nie walił z grubej rury. Lucjan Kordel stracił jednak cierpliwość. Róża zwróciła uwagę na jego wybijające na przetartej wykładzinie rytm stopy i na wtórującą im dłoń. Dzierzył w niej zmalretowany już długopis, z którego zdążyła odpaść skuwka.

– Jakiego morderstwa? – nie zrozumiała prezeska.

Choć zdaniem Kwiatkowskiej raczej różnęła głupa.

– Rżnie pani głupa? – Kordel żywił podobne przekonanie.

– Ach, no tak – zreflektowała się Szymon. – A kiedy to było?

Žrankova podała jej datę, zakładając ręce na piersi. Róża przyjrzała się policjantce. Wyglądała jednocześnie na wyczerpaną, ale i pełną energii. Napędzała ją złość. Tymczasem Szymon zaczęła sprawdzać wpisy w swoim oprawionym w skórę kalendarzu.

– Byłam wtedy... – mamrotała, przejeżdżając palcem wskazującym po kartce w linie – ...w domu. Zapewne spałam.

– Czy ktoś może to potwierdzić? – dopytywał Kordel.

– Mój mąż – padła szybka odpowiedź. – A, nie. – A potem sprostowanie: – Pojechał w delegację – odparła zmartwiona producentka cukierków. – Czy ja potrzebuję adwokata? – zreflektowała się.

– Tylko jeśli ma pani coś do ukrycia – warknęła Czeszka.

– Jestem aresztowana? – chciała wiedzieć kobieta. – Nie? – upewniła się, zauważając niezdecydowaną minę starszego aspiranta. – W takim razie nic więcej nie powiem. Nic! – podkreśliła. I szurając krzesłem po wykładzinie, wstała.

Nieżegnana przez nikogo opuściła gabinet.

W pokoju zaległa krępująca cisza. Powietrze było tak ciężkie, że można by je pokroić, zapakować w sreberka i sprzedawać w biedrze.

– Ktoś jest głodny? – odezwał się wreszcie Solański. – Bo ja bym poszedł na smażony ser...

Róża westchnęła. Wcale nie w myślach. Powiadają, że z kim przystajesz, tym się stajesz. I nie kłamią.

Szymon Solański ze swoim nagłym nieopanowanym łakomstwem powoli zamieniał się w nią!



Miasto mówi / Město říká

Miasto westchnęło tak głośno, że aż pospadały liście z drzew na Górze Zamkowej, a na Olzie pojawiły się – niewielkie, bo niewielkie – ale jednak fale i zachlupotały o jej brzegi. Miasto miało nad czym wzdychać. Przyglądało się właśnie grupie zebranej w komendzie policji po polskiej stronie swojego organizmu i gdyby miało ręce, toby je załamało. Co ci ludzie wyuczyniali?

Najbardziej miasto było niezadowolone z tego czyraka, który pojawił się nagle znikąd i zatrulł tutejszą aurę. Napadł na czeską policjantkę! To się w pale nie mieściło! Cieszyn postanowił sobie, że się zemści na tym intruzie. Gdy ten tylko wystawi łeb pod gołe niebo, miasto spuści na niego burzę z piorunami.

Miasto martwiło się o Liduškę. Powinna porozmawiać ze specjalistą. Odpocząć. Odreagować. Na pewno miała zespół stresu pourazowego. Tymczasem policjantka dalej w najlepsze prowadziła sprawę morderstwa i nikomu nie pozwalała się do siebie zbliżyć. To, że złała Jedwabnika, było jak najbardziej słuszne. Miasto biło jej brawo tak głośno, że aż od strony Lasku

Miejskiego nad Puńcówką do mieszkańców dotarły niezidentyfikowane trzaski. Niektórzy się nawet przestraszyli, przypuszczając, że w ich rogatki z gór okalających okolicę zawędrowały niedźwiedzie. Takie rzeczy mogły się zdarzyć.

Miastu zrobiło się nawet żal starszego aspiranta. Jego bohaterstwo nie tylko nie zostało nagrodzone, ale jeszcze się biedakowi oberwało. Liduška ewidentnie miała kłopoty z psychiką... Gniewała się na Lucjana za to, co jej zrobił w przeszłości. Mogłaby jednak już odpuścić. Miasto nie takie rzeczy widziało. Lidušce wydawało się jednak, że tylko na nią spadają wszelkie nieszczęścia tego padołu.

Miasto, gdyby potrafiło, przeprowadziłoby też rozmowę z tym prywatnym detektywem. Jak można było tyle źreć nieszczęsnego smażonego sera? Cieszyn bolały już plecy od dźwigania na swoich plecach takich ożyroków. Detektyw mógłby się zainteresować jakąś sałatką. Wyszłoby go taniej i zdrowiej. Miasto, gdyby dysponowało taką mocą, nakazałoby Solańskiemu iść na zakupy do czeskiej Billi, tej położonej niedaleko torów kolejowych, i nabyć tam brambory^[35], lodový salát, brokolice^[36], lilek^[37]. A potem zjeść to wszystko i wreszcie się uspokoić z tym cholernym serem i hranolkami!

Jednakże mogło sobie a muzom. Wyłącznie.

W kwestii śledztwa miasto wołało się już nie wypowiadać. Jedna podejrzana siedziała w areszcie i śmiała się dochodzeniowcom prosto w twarz, zapowiadając, że będą jej płacić odszkodowanie za niesłuszne zatrzymanie, a ona, Mira Chowaniuk, owe pieniądze przeznaczy na zasadzenie w Cieszynie jeszcze większej liczby magnolii. Miasto wołałoby, żeby to je najpierw spytała o zdanie, czy życzy sobie więcej tych chabazi na swojej ziemi. W jego opinii ładne toto było przez chwilę, gdy kwitło, a przez resztę roku nadawało się zupełnie do niczego, szpecąc je – piękne miasto – swoimi gołymi kikutami. Mira nie zamierzała jednak z Cieszynem dyskutować. Wszyscy mieli się dostosować do jej widzimisię.

Do tego jeszcze ta Alicja Szymon. Też wydawała się nie mieć czystego sumienia. Twierdziła, że spała w chwili, gdy ktoś mordował Gustawa Habs-

burga i porzucił jego ciało na moście Przyjaźni. Bardzo to było wygodne wytłumaczenie, zdaniem miasta. Każdy mógł tak powiedzieć. A, co wykryli policjanci, Szymon była w posiadaniu narzędzia zbrodni. Jednego z narzędzi. Bo wychodziło na to, że Habsburg miał w sobie całą tablicę Mendelejewa. W tym składową tego środka do czyszczenia kadzi przemysłowych. Na przykład tych, w których w fabryce szymonków mieszano masę do nadziania cukierków. Nie podobało się to miastu ani trochę!

Cieszyn przymknął oczy. Uśmiechnął się, układając usta z Olzy w krzywą linię. Najlepiej było miastu to wszystko przeczekać. Przeczekać trzeba mu. A jutro znowu wszyscy pójdą nad rzekę. Czy jak to tam leciało w tej kiedyś popularnej piosence.



– A co z jego rodziną? – zapytała Różyczka i siorbnęła mlecznej pianki, która zdobiła jej kawę.

Znowu siedzieliśmy u Kornela oraz jego przyjaciół i niby zastanawialiśmy się nad meandrami śledztwa, a tak naprawdę opychaliśmy się słodkościami. Znaczący, Solańscy się opychali. Ja sączyłem wodę, którą podał mi kelner, i nie zamierzałem robić z siebie nienażartego wieśniaka, jak wspomniana wyżej dwójka. Głównie dlatego, że nie podawali tu kiełbasy śląskiej. Gdyby podawali, inaczej bym z nimi rozmawiał.

– No właśnie, jest okazja. – Solański wypowiedział się w dość tajemniczy sposób. – Na ich poznanie – uściślił i dziabnął sernik widelczykiem.

Popatrzyłem porozumiewawczo na wiszącą nam nad łbami Wisławę. Czuję. Po prostu czuję, że z noblistką dogadalibyśmy się bez słowa. Na przykład teraz byłem się w stanie założyć, że Wisława mówiła wierszem, jak to ona:

O czym oni gadają

Wie tylko cholera

Że rozwiążą tę sprawę

Jest bliskie zera

Czy coś w ten deseń.

– Patrz – nakazał detektyw i położył przed Różą gazetę.

Gdyby mój pan był normalny, to pokazałby swojej żonie artykuł na komórcę. Ale nie był. I nie miał smartfona. Jako ten dinozaur korzystał z prasy papierowej, godzinę sprawdzał na noszonym na przegubie lewej ręki zegarku, zdjęcia robił aparatem fotograficznym, filmy nakręcał kamerą, obliczenia prowadził na liczydło, a uwagi, jakie przychodziły mu do głowy w kwestii prowadzonego śledztwa, zapisywał w notesie. Takim z kartkami. Dzisiejsza młodzież, gdyby go poznała, odwiozłaby go na sygnale do skansenu. Albo uznała za hipstera, a niech to jasna cholera.

Róża zabrała się do lektury, a ja rozejrzałem się po kawiarnio-księgarni. Tym razem siedzieliśmy na dole tuż obok regału, na którym wystawiono książki autorstwa mojej ziomalki Wiśki i jej szaca Kornelka. Mimo że był środek dnia powszedniego wczesną wiosną, wolne miejsce znaleźliśmy tu tylko dlatego, że właśnie jakaś starsza para opuszczała lokal i zwolniła stół. Zasiadliśmy przy nim, a już sekundę potem nad głowami stała nam nowa czereda chętnych na wizytę w tym kultowym miejscu. A mówią, że dzisiaj ludzie nie czytają. Że zamiast kupić książkę w księgarni, wszystko zamawiają przez Internet.

Na pewno nie tyczyło się to Solańskiego. On zakupy książkowe ostatnio robił głównie w księgarni Dopełniacz położonej na chorzowskim Rynku. Zawsze doradzała mu tam miła dziewczyna imieniem Dagmara, a ja przypuszczałem, że to ona jest powodem, dla którego detektyw wspiera księgarnie stacjonarne i jeszcze robi Róży wykłady na ten temat. Oczywiście swoje wnioski zachowałem dla siebie. Wszak dyskretny ze mnie chłopak. A i bez tego miałem niezły cyrk z tym dwojgiem zazdrośników.

– Do Cieszyna przyjeżdża delegacja Habsburgów? – Kwiatkowska wyciągnęła wnioski z lektury.

– Złot mają – potwierdził Szymon. – I robią bal na zamku. Z miejscową śmietanką Pomyślałem, że powinniśmy się wkręcić na imprezę. I wy badać rodzinę.

– A niby jak tam wejdziemy? Na pewno potrzebne jest zaproszenie – rzekła nasza sceptyczka. Ale i na to Solański miał odpowiedź.

– Grażyna! – powiedział tylko. I nie musiał dodawać nic więcej.

Różyczka palnęła się w czerep i pokiwała nim z uznaniem. Stanęło więc na tym, że idziemy na bal.

I niech sobie człowieki nie myślą, że mnie zostawią samego w hotelowym pokoju. W dodatku takim, do którego się wchodzi przez klop i budzi umarłych za każdym razem, gdy udaje się za potrzebą do owego klozetu. Co to, to nie! Od razu im to oświadczyłem ze swojej podstolikowej pozycji.

Choć szczerze wątpię, by mnie zrozumieli. Jedyńą, która tu pojmowała, o czym rozmawiam, była Wisława.



Polska Grażyna bez najmniejszego problemu załatwiła dla nich zaproszenie na bal do zamku. Mimo że nie dali jej wiele czasu na działanie. Impreza miała się odbyć jeszcze tego wieczoru. Burmistrzynie po raz kolejny udowodniła, że jest wszechmogąca.

Róża w popłochu pobiegła na ulicę Głęboką, zanim jeszcze nie zamknęli sklepów, i w jednym z tych butików o niby to zagranicznej, a w rzeczywistości głupekowatej nazwie, nabyła stosowną kreację. Przecież nie mogła się pokazać na przyjęciu dla arystokratów w dzinsach! Albo w kiecy, w której już wcześniej była widziana. Wybrała czerwoną suknię do ziemi z poliestru udającego atłas (ale dzięki temu akurat na jej kieszeń). Zobaczyła ją jeszcze na wystawie na manekinie.

– Tę. – Wskazała palcem upragnione wdzianko, gdy tylko ekspedientka napadła ją i zaczęła odpytywać, w czym może pomóc.

– Tę? – upewniła się sprzedawczyni i zlustrowała Różę z góry na dół, a potem w drugą stronę.

Trzeba kobiecie przyznać, że próbowała zachować profesjonalny wyraz twarzy, ale zamiast uprzejmego zainteresowania wyszło jej coś na kształt zdumienia wymieszanego z rozbawieniem.

– Tę! – powtórzyła Solańska, powoli tracąc już cierpliwość.

– Ale nie mamy większych rozmiarów. – Kobieta wyjawiała targające nią wątpliwości.

Róża już chciała rzec, że przecież nie prosiła o większy rozmiar, już ją te-
lepało, by zrobić wykład tej małomiasteczkowej żoźie (w tej chwili jakoś
zapomniała, że jeszcze niedawno sama siebie określiła mianem małomia-
steczkowej i uznała to za komplement), a na koniec żądać rozmowy z kie-
rownikiem, ale po pierwsze, nie miała czasu na bzdury, po drugie – siły, by
się wywnętrzać.

– Tę!!! – wycodziła więc dobitnie i dla pewności popukała jeszcze pal-
cem w bezpłciowego manekina.

Ekspedientka musiała dostrzec coś w oczach Róży, bo zamknęła już
otwartą do debaty gębę i zabrała się do ściągania kiecki z wystawy. Kwiat-
kowska niemal wyszarpnęła jej ciuch z ręki i udała się do przymierzalni.
Z trudem, bo z trudem, ale udało jej się naciągnąć materiał na ciało.

– Ha! – zakrzyknęła triumfalnie i przejrzała się w lustrze.

Była zadowolona. Nawet zamek udało jej się zaciągnąć już za trzecim
podejściem. Jak się okazało, te biedne dzieci w Bangladeszu, czy gdzie się
szyje te wszystkie szmaty dla sieciówek, musiały się nieszczęsne pomylić
przy przytwierdzaniu metki z rozmiarem do tego akurat egzemplarza. Róża
nijak nie potrafiła uwierzyć, że kieca w rozmiarze trzyosobowego namiotu
jest na nią za ciasna. Co wyszło na jaw przy ściąganiu. Zaświadczył o tym
trzask, który usłyszała, gdy próbowała się uwolnić z czerwonego pieroń-
stwa. Podciągnęła dół kiecki na wysokość pasa, przebiła się jakoś przez
fałdę na brzuchu i właśnie wtedy zaczęły się kłopoty. Za cholerę nie dało
się całości pociągnąć dalej w górę i zwlec z dziennikarki. Róża poczuła, że
się poci. Z nerwów i z powodu kiepskiej jakości materiału. Kieca zakrywała
już jej twarz, przez co Solańska nic nie widziała. Zaczęła się kręcić wokół
własnej osi w nadziei, że to pomoże, w rezultacie czego potknęła się o sto-
jącą w przymierzalni ławeczkę i tylko cudem uniknęła wywrotki. Walnęła
przy tym z głuchym odgłosem całym cielskiem o ścianę z papendekla,
z którego postawiono tu tę budę.

Buda niebezpiecznie zadrżała w posadach.

– Wszystko w porządku? – dobiegł ją głos tej przeklętej sklepikary.

– Oczywiście! – odpowiedziała, starając się z całych sił nie brzmieć jak baleron, który osznurkowano zbyt ciasno i który dostał skutek tego duszności.

Może jeśli wypuści powietrze, jej płuca zmniejszą objętość i wtedy jakoś to pójdzie? Co pomyślała, to uczyniła. Wstrzymała oddech i dawaj szarpać się ponownie ze sztucznym badziewiem.

Odniosła sukces.

Nieprzesadny.

Na jakiś centymetr czy dwa.

Różę powoli zaczynały boleć wciąż uniesione w górę ramiona. Jak długo zdoła się utrzymać w takiej pozycji? Czy to miał być jakiś rodzaj fitnessu?

– Może przyniosę inny model? – Znów odezwała się ta jędza. – Mamy tu taką ładną tunikę...

– Obejdzie się! – warknęła wkurzona już do ostateczności Róża i podjęła ryzyko.

Ostatkiem sił pociągnęła za materiał. Ku jej zdziwieniu była wolna! Spojrzała na swoje purpurowe, poczochrane, pełne furii oblicze. I poprzyśięgła sobie, że za nic nie da tej wypacykowanej zachudzonej lali satysfakcji. Ubrała się szybko w swoje ciuchy, zwinęła kieckę w kłębek i wyszła z przebieralni. Od razu też wpadła na to butikowe kapo, które stało tuż za zasłonką.

– Podgląda mnie pani? – zaciekawiała się Róża, wykrzywiając usta w uśmiech klauna.

– Ależ, ależ! – bąknęło na to babsko i uciekło za ladę. Musiało się przestraszyć grymasu.

– Ile płacę? – zapytała dziennikarka, kładąc suknię przy kasie.

Sprzedawczyni przezornie już nie skomentowała, tylko jak najszybciej spakowała Kwiatkowskiej zakupy i jeszcze przyznała jej rabat.

Zadowolona z siebie Róża wyszła na ulicę Głęboką i z ulgą zaczerpnęła świeżego powietrza. Choćby miała zaprzestać oddychania na czas balu, wbije się w to cholerstwo po raz wtóry i będzie olśniewać arystokrację swoją urodą. Problem był jeszcze z Szymonem. Nie zabrał ze sobą garnitur i stanowczo odmówił nabycia nowego na miejscu. Utrzymawał, że sprane, potargane tu i ówdzie dżinsy, koszulka z logo zespołu muzycznego i kurtka moro nadadzą się równie dobrze do występu na imprezie Habsburgów.

Róża śmiała wątpić w słuszność tej tezy.

Nie zostało jednak wystarczająco dużo czasu, by walczyć z wiatrakami. Znaczący z Solańskim.

Kwiatkowska ani się nie obejrzała, a już nastał wieczór i trzeba się było zbierać na zamek.

– Guciuniu, zostań! – nakazała psu i zasunęła mu przed nosem drzwi prowadzące z sypialni do toalety.

– Drapie – zauważył Solański, gdy już stali w hotelowym korytarzu.

– Nic mu nie będzie – zapewniła męża dziennikarka i wciągnęła brzuch.

Zaczynała podejrzewać, że jednak wybrała zły rozmiar sukienki. A może ten dziadowski poliester się skurczył pod wpływem ciepłoty jej ciała? Jak już zostało powiedziane, Róża nie była orłem z chemii, jednak swoje przypuszczenia miała. Z trudem zeszła po schodach do recepcji. A już dotarcie do zamku było w jej wykonaniu prawdziwym wyczynem. Zwłaszcza że włożyła buty na obcasie, a w tych chodziło jej się równie wygodnie jak boso po rozżarzonych węglach. Najchętniej zawołałaby taksówkę albo każała Solańskiemu wziąć skodę, ale nie zamierzała się przyznawać, że jej zakup był nietrafiony.

Gdy przeszli przez most i dotarli wreszcie na Górę Zamkową, Solańska była u kresu sił. Spociła się niemiłosiernie, mimo że po zmroku nad Cieszyn opadła mgła i wróciły na chwilę iście zimowe chłody. Zerknęła z ukosa na męża i pozazdrościła mu jego wygodnych ciuchów. Dlaczego, zastanawiała się, kobiety muszą się tak wygłupiać z tymi absurdalnymi stylówkami? Mężczyźni sobie tego nie robią. Nie bawią się w te wszystkie

szpilki, ciasne kiecki, napaćkane na twarzy makijaże czy obwieszanie się biżuterią jak jaka bożonarodzeniowa choinka. A durne baby tylko nakładają to wszystko na siebie. I po co? Żeby się spodobać chłopom. No bo przecież nie dla własnej wygody i dobrego samopoczucia.

A do tych Kwiatkowskiej było tak daleko jak z Cieszyna na Hel. Choć Róża rzeczywiście czuła się jak w piekle. Materiał, z którego uszyto tę diabelską kiecę, nie oddychał. Solańska też nie. Wydawało jej się, że ktoś ją włożył do piekarnika i włączył termoobieg. Prędzej jednak zapisałyby się do zakonu, niż wyznała, że ta wredna ekspedientka miała rację!

Przed zamkiem kłębił się tłum. Wciąż podjeżdżały taksówki i wysiadali z nich elegancko ubrani goście. Większą część podjazdu zastawiono już autami, jakie Solańska dotąd widziała co najwyżej na filmie o Jamesie Bondzie. Była przekonana, że szlachta dawno już wymarła, a tu okazywało się, że sporo jej się pałęta po Polsce i ma się całkiem dobrze.

Szymon wyjął zza pazuchy zaproszenie i podał je żonie, ta z kolei odzianemu we frak cieciewi, który pilnował wejścia. Kwiatkowska parła przodem, jej mąż zaś ślamazarzył się parę kroków za nią.

– Witamy na balu rodziny Habsburgów – przywitał ją odźwierny. – Wejście dla służby jest od tyłu budynku – zwrócił się do Szymona i zastawił mu drogę.

Tak powiedział. Nie „dla obsługi”, tylko „dla służby”. Zważywszy na luzacki strój Solańskiego, właściwie trudno się było chłopu dziwić. Detektyw zamarł. Róża już zawróciła z wyciągniętym przed siebie zaproszeniem, by wytłumaczyć pomyłkę, jednak zauważyła, że mąż mrugnął do niej porozumiewawczo, powiedział: „aha” i się wycofał. Kwiatkowska na chwilę oniemiała. Wreszcie otrząsnęła się, odnalazła szatnię, zostawiła w niej płaszcz i klnąc (wcale nie w duchu) na swój nieszczęsny strój, wkroczyła do sali balowej.

Bogactwo gości, którym przyglądała się przed wejściem do zamku, kontrastowało z tą salą dobrą może na jaką studniówkę czy komers. Podłogę pokrywały nierówne klepki parkietu, o które co rusz potykała się jakaś podobna Róży niewiasta na szczydłach. Wokół ścian ustawiono długie stoły

pokryte białymi obrusami, na których piętrzyły się w większości już puste talerze. Arystokraci, widać, przyjechali na imprezę wygłodniali. Z sufitu zwisało kilka niby kryształowych, z pewnością przykurzonych żyrandoli, a w rogu pomieszczenia wyrastała niewielka scena, na której sadowiła się orkiestra. Róża spojrzała w oczy jednemu z tych już dawno wymarłych Habsburgów. Obraz z jego podobizną przywieszono na ścianie. „Ten to dopiero miał ciężkie życie – pomyślała dziennikarka – z tą długowłosą peruką na łbie i z pewnością stadem insektów zamieszkałych w jej czeluściach”.

– Ten Habsburg musiał się non stop iskać. – Solańska bezwiednie wypowiedziała dręczącą ją myśl na głos.

– Co też pani! – Na jej słowa obruszyła się jakaś wytapirowana paniusia, która stała nieopodal i wyzerała mikrokanapeczki z talerzyka.

– O, przepraszam – zreflektowała się Kwiatkowska. – To pani wujek, czy coś? – zainteresowała się.

– Oburzające! – rzekła kobieta, a dziennikarka z obrzydzeniem zauważyła, że spomiędzy zębów jej rozmówczyni wystaje kawałek wędzonego łososa.

– No co? – drążyła Solańska. – Na pierwszy rzut oka widać przecież między wami podobieństwo – upierała się. – Zwłaszcza po fryzurze. – Przyjrzała się cienkim włosom kobiety uformowanym na czubku głowy na kształt ula. Z którego próbowało się wydostać stado rozwścieczonych pszczół. – A jest pani też spokrewniona z Gustawem Habsburgiem? – Róża przypomniało się, że nie przyszła tu dla zabawy, tylko w celach śledczych.

– Co? – wypowiedziała się mało arystokratycznie rozmówczyni.

Kwiatkowska miała już dość tej nudziary. Porzuciła więc ją bez żalu i poszła się rozejrzeć za czymś do zjedzenia. Nie mogli przecież zeżreć wszystkiego!



Szymon Solański bez problemu odnalazł wejście służbowe na tyłach zamku. Korzystali wciąż z niego poubierani w czarne spodnie, białe ko-

szule i fartuchy mężczyźni. Wnosili skrzynki pełne jedzenia i napojów, a potem wynosili puste. Szymon rozejrzył się uważnie. Z boku dostrzegł zaparkowany tuż pod ścianą van z otwartymi tylnymi drzwiami. Na ziemi obok niego stały stosy skrzynek pełnych warzyw. Solański uznał, że grunt to pewność siebie. Rażnym krokiem podszedł więc do samochodu, sięgnął po pierwszą z góry skrzynkę i ruszył do wnętrza budynku.

Tak jak przypuszczał, nikt go nie zatrzymywał.

Znalazł się w wąskim słabo oświetlonym korytarzu, aż wreszcie dotarł do zaplecza kuchennego. Pomieszczenie przypominało mu mrowisko. Obsługa uwijała się jak w ukropie. A nad wszystkim unosiły się smakowite zapachy przyrządzanych potraw. Całym tym majdanem dowodziła zaś znajoma mu postać.

– Krój to szybciej! – darła się w stronę zestresowanego kuchcika. – Gdzie karczochy? Dodałeś czosnku do karczochów?! Udziec jeszcze niegotowy?!

Wszystko to wypowiedane było niby po polsku, jednak z miękkim czeskim akcentem.

W białym fartuchu i takiejże czapce sterczącej nad głową na dobre pół metra po kuchni biegał Jiří Krásnohorský, właściciel hospody Ostravar w Czeskim Cieszynie.

– To smażonego sera nie będzie? – zmartwił się Solański.

– Co pan tu robi?! – Karczmarz zauważył detektywa i z miejsca wpadł w furję.

– Przyszedłem z ramienia sanepidu – bredził detektyw. – Sprawdzam, czy nie potrujesz pan nam arystokratycznej śmietanki.

Mężczyzna przez chwilę rozważał, czy jest robiony w balona. Uznał, że owszem, i mierząc do Solańskiego ze ściskanej w rękę chochli, rzekł:

– Precz z mojej kuchni!

– Już idę, idę – zapewnił Solański i wycofał się do korytarza.

Musiał stąd znaleźć przejście na salę główną. Znów się rozejrzył i tuż przy drzwiach prowadzących na zamkowy dziedziniec zauważył dwóch –

jak od razu zgadł – kelnerów, popalających pośpiesznego dymka. Zbliżył się do nich. Jeden z mężczyzn odwrócił się w stronę detektywa i pstryknął niedopałkiem na podwórze.

– Rozwścieczył pan Jurka – skwitował, kiwając głową w stronę kuchni, skąd wciąż dochodziły wrzaski Krásnohorský’ego.

Solański wzruszył tylko ramionami.

– A to trudno, żeby szef wpadł w szal? – odezwał się drugi z mężczyzn. – Pamiętasz, jaka była ostatnio awantura?

Pierwszy z kelnerów pokiwał głową na znak, że nie cierpi na sklerozę.

– Awantura? – zaciekał się Szymon.

– Panie! – Obaj kelnerzy z radością wykorzystali pretekst, by nie wracać jeszcze do pracy i porozmawiać z nieznajomym. Odpalili po kolejnym papierosie, proponując detektywowi szluga. Solański skrzywił się jednak na tę propozycję i poruszył interesujący go temat.

– A co się stało?

– To było... Zdzisiek, kiedy to było? – zastanawiał się młodszy z rozmówców, zaciągając się z lubością. Wolną ręką przyglądał sobie i tak już ulizane żelem włosy, a potem od razu wycierał oklejoną dłoń w spodnie.

– Na sylwestra! – Zdzisiek sobie przypominał. – Też tutaj.

– Ano, rzeczywiście! – Kelner pacnął się w czoło, by od razu je sobie przetrzeć pewnie kiedyś białym rękawem koszuli. – Przecież to aż pały przyjechały – przypominał sobie.

– A co się stało? – Solański powtórzył swoje pytanie w niezmienionej formie.

– Do bijatyki doszło, panie – sprecyzował Zdzisiek. – Co nie, Wacek? – poszukał potwierdzenia u kolegi. – Jajecznicza w niej brał udział – wypowiedział się niezrozumiale.

– No. Panowie się po pyskach prali, aż miło – powiedział rozmarzony.

– Którzy to? – drążył detektyw.

– No właśnie nasz kucharz – wyjawiał Wacek i wydmuchał w powietrze trzy równiutkie kółka z dymu. – Tak się wnerwił jak teraz na pana szanownego. – Uśmiechnął się, pokazując poźółkłe zęby nałogowego palacza. – Tylko że ten drugi w porę się nie zawinął, jak pan szanowny. I doszło do bombardowania.

Solański musiał mieć głupkowatą minę, bo jego rozmówcy zlitowali się wreszcie i dobrowolnie wyjawili, co się działo na zamku w Cieszynie w noc sylwestrową.

Grażyna zorganizowała bal, na który została zaproszona śmietanka towarzyska miasta. Catering musiał więc być najwyższych lotów. A że z wysokich kulinarnych lotów słynął Krásnohorský, urzędujący na co dzień za miedzą, zatrudniono go jako sylwestrowego mistrza patelni. Pilnowano tylko, by używał świeżego oleju...

Impreza trwała w najlepsze. Mniej więcej połowa gości już około godziny dwudziestej miała ostro w bańkach, bo i na alkoholach nie oszczędzano. Jedni tańczyli, inni prowadzili zażarte dyskusje przy zastawionych suto stołach. I właśnie w tym drugim obozie pojawił się załążek późniejszej awantury.

– Mówił, że jest mu Gustaw von Habsburg – powiedział Zdzisiek – ale czy ja wiem, czy należało mu wierzyć? Każdy może sobie gadać, co mu ślina na język przyniesie, ale to nie znaczy, że ja mam od razu wszystko łykać jak pelikan, co nie, Wacek?

– No – przyznał kolega. – Tak było. I ten Habsburg zaczął się wywnętrzać na tematy polityczne. A to przecież wiadomo, że jak rozmowa zejdzie na politykę, to będzie tyle opinii, ilu dyskutantów i koniec końców wszyscy się rzucą, żeby sobie dać po mordach, a potem się wzajemnie wykasują z listy znajomych na Facebooku.

Solański musiał przyznać słusność takiemu tokowi rozumowania. Choć sam z mediów społecznościowych nie korzystał.

– „Cieszyn dla Polaków!” Tak się darł – wyjawiał Zdzisiek. – A nie było jeszcze dwudziestej drugiej. To co tam do północy. Ochrona się zaczęła nie-

pokoić, bo już sami popili w kanciapie i nie mieli siły na pacyfikowanie takich rozrób.

– Cieszyn dla Polaków? – powtórzył detektyw.

– I jeszcze: „Czeski Cieszyn do Polski!”. Takie farmazony. Potem wlaź na scenę, wyrwał Halince, naszej piosenkarce, mikrofon i darł się tak samo, tylko głośniej. A jak mu powiedzieli, żeby się zamknął, to rozpoczął pseudopolityczną tyradę o wyższości takiego rozwiązania nad sytuacją obecną.

– Jakiego? – Solański się zgubił.

– No że Cieszyny powinny zostać zespolone w jedno miasto, jak kiedyś, i w całości przyłączone do Polski! Że w takim wypadku Cieszyn stałby się potęgą, a może i nawet stolicą. Tak bredził – relacjonował Wacek.

– Te jego ryki aż tu na zapleczu słyszeliśmy – kontynuował za kolegą Zdzisiek. – Dotarły więc też do Jurka.

– A on z kolei ma pod dekle w drugą stronę – uzupełnił Wacek. – To znaczy zgadza się z tym Habsburgiem w pierwszej części jego wypowiedzi – że Cieszyny powinny zostać połączone. Potem już skręca w stronę objęcia władania nad tak powstałym tworem przez Czeską Republikę.

Obaj kelnerzy zgodnie twierdzili, że rozjuszony kucharz chwycił to, co miał pod ręką, i wybiegł na salę balową. Tym czymś był garnek zblanszowanych przed przygotowaniem sosu pomidorów.

– No i rozpoczął regularny ostrzał – ucieszył się na wspomnienie Zdzisiek. – Nikt z gości na to specjalnie nie zwrócił uwagi, bo, jak już wspomniałem, większość była nawalona w trzy trąby. Pewnie gdy następnego ranka przypomnieli sobie tę pomidorową kanonadę, to pomyśleli, że to jakieś ich pijackie omamy, i woleli się nikomu do nich nie przyznawać. Kto lubi być brany za wariata? A tym bardziej wariata-ochlejmordę, co nie? Pomidory leciały, aż miło. Habsburg nie pozostał dłużny Jurkowi. Uciekł przed nim do kuchni i znalazł swoją oręż. Jajka.

– Może sobie pan wyobrazić ten bałagan, który potem nam wszystkim przyszło sprzątać – zauważył Zdzisiek.

– Czyli oberwali po równo? – skwitował Solański.

– Panie! – wtrącił się Wacek. – Jakie po równo? Habsburga w pomidorach, jak już wspomnieliśmy, nikt prawie nie zauważył. Za to obsługa w większości była trzeźwa jako te świnie, więc wszyscy widzieliśmy, jak Jurek ocieka jajcami. Panie! To ja już nie muszę do końca życia oglądać kabaretów, bo jak chcę się pośmiać, to sobie przypominam tę scenę. Cały był tym świństwem oklejony! Wyprztykał się już z tomatów, więc dostęp do amunicji stał się nierówny. Dobrze, że utkwiał z daleka od stolika z nożami, boby zamiast czerwonym sokiem zamkowa podłoga spłynęła krwią. Wcale nie błękitną, panie! – rozgadał się kelner. – A Jurek do tej pory ma wśród nas ksywę Jajecznicza. Nie może przeboleć tego upokorzenia.

Nastała cisza. Kelnerzy skończyli palić. Otarli ręce w spodnie i uznali, że niestety czas wracać do roboty. Zabrali puste tace ze stojaka i ruszyli odchodzącym w bok korytarzem. Szymon trzymał się parę kroków za nimi, dlatego doskonale usłyszał ich wymianę zdań.

– Ty, Wacek – odezwał się Zdzisiek. – A ten Habsburg w pomidorach to nie jest ten sam, co go kropnęli na moście ostatnio?

– Może być – przyznał mężczyzna.

– No to się doigrał w końcu.

– Ciekawe, kto go tak załatwił.

Dalszą rozmowę musieli odłożyć na później, bo na sali balowej, do której w końcu dotarli, puste talerze po wymiecionych daniach piętrzyły się stosami. Komuś trzeba było posprzątać ten bałagan!

ROZDZIAŁ 8

*I wy twierdzicie, że jesteście czeską szlachtą?
Pocałujcie się gdzieś!*^[38]

Te pataluchy znowu zostawiły mnie samego w pokoju hotelowym! Niczego ich nie nauczyło doświadczenie. Przecież ja już nie raz i nie osiem wymyślałem się nie z takich kazamatów jak apartamenta w hotelu Čity.

Ledwie Róża i Szymon wydostali się na korytarz, zeskoczyłem z łóżka. Dla niepoznaki podrapałem nieco w to przesuwne badziewie pazurami, a gdy usłyszałem oddalające się kroki, poradziłem sobie z ustrojstwem w tak zwane trymiga. Zrobiłem pyk łapą i już byłem w wychodku. Starym, sprawdzonym sposobem rozpędziłem się i skoczyłem przednimi łapami na klamkę. Te dwa gamonie – którzy zwą samych siebie detektywami – znowu zostawili drzwi niezamknięte na klucz! Czy doprawdy aż tak zawierzali moim zdolnościom zaczepno-obronnym? Nie zrozumieli jeszcze, że one oznaczają, że ja zaczepiam, a oni mnie mają bronić? Gdyby im tu na tę tymczasową chatę wparował jakiś rzezimieszek, pierwsze, co bym zrobił, to wczołgał się pod łóżko i udawał zahibernowanego. Zawsze tak robiłem, gdy mnie samego zostawiali w domu. Wbijałem w najdalszy kąt, pyskiem do ściany, by nie widzieć ewentualnie nadciągającego zagrożenia, i tak tkwiłem do momentu, aż raczyli byli wrócić do biednego, starego, kulawego kundelka ze schroniska.

I tym razem udało mi się wydostać z potrzasku i nawet zachowałem na tyle przytomności umysłu, by zatrzasnąć za sobą drzwi! Zbiegłem po schodach na parter. Przemknąłem niezauważony przez wpatrzoną w telewizor recepcjonistkę (nadawali *Jak poznałem waszą matkę* z czeskim dubbingiem, co już samo w sobie stanowiło o komediowym gatunku tej produkcji tele-

wizyjnej). Wziąłem z byka najpierw jedno, prowadzące do przedsionka drzwi, potem te wyjściowe, i znalazłem się na ulicy. Przystawiłem klukę do chodnika. Niuchnąłem parę razy. I złapałem trop! Daleko mi jeszcze nie zdążyli zwiać. Przypuszczałem, że mają zwolnione tempo z powodu Róży i jej niewygodnego obuwia. Moja przyjaciółka na szpilkach nie poruszała się tak zgrabnie jak znana nam pewna pani adwokat dwojga nazwisk^[39]. Ruszyłem więc z kopyta, co chwila podwijając przednią łapkę i wystawiając ogon w górę w charakterze anteny satelitarnej. Już po chwili dostrzegłem ich w oddali. Krok Róży przypominał raczej pochód pijanego klauna. Mogłem więc zwolnić i w spokoju śledzić państwa Solańskich. Wprawdzie zaklinałem się, że nie życzę już sobie żadnego śledzenia w Cieszynie, ale to była zupełnie inna sprawa! Teraz to ja byłem podmiotem decyzyjnym tego dochodzenia! I zdecydowałem, że mnie tak nie zostawią w tyle jak jaką ciamajdę, co się dała wysiudać z najciekawszej części imprezy. Co to, to nie!

Dotarliśmy na most Przyjaźni, a potem zaraz skręciliśmy na zamek, w którym arystokratyczna biba trwała już w najlepsze. Same osobistości brały w niej udział, jeśli sądzić po unoszących się w powietrzu smrodach różnych, z pewnością zbyt drogich perfum i koafiurach, które moim zdaniem, bardziej nadawały się do Muzeum Śląska Cieszyńskiego, a nie żeby współcześni się w nich męczyli. Co kto woli...

Zauważyłem, że Róża weszła do środka od frontu, natomiast Solański zawrócił i obszedł budynek dookoła. Ja nie zamierzałem wkradać się na balkon od zaplecza. Schowałem się za długą, ciągnącą się po bruku suknią jakiejś paniusi i wszedłem na bal w jej towarzystwie, niezauważony przez tkwiącego w progu ciecia. Paniusia podała płaszcz jakiemuś facetowi z prośbą o odwieszenie go w szatni, a sama od razu zabrała się do konsumpcji. Z tego, co wyczuwała moja kluka, wnioskowałem, że na stołach nie za wiele już zostało pożywienia. Miałem nadzieję, że ominęły mnie tylko przystawki, a główne danie skutecznie napełni mój grający już kiszkami marsza żołądek. Przecież jadłem godzinę temu! Kto normalny by wytrzymał tak długą przerwę między posiłkami? Słaniałem się z osłabienia na

moich krzywych, owłosionych jak u sarenki nogach. Może dlatego wciąż nie odkleiliśmy się od kiecy kobitki, z którą tu przyszedłem, i dzięki temu miałem możliwość usłyszeć następującą konwersację:

– Ten Habsburg musiał się non stop iskać – powiedziała Róża Solańska *de domo* Kwiatkowska.

Właścicielka długiej kiecy obruszyła się na to, a ja pomyślałem, że czas się zająć swoimi sprawami. Wypatrzyłem najhojniej zastawiony stół i ruszyłem w jego kierunku. Minąłem po drodze zalatującą farbą drukarską parę, która chyba już opuszczała lokal. Wlazłem pod obrus i odnalazłem stosowną szparę, w której zmieściłem się tak akurat, stając na swojej jednej tylnej łapie. Przednie zaś kończyny oparłem o blat i wystawiłem nochal na przeszpiegi. Oho! Ktoś pogardził kaszaneczką! Wyprężyłem ciało, jak tylko zdołałem, i... chaps! Udało mi się sięgnąć krupnioka. Zeżarłem zdobycz w trzy sekundy i rozejrzałem się za repetą.

Na drugim końcu stolika stała para. Wychudzony facet w niedopasowanym ubraniu i poczochna siwa kobieta w okularach. Dyskutowali o czymś zawzięcie. A że jestem psem detektywa, to chyba nikogo nie zdziwi informacja, że lubię podsłuchiwać. To w końcu moja robota. Podszedłem więc bliżej rozmawiających, wciąż kryjąc się pod tunelem ze stołu oraz obrusów, i nadstawiłem ucha.

– Powiem ci, ale to musi pozostać między nami – chrypiała kobieta, która, jak na mój gust, musiała wypalać dwie paczki papierochów dziennie. Świadczyły o tym to zdarte gardło i smród, który czuć było od niej intensywniej niż te wszystkie perfuma od pozostałych biesiadników. – Rozumiesz?! – naciskała.

Chudy pokiwał energicznie głową.

– No dobrze – zgodziła się. – Więc on tam nawypisywał straszne kalumnie na jej temat. Obrzydliwości! Znaczy, to nie było wprost powiedziane, że o nią chodzi, rozumiesz. Zmienił jej personalia. Choć zrobił to w niezbyt wyrafinowany sposób. Zocha Lisek ją nazwał, rozumiesz. Prawie anagram ułożył!

Rozmówca najwyraźniej wszystko rozumiał, bo kiwał głową, aż się wystraszyłem, że mu się zaraz urwie i będzie ją można ułożyć obok upieczonogo, zdekapitowanego cielska prosiaka, które właśnie wjeżdżało na stół. Zwalczyłem w sobie pokusę, by bliżej zainteresować się jedzeniem, i sam sobie udowodniłem, że mam silną wolę oraz instynkt śledczy. Coś mi się w tej dyskusji wydawało istotne, tylko nie wiedziałem co. Na szczęście zauważyłem, że z dwa metry od nas tkwi oparta o ścianę Róża i też w najlepsze podsłuchuje! Czyli jeśli mnie coś umknie, agencja detektywistyczna Solan będzie mogła liczyć na jej pamięć.

– No to mogliście to wydać – powiedział słabym głosem chudy i łypnął pożądliwie na prosiaka. – Choć właściwie nie powinienem cię do tego zachęcać. To działanie na moją niekorzyść. – Zaśmiał się dość niepewnie i piskliwie.

– Z sądu byśmy nie wyszli! – oznajmiła kudłata i też zerknęła w stronę jadła. – Heczkova by nas zniszczyła. Ten Habsburg naprawdę strasznie ją oczerniał w tej swojej szmirze. A tak przy okazji... – Kobieta wbiła wzrok pijawki w mężczyznę – ...zdajesz sobie sprawę z tego, że za dwa tygodnie masz termin oddania tekstu?

Chudy na to jakby ogłuchł albo przemienił się w jakiegoś nic nierozumiejącego głupa. Zakreślił się wokół własnej osi. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął.

– Tym razem będę musiała zastosować karę za opóźnienie. Masz to w umowie! – przypomniała. – Każdy dzień to dla wydawnictwa straty!

– Jakie opóźnienie? – zapiszczał pisarz. – Zdążę, zdążę – zapewnił. Założę się, że sam sobie nie uwierzył.

– Właśnie dlatego muszę już spadać – powiedział. – Roboty czeka!

To rzekłszy, zawinął się z imprezy i tyle go widzieliśmy. Po drodze nie omieszkał nałożyć sobie jeszcze mięsiwa na talerz i połknąć je w biegu.

Zrobiło mi się żal chłopca. Że kultura na liście priorytetów rządzących jest na ostatnim miejscu, wiadomo nie od dzisiaj. Chyba że ta folwarczna, disco polo albo biesiady z Marylą – takie przedsięwzięcia dostają milionowe do-

finansowania. Natomiast rynek literatury musi sobie radzić sam. A w kraju, gdzie większość obywateli nie przeczytała w ciągu roku ani jednego rozdziału, w domu zaś kiedyś miała jeden egzemplarz książki telefonicznej, ale odkąd weszło RODO, to już nawet to nie, branża ta musiała być skazana na biedowanie. Czego żywym przykładem był ten zagłodzony pisarz.

Coś czułem, że Różę i Szymona zainteresuje kwestia książki, która nigdy nie trafiła na księgarskie półki.

Śledztwo śledztwem, ale coś jeść trzeba. Dlatego poszedłem w ślady pisarza, tylko zadziałałem bardziej radykalnie. Wskoczyłem mianowicie na stół, nachyliłem się nad pieczonym prosiakiem i wbiłem mu zęby w tyłek.



– Zabierzcie tego psa! – Szymon Solański usłyszał bijący na alarm głos kobiety.

Już z daleka zobaczył Gucia stojącego na stole i obgryzającego z zapalem zadek pieczonego świniaka. Lament wznosiła nad nim jakaś ufryzowana panusia w sięgającej podłogi sukni. Co jednak się odważyła i próbowała własnoręcznie ściągnąć kundelka z obrusu, ten odwijał się i markował chapsnięcie w jej rękę. Wtedy wrzaski babska rosły co najmniej o oktawę.

Detektyw ruszył w kierunku podopiecznego, zachodząc w głowę, jak pies się tu znalazł. Przecież zostawili go w hotelu. Tuż obok niego wyrosła Róża. Nie nadążała jednak za nim w swoich szpilkach i krępującej ruchy kreacji.

– Guciu, złaż! – nakazał psu Solański.

– Guciu, co ty tu robisz?! – zapytała Kwiatkowska.

– Pan mu tego nie daje. To może być nieświeże – odezwał się kelner Zdzisiek. – Wygląda na porządnego psa, po co miałby mieć problemy żołądkowe.

Gucio nie zamierzał jednak odpuszczać, skoro już rozpoczął ucztę. Gdy wreszcie znalazł się w zasięgu swoich rozjuszonych właścicieli, uskoczył

na bezpieczną odległość, porywając w pysku spory kawał udźca. Czmychnął pod stół i tyle go widzieli.

– Idź z tamtej strony. – Detektyw wydał żonie dyspozycję. – A ja go spróbuję dorwać z przeciwnej.

Stworzyli perfekcyjny plan, idealnie wprowadzili go w życie, okrążyli zbiega, jednak nie do końca osiągnęli oczekiwany rezultat.

– Gdzie się podziała ta gadzina? – stękała Solańska, nachylając się z trudem i wkładając głowę pod obrus.

W tym czasie Szymon wycierał posadzkę kolanami, przesuwał się po niej na czworakach. Cwane kundlisko jednak ciągle im umykało, co w niczym nie przeszkadzało mu systematycznie obgryzać ukradzione mięso.

– Ja nie mogę – wyjęczała Kwiatkowska i zgięła się jeszcze bardziej wpół.

Solański na chwilę stracił koncentrację, bo na swoim radarze miał teraz opięty do nieprzytomności śliskim czerwonym materiałem tyłek żony. Szymon wiedział, że to błąd na długo przed tym, zanim Róża go popełniła. Nie był jednak w stanie zapobiec katastrofie.

– A, w dupę! – Proroczo, jak się miało za chwilę okazać, zaklęła jego ukochana.

I zmęczona zapewne niewygodną pozycją też uklękła, by łatwiej móc namierzyć Gucia. W tym momencie stały się naraz dwie rzeczy. Po pierwsze, orkiestra uderzyła w struny, rozpoczynając żwawego oberka. I to nie zagłuszyło drugiego wydarzenia – otóż sukienka Róży, jak można było przewidzieć, spektakularnie pękła.

Na tyłku.

Materiał trachnął, aż miło. Nawet Gucio przestał biegać pod stołem z ciekawiony nowymi odgłosami. Trzeba przyznać Kwiatkowskiej, że wprawdzie z poświęceniem, ale osiągnęła efekt – dzięki niej Solańskiemu udało się pochwycić psa.

– Spadamy stąd – oznajmił, gdy już spionizował żonę.

Ta, próbując nieudolnie zasłonić swoje огоłocone cztery litery, posłusznie udała się za nim. Najpierw do szatni. A potem w zimną cieszyńską noc.



– Nie będę paradować po mieście z gołym zadem! – protestowała Róża Solańska, choć tak po prawdzie płaszcz zasłaniał jej newralgiczne miejsce. Prawie. Tylko przy gwałtowniejszych ruchach materiał się podwijał i było widać co nieco. – Co za kompromitacja! – gardłowała, drobiąc za Solańskim niosącym Gucia na rękach.

Jak na złość wszystkie taksówki, które stały przed zamkiem, gdy przybyli na imprezę, teraz zniknęły. Ubera nie mogła zamówić, bo nie wzięła smartfona, który nie zmieścił się jej do tyciej torebki. Natomiast w tej kwestii liczyć na męża nie mogła. Przez jego starą nokię można by sobie zamówić co najwyżej koniowóz!

– E tam, nikt nie zauważył. – Mąż starał się ją pocieszyć.

– Akurat! – piekliła się dziennikarka. – Co gorsza! – Wyciągnęła przed siebie palec wskazujący. – Jestem się w stanie założyć, że mignął mi błysk flesza! Ktoś mi zrobił zdjęcie, mówię ci! Będę gwiazdą Internetów! – prorokowała.

Róża uparła się, by nie iść najbardziej oczywistą drogą, w obawie, że ktoś ją zobaczy i wyśmiej. Krążyli więc bez ładu i składu po Górze Zamkowej, w ciemności gubiąc odpowiednią trasę.

– Tędy! – nakazała dziennikarka i skręciła we, jak jej się wydawało, właściwą ścieżkę. – Pozwę do sądu każdego, kto opublikuje fotkę mojego półdupka! – zagroziła i... o mało co znowu nie doszło do katastrofy! – Co, do cholery?! – zeżliła się żurnalistka i jak na siebie całkiem zgrabnie odskoczyła na trawnik. – Coś tu leży! – wydarła się. – Ktoś! Ktoś tu leży! Trup! Matko z córką, kolejny trup!

Solański postawił psa na ziemię i nachylił się nad ciemnym kształtem leżącym w poprzek ścieżki.

– Jakiś facet – raportował, jednocześnie próbując odsunąć Gucia, który wpychał się pod jego łokieć i próbował dostać do ciała. – Oddycha! – ucieszył się. – Halo! – przemówił do nieznajomego. – Proszę pana! – Potrząsnął mężczyzną, raczej chłopakiem, jak zauważyła Róża, gdy wreszcie jej wzrok przyzwyczaił się do panującego w tej części parku mroku.

– Krew! – wydarła się Kwiatkowska, również nachylając się nad leżącym. – Ze skroni leci mu krew! Dzwon po karetkę! – ponagliła Solańskiego i znów cudem uniknęła upadku, tym razem za sprawą Gucia, który za wszelką cenę chciał się dostać do poszkodowanego. – Co ty wyrabiasz? – zapytała psa.

– Nie dzwonić! – odezwał się nagle niedoszły umarłak dość słabym głosem. I otworzył oczy. – Nic mi nie jest – zapewnił, ale Kwiatkowska mu nie uwierzyła.

– Co się stało? – zapytała. – Czy my się przypadkiem nie znamy? – dodała. Wydawało jej się, że gdzieś już tego chłopaka widziała.

Nie zdążyła jednak uzyskać odpowiedzi, ponieważ młody mężczyzna podniósł się do pozycji siedzącej i wtedy zza jego pazuchy wyskoczył... szczur! Róża wypruła z powrotem na trawnik. Gucio wystawił zęby i zagulgotał złowrogo. Jedynie Solański pozostał nieporuszony.

– Mundzio, do nogi! – powiedział chłopak już bardziej przytomnie.

A Kwiatkowska przypomniała sobie, że to jego spotkali przy studni Trzech Braci. Tadek mu chyba było. Szczur o dziwo posłuchał i z powrotem schował się pod połami wdzianka pana.

– On mnie uratował! – pochwalił zwierzątko chłopak.

– Przed kim? – zainteresował się Solański.

– A bo ja wiem? – Tadek wzruszył ramionami. – Spacerowaliśmy sobie jak zwykle nocami tutaj, nikomu nie wadziliśmy i nagle ktoś mnie zaszedł od tyłu i palnął w głowę czymś ciężkim i twardym. Potem się nade mną nachylił, żeby dokończyć dzieła, ale wtedy Mundek wyskoczył z mojej kieszeni prosto na tego draba! A najgorsi bandyci zazwyczaj boją się szczurów. Co tylko świadczy o ich niskim ilorazie inteligencji i braku humanitary-

zmu – perorował. – Więc i ten uciekł w popłochu i z okrzykami obrzydzenia. Gdyby nie Mundek, mógłby mnie zabić!

– Pewnie tym – wymamrotała Róża, schylając się, teraz z rozdartą na tyłku suknią już bez problemu, po coś leżącego na trawie. – Kamieniem cię uderzył – wyjaśniła, jednak nie podniosła znaleziska. – Nie dotykam, bo mogą być na nim ślady. Odciski palców czy co tam – zaprezentowała swoją wiedzę kryminalistyczną, mimo wieloletniej już znajomości z prywatnym detektywem, zaczerpniętą głównie z kryminalnych seriali telewizyjnych. – Dzwon po pały! – rzekła.

– Nie dzwonić! – Chłopak znów zaprotestował. – Oni mi nie uwierzą. Zamkną mnie w areszcie. I co się wtedy stanie z Mundkiem? Wy go mi przechowacie?

– W życiu! – zachłysnęła się dziennikarka.

Gucio zdawał się mieć przeciwne zdanie. Stanął właśnie na swojej jedynej tylnej łapie, przednimi opierając się o stojącego już prosto nowego znajomego, i próbował wywąchać szczura ukrytego w wewnętrznej kieszeni kurtki. Chłopak wyjął jakąś piekielnie brudną chustkę, wytarł nią sobie czoło i się otrząsnął.

– Nic mi nie jest – powtórzył. – Dzięki za pomoc.

– Ale przecież... – zająknęła się Róża. – Trzeba znaleźć tych, którzy ci to zrobili! – mówiła wzburzona. – Pobrać ślady! Porównać je z bazą danych! Dokonać analizy!

– Wstrzymaj konie – poradził jej Tadek. – Ja się wychyłać nie będę. Palnął mnie kto, to palnął. Ważne, że żyję. A za kraty mi nieśpieszno.

Róża i Szymon jeszcze przez dłuższą chwilę próbowali przekonać chłopaka do udania się na policję i pogotowie – albo chociaż w jedno z tych miejsc – jednak bezskutecznie. Musieli spasować. Znaleźli wreszcie właściwe zejście z Góry Zamkowej i ruszyli do hotelu.



Liduška Žrankova stała w swojej niewielkiej kuchni i wyglądała przez okno. Nie za wiele jednak przez nie widziała. I to nie tylko dlatego, że właściwie nie mogła sobie przypomnieć, kiedy je ostatnio myła. Pewnie jeszcze wtedy, gdy matka wpadała do niej z wizytą. Ten repertuar towarzyski już jednak dawno odszedł w zapomnienie. Nieliczne miejskie latarnie nie zdołały rozświetlić mroku. Wizję policjantki zasnuwał też dym z papierosa, którego odpaliła właśnie od poprzedniego. Odkąd to się stało, rzuciła się w nurt już dawno – dobrą dekadę temu – porzuconego nałogu. Nikotyna wprowadzała ją w swego rodzaju trans. Przystawała myśleć. Analizować. Zastanawiać się, co by było gdyby. Gdyby Lucjan nie zjawił się w odpowiednim miejscu, w odpowiednim czasie. Gdyby jej nie uratował.

Też tylko dzięki niemu nie miała problemów w pracy. Nie dostała żadnej nagany za pobicie napastnika na komendzie. Wprawdzie ten się podobno skarżył, ale policjanci jak jeden mąż przyrzekali, że facet sam się potknął o własne nogi i spadł ze schodów w komisariacie. No i obił sobie mordę. Kordel zapewnił Liduškę, że typ się nie wywinie. A za napaść na policjantkę dostanie jeszcze cięższą karę. Może mu to nawet podciągną pod próbę morderstwa.

Powinna się więc czuć bezpiecznie. Gnój siedział za kratami i nie wyglądało na to, że opuści je w najbliższych latach. To ją jednak nie uspokajało. Trochę ukojenia przynosił służbowy pistolet, z którym nie rozstawiała się nawet wtedy, gdy szła do toalety. Teraz też ścisnęła go jedną ręką. Czuła się taka samotna. I mimo spluwy bezbronna. Zagubiona. Sama już siebie irytowała tymi nastrojami.

Z sypialni, gdzie ładowała się komórka, doszedł ją dźwięk przychodzącej wiadomości. Zaciągnęła się po raz ostatni i przeszła do pokoju.

„Śpisz?”, pytał Lucjan.

Nieładnie go potraktowała. Pomógł, a ona go zaatakowała. Mimo upływu lat wciąż mu nie wybaczyła. Że ją porzucił. I to jeszcze dla kogo? Iwona była przeciwieństwem Liduški w każdym calu. Różniły się wyglądem – żona starszego aspiranta była od niej niższa i o wiele bardziej kształtna. Policjantka wyglądała przy Iwonie jak zachudzone chłopaczysko. Kordelowa

miała blond włosy układające się w fale, a na jej zmartwienia składały się takie kwestie, jak to, co dziś ugotować na obiad i czy dokładnie wyprasowała sobie sukienkę do pracy. Przynajmniej zdaniem Žrankovej tak to musiało wyglądać. Zawodowo też obrały dwie niekrzyżujące się w żadnym punkcie ścieżki. Wybranka Lucjana była przedszkolanką. Liduška wykonywałaby ten zawód tylko w przypadku, gdyby ktoś jej przyłożył lufę do skroni i jeszcze podrzucił rozżarzone węgle pod tyłek. Lucjan najwyraźniej był z nią jednak szczęśliwy. Tego mu było trzeba. Żony-gospodyni. Żony-strażniczki ogniska domowego. Żony bez własnych pasji i inicjatywy. Niewchodzącej na jego poletko zawodowe i niekonkurującej z nim w osiągnięciach. Żony, która da mu syna, będzie z nim chodzić na niedzielne obiady do rodziców i teściów i wyjeżdżać dwa razy do roku na urlop: raz nad morze do Kołobrzegu, drugi zaś do Zakopanego, by poparadować po Krupówkach. Po pracy będzie z nim oglądać *talent show* w telewizji i poda mu kanapki z szynką i posłodzoną dwoma łyżeczkami herbatę pod nos. Krótko mówiąc, Iwona zapewniała mu wszystko to, na samą myśl czego policjantka dostawała drgawek.

Stabilizację.

Rutynę.

Tak zwaną normalność.

Liduška nie zamierzała być normalna, cokolwiek by to miało znaczyć. Liduška chciała się spełniać w swojej pracy. Bo ją kochała.

„Nie”, odpisała Kordelowi.

„Mogę wpaść?”

„Jeśli się nie boisz, że cię postrzelę”, odpowiedziała po chwili wahania.

Domofon rozbrzmiał po kwadransie. Najwyraźniej Lucjanowi było śpieszno.

– Jak się czujesz? – spytał, zanim przekroczył próg.

Žrankova nie zapaliła światła. Mieszkanie tonęło w mroku. Nie zareagowała też na pytanie. Nie chciało jej się kłamać.

– Jezu, ale daje fajami – poskarżył się Kordel.

Liduška wyciągnęła w jego stronę paczkę. Po chwili zastanowienia wyjął papierosa i sięgnął po leżące na stole zapalki. Stanęli ramię w ramię przy kuchennym oknie. Palili. Milczeli. Gapili się w mrok.

– Żona nie będzie miała pretensji, że w nocy nie grzejesz łoża? – zapytała policjantka.

Lucjan wydmuchał dym wprost na szybę.

– Mam dyżur – odparł po chwili milczenia.

– W komendzie za tobą nie tęsknią? – paplała. Chyba z nerwów.

– Mam wolne – zmienił zeznania Kordel.

Skończyli palić.

Rozmawiać już też.



Brakowało jeszcze tylko tego, żeby mi nałożyli chomąto i zaczęli mną orać pole buraków. Odkąd im udowodniłem, że nie ma czegoś takiego jak zamknięte mi przed nosem drzwi, ponieważ każde jedne rozpirzę w drobny mak i pójdę tam, dokąd mnie wyobraźnia poniesie, nie spuszczali mnie z oka.

Solańscy, kocia ich mać!

Nie tylko cały czas się na mnie gapili, ale też nie odpinali mi w ogóle smyczy! Szkoda, że nie dysponowali łańcuchem. Albo klatką. Mogliby mnie karmić owocami, a do nogi przymocować złotą kulę z diamentami.

Dzięki przeprowadzonej przeze mnie – sami przyznacie, że brawurowej – akcji nauczyli się, że się nie zostawia psa w hotelu, tylko się go bierze ze sobą! Gdziekolwiek! Nawet do fabryki czekoladek. Bo właśnie tam udaliśmy się następnego ranka, kiedy zadzwonił do nas zaspany starszy aspirant i wyjaśnił, co się będzie działo. Zapytał zdartym, ale dziwnie radosnym głosem, czy chcielibyśmy wziąć w tym udział, na co z ochotą przystaliśmy. Ja to nawet już nie musiałem jeść śniadania, tak się napchałem wieprzowiną zeszłego wieczoru, i od razu gotowy byłem do detektywistycznych harców.

Otóż okazało się, że prokurator wydał nakaz aresztowania Alicji Szymon pod zarzutem zamordowania mojego arystokratycznego imiennika. Nie wiem, jak mu się ta teoria kleiła z faktem, że za kratami już siedziała, zatrzymana z tych samych powodów, Mira Chowaniuk. Może prokurator sądził, że kobitki się zgadały i razem ubiły szlachcica? Mogło być i tak. Na razie trzeba było jednak zatrzymać kolejną podejrzaną. Róża ucieszyła się na tę wiadomość, bo już jej powoli zaczynało brakować tematów do „Głosu Polaków” i każdy gorący *news* był przez nią mile widziany.

Wyszliśmy przed hotel, a na chodniku czekała... nasza skoda. Tak pomyślałem, bo wyglądała identyko. Zza kierownicy wyskoczyła jednak znana nam czeska policjantka i zaprosiła nas do środka. Początkowo zapierałem się wszystkimi mi dostępnymi trzema kończynami – a i ogon poszedł w ruch – bo sobie ubzdurałem, że ja także jestem aresztowany. I to przez zagraniczne służby! Czy wyobrażacie sobie, jakie mógłbym mieć w takiej sytuacji problemy z ekstradycją? Wolałem nie ryzykować. Uspokoilem się dopiero wtedy, gdy i moje człowieki załadowały się do środka. Okazało się, że Liduška także wybierała się do fabryki, postanowiła więc nas podrzucić. Proszę, jaka oszczędność na drożącym z dnia na dzień paliwie!

Zajechaliśmy pod fabrykę szymonków, hamując z piskiem opon. Wyskoczyliśmy z wozu i wpadliśmy w ramiona dybiącego już na nas starszego aspiranta.

– Wchodzimy! – wydał komendę.

I sam ją wykonał, pakując się do budynku fabryki, w którym było zaskakująco pusto. Firma rzeczywiście musiała ostro pikować i przeprowadzić serię zwolnień, bo nawet ciecia przy wjeździe na parking nie zastaliśmy. Alicji Szymon w jej gabinecie także nie.

Zawróciliśmy więc i udaliśmy się do hali produkcyjnej, z której przynajmniej dochodziły zgrzyty maszyn. Cuksy więc powstawały w najlepsze.

Zaraz po uchyleniu drzwi uderzył w nas słodkawy zapach. Róża aż się oblizwała.

– Zostańcie tu – rozkazał aspirant. – Ja jej poszukam.

Dyspozycje to on mógł sobie wydawać telewizyjnemu pilotowi, nie nam – słynnym detektywom, rzutkiej dziennikarce i policjantce, która robiła, co chciała. Teraz też ruszyła za Lucjanem.

– Pani Alicjo?! – zawołał Kordel.

Nikt mu jednak nie odpowiedział. Przyjrzałem się taśmie produkcyjnej. Przesuwała się, jednak nie było na niej ani jednego słodycza! Kwiatkowska mało się nie rozplakała. Widziałem to po pełnych błyskawic wściekłości spojrzeniach, które rzucała po kątach. Powinna uważać, bo była na dobrej drodze do dostania zeza rozbieżnego.

Rozleźliśmy się po ogromnym pomieszczeniu w poszukiwaniu prezeski.

– Chyba jej tu nie ma – uznał w końcu Lucjan.

Mój nos mówił jednak co innego! Czuję jej swądek! Była tu! Tylko się przed nami ukrywała. A miała gdzie, bo halę wypełniał cały zastęp urzędów, kadzi, zakamarków, za którymi łatwo się było zaciąć. Nie po to jednak bozia dała mi nos, żebym teraz nie wytropił potencjalnej morderczynie! Stałem więc przed Solańskim. Popatrzyłem mu prosto w oczy, mówiąc: „Ej, stary, ona tu jest, szukamy babsztyla do skutku”. Zrozumiał od razu.

– Gucio mówi, że ona tu jest – powtórzył reszcie nieobeznanej z psią mową.

Jeżeli sami macie zaszczyt mieszkać z psem, wiecie, o co chodzi. A jeżeli nie, to przerwijcie na chwilę lekturę, spójrzcie w oczy swojego pupila, a od razu zrozumiecie, co ma on wam do powiedzenia. Będzie tam coś pewnie o dokładce kiełbasy śląskiej albo spacerku.

W każdym razie rzekłem, co rzekłem, i zacząłem węszyć. A ludzina poszła w moje ślady. Byliśmy na tropie! Co jakiś czas dochodził do mnie dziwny, podejrzany dźwięk, który – byłem się w stanie o to założyć – wydawała znająca tu każdy kąt ścigana Alicja S.

– Pani Alicjo, proszę się nie wygłupiać! – zaapelował Kordel.

– Tu mordparta! – wyraziła się trochę na wyrost jego czeska koleżanka po fachu. – Wyłaż, ty hajzle! – zaapelowała mieszaniną polskiego z czeskim w sposób, jak już się zdążyłem zorientować, niezbyt kulturalny.

– Noga! – wydarła się Róża. – Tam widzę nogę! – Wskazała palcem stosowne miejsce.

Rzeczywiście za jedną z maszyn pod ścianą przemknęło damskie obuwie. No to ją mieliśmy! Tak sobie pomyślałem, byłem jednak w błędzie. Nie poszło nam jak z płotka. Ruszyliśmy za babsztylem, a w rezultacie naszej nagonki prezeska wspięła się na maszynerię, poślizgnęła się i wpadła głową w dół do kadzi. Pełnej czekolady. Na szczęście mieszak był wyłączony, więc nie ucięło jej łba ani innych części ciała. Przecież powstałe z takiej mieszanki szymonki byłyby nie do odratowania!

– Łap ją! – darła się Liduška do Lucjana, wskazując na wystającą ponad krawędź kadzi girę. – Ciągnij! Chryste, diabeł! – Policjantka na widok wyłowionej Alicji dostała biblijnych skojarzeń.

I trudno ją winić. Prezeska, cała w czekoladzie, która przykleiła jej się do wszystkiego, rzeczywiście wyglądała jak belzebub. Wydawała też z siebie potępieńcze jęki, łapczywie łapiąc powietrze. Czyżby nie smakowały jej własne produkty? Róża nie narzekała. Przyłapałem ją na tym, jak wkłada paluch do kadzi i degustuje.

Skaranie.

Alicja Szymon przetarła oczy, żeby coś tam jednak widzieć. I już chciała zwiewać, wyślizgnąwszy się policjantom z uścisku dzięki słodkiej powłoce, ale wtedy do akcji wkroczyła Róża. Podcięła babsko zgrabnym hakiem i tyle było z jej eskapad.

– Jest pani zatrzymana – obwieścił Lucjan. – Pod zarzutem zamordowania Gustawa von Habsburga. Może pani zachować milczenie. Wszystko, co pani powie... – rozpędzał się, ale przerwała mu Czeszka.

– To nie są jakieś detektivki^[40]! Nie bredź, Lucjanie – powiedziała. Jednak nagana złagodzona była przyjaznym tonem.

Co się tyczy mnie, to tej kakaowej miazgi nie ruszałem! Bo, jak już wspomniałem, jest dla mnie trująca. Tak samo jak: cebula, czosnek, rodzynki, winogrona, awokado, alkohol, orzechy makadamia (pojęcia nie mam, co to). Jeśli więc planowalibyście przyrzędzić swojemu czworono-

gowi danie z wyżej wymienionych produktów, to się puknijcie w dekiel i zastanówcie nad sobą.

Alicja Szymon, ponieważ wyrywała się jak jaka głupia, została skuta w kajdanki. A potem odbyła się dyskusja, kto ma ją zawieźć do komisarjatu. Nikt nie chciał, bo wiadome było, że upaprze siedzenie. Spacer do miejsca docelowego też odpadał, gdyż zaraz zbiegliby się ciekawscy na takie dziwowisko. Wreszcie na rozwiązanie problemu wpadła Róża, która wróciła do biura prezeski. Jednym szarpnięciem zdarła z karnisza zasłonę i narzuciła ją jak jaki torreador na ukidaną podejrzaną. Tak zawiniętą wsadzono ją wreszcie do radiowozu. Starszy aspirant Kordel usiadł za kierownicą i odwiózł producentkę cukierków do powoli przeludniającej się komendy.



– No ale chociaż na jeden – powiedziała Róża Solańska płaczącym tonem i dla wzmocnienia efektu tupnęła nogą.

Ręce jej już opadały, jeśli chodziło o wyciągnięcie Szymona gdzieś do ludzi. Na potańcówce mało nie umarł ze znudzenia. Mieli iść do teatru, dziennikarka kupiła nawet bilety, ale te w tajemniczych okolicznościach się zapodziały! Przeszukała cały hotelowy pokój. Zajrzała nawet do wciąż zaparkowanej na tyłach budynku skody. I nic!

– Kochanie, widziałeś gdzieś bilety do teatru? – spytała nawet Solańskiego. – Zostawiłam je tu, na stoliku nocnym – dodała.

I od razu uświadomiła sobie, że to był jej błąd. Powinna świstki nosić przy tyłku i nie zostawiać ich na pastwę detektywa!

– Jakie bilety? – zapytał ten aktor z bożej łaski, prezentując wręcz przesadne roztargnienie.

– Do teatru! – Róża tak łatwo się nie poddawała. – Mieliśmy iść w sobotę.

– Do jakiego teatru?

Solański był gotowy – widziała to w jego oczach – toczyć tę prowadzącą donikąd dyskusję do skutku. To znaczy, aż Kwiatkowska zrezygnuje, machnie ręką i zapomni o teatrze. Nie z nią jednak takie numery. Wprawdzie te dwa druczki już spisała na straty, ale zaraz tego samego dnia pobiegła znów do kasy Teatru imienia Adama Mickiewicza z postanowieniem kupienia kolejnych biletów. Te jednak zostały już wyprzedane. I ta cholera w okienku za nic nie chciała jej opchnąć chociaż wejściówek. Róża obiecywała, że nie będzie jej przeszkadzało przycupnąć na schodach, ale babsztyl się uparł i zasłaniał przepisami przeciwpożarowymi.

Wściekła Solańska wróciła więc do Čity, po drodze mijając jednak plakaty reklamujące festiwal Kino na Granicy...

– Idziemy na film! – oznajmiła Szymonowi tego sobotniego wieczoru i pomachała mu biletami przed nosem.

– Pokaż. – Detektyw wyciągnął przed siebie rękę, najwyraźniej sądząc, że ma przed nosem jakąś głupią. A miał przecież Różę Kwiatkowską.

– Po moim trupie – odparła na tę podstępłą propozycję i zarządziła wymarsz.

Ponieważ seans odbywał się pod chmurką, nie było też problemu z zabranieniem ze sobą Gucia. Po jego ostatnim wyczynie oboje przypuszczali, że nawet gdyby psa zamknąć w najbardziej strzeżonym bunkrze, wydostałby się z niego bez problemu.

– Sama powiedz – marudził Solański, gdy już wyszli z hotelu i skierowali się w stronę mostu Przyjaźni, na którym ustawiono ekran i rzędy krzeseł – że to jest dziwaczne! Żeby nie powiedzieć: niestosowne. Przecież tam dopiero co leżał trup. A my teraz mamy usiąść w tym samym miejscu i oglądać jakieś filmy? – gardłował detektyw, dając się ciągnąć Guciovi za smycz.

– Odkąd to jesteś taki wrażliwy? – Róża nie zamierzała słuchać bzdur.

Szymon przezornie nie odpowiedział na to, jak pewnie podejrzewał, złośliwe pytanie. Już po chwili dotarli do przejścia granicznego tego wieczoru zamienionego w strefę dla miłośników kinematografii.

– I co to w ogóle ma być za film? – Detektyw nagle się zainteresował.

– Czeski – burknęła Kwiatkowska.

Okazali bilety i przepchnęli do swoich miejsc.

– Zimno tu będzie. – Szymon nie ustawał w wysiłkach, by wrócić do hotelu, wleźć pod kołdrę, wyjąć książkę i czytać do trzeciej nad ranem. To była kwintesencja tego, co Solański uważał za znakomitą rozrywkę. Albo „zajebistą inbę”, jakby powiedziała dzisiejsza młodzież. Róża jednak jeszcze na tyle nie zdiadziła. Róża zamierzała korzystać z życia! Nie zdążyła jednak wyartykułować na głos swoich przemyśleń, ponieważ ekran rozbłysnął logo festiwalu, a potem rozpoczął się na nim obiecany film.

Kwiatkowska wkręciła się w akcję czeskiej, dość absurdalnej komedii. Fabuła dobiła właśnie do sceny, w której jeden z bohaterów wchodzi do pokoju, w którym na cały regulator gra telewizor, a dobywa się z niego hymn państwowy. Na to bohater całkiem szczerze pyta: „Co to je za muziku?”. Róża zaś mogła zadać pytanie: „Co to je za chrapanie?”. Dobiegało od strony... Solańskiego! Szturchnęła go łokciem w żebra. Detektyw obudził się, przeciągnął, przetarł oczy. Po czym je wybałuszył.

– Co, nagle się zainteresowałeś? – wysyczała Kwiatkowska. – Czeską kinematografią?

– To ona – odsyczał detektyw, dalej gapiąc się na film.

– Jaka ona? – Róża nie zrozumiała.

Szymon pokazał palcem na ekran. Akurat teraz całą jego powierzchnię zajmowała twarz młodej, pięknej aktorki. Miała długie, czarne, kręcone włosy i promiennie się uśmiechała. Rzeczywiście, kogoś dziennikarce przypominała...

– Czy to...

– Mama! – dało się słyszeć dziecięcy głosik z pierwszego rzędu.

Róża aż się podniosła z krzesła, żeby dobrze się przyjrzeć dziewczynce i jej rodzicielce, którą w rzeczy samej była... Eliška Heczkova! W prezentowanym filmie musiała zagrać już dawno, jednak wciąż była równie piękna. Obok Eliški siedział jej mąż i... chyba też przysypiał! Czyli to była kwestia

płci. Faceci po prostu się nie nadawali do udziału w wydarzeniach kulturalnych! Posadzić takiego przy stole w barze, postawić przed nim browara, senność odejdzie w zapomnienie! Ale odrobina trudniejszej intelektualnie rozrywki, a już każdy jeden zapada w śpiączkę, tłumacząc się przemęczeniem w pracy. Tere-ferre!

Róży przypomniała się rozmowa, którą podsłuchiwała w trakcie balu. Szymon zdążył jej zrelacjonować ekscesy kuchenne, do jakich doszło między Gustawem Habsburgiem a Jurkiem Krásnohorskim. Ona jednak zupełnie zapomniała o tej dziwnej dyskusji, którą toczyła z pewnością redaktorka z jakiegoś lokalnego wydawnictwa z zabiedzonym pisarzem. Coś tam gadali o książce, którą miał pisać Habsburg o Elišce. A skoro, jak się dowiedziała Róža, Heczko w młodości zadawała się z Habsburgiem, to pewnie gnida wykorzystywała jej zaufanie i wtoczyła w swoje dzieło prywatne niemające ujrzeć światła dziennego informacje z życia Elišky. Ciekawe, co tam nawypisywał? Ponieważ Róža i tak straciła wątek w filmie i bała się, że znowu dopadnie ją skleroza, łupnęła Szymona ponownie w bok, po czym szeptem przekazała mu szczegóły podsłuchanej dyskusji.

– Szszsz! – Usłyszała za plecami syczenie jakiegoś kinomaniaka.

Nie przejęła się jednak, tylko nadawała dalej.

– Więc może to ona go kropnęła – powiedziała głośniej, niż zamierzała.

– Co proszę? – Świszczący kinoman znów wtrącił się do nie swojej rozmowy.

– Nos w sos – pouczyła go Róža, odwracając się przez ramię.

– Kropnęła, czyli zamordowała? – drażył dalej nieznajomy, wywołując falę posykiwań wśród coraz większej liczby widzów.

Plotka szła wśród publiczności jak fala na stadionie piłkarskim. Zataczała coraz szersze kręgi. Wbrew woli Kwiatkowskiej! Na próżno próbowała to bagatelizować temat, to uciszać namolnego widza. Po jakiejś minucie nikt już nie oglądał filmu. W tłumie gości festiwalu Kino na Granicy rozgorzała gorąca dyskusja na temat morderstwa. Przy czym nikt do końca nie wiedział, kto kogo wyprawił na tamten świat, kiedy, gdzie i dlaczego w ogóle

się o tym debatuje, zamiast oglądać obraz produkcji czeskiej, za co się jeszcze zapłaciło.

Plusem awantury był fakt, że Szymon obudził się na dobre. Zapewne Solańscy padliby wreszcie ofiarą linczu, ponieważ źródło draki – czyli oni – zostało szybko namierzone i w miejsce głosów ciekawych morderstwa pojawiły się te oburzonych na przerwanie seansu. Na szczęście film wreszcie się skończył, a zebrany nie pozostało nic innego, jak się rozejść.

Gdy Róża, Szymon i Gucio wracali w stronę hotelu, zobaczyli jeszcze rodzinę Heczków – objętych rodziców oraz dzieci ściskające ich dłonie – znikającą za zakrętem.

Solański mógł odetchnąć. Róża na jakiś czas miała dosyć kulturalnych uniesień.

ROZDZIAŁ 9

*Czeszczyzna matki nawet po trzech miesiącach
nie poprawiła się ani trochę – jeśli w jej przypadku
można w ogóle mówić o czeszczynie^[41].*

Nie podobało jej się to. No po prostu nie podobało. Czuła, że w tym śledztwie jest coś nie tak. A zwłaszcza w jego rezultatach. Chodziło o pewną... nierówność? Dyskryminację płci, ot co! No bo dlaczego do tej pory aresztowano aż dwie kobiety? Czy to był zbieg okoliczności? Czy może jakieś uprzedzenia starszego aspiranta? Dlaczego Lucjan Kordel nie mógł podejrzewać o morderstwo jakiegoś faceta?

– Dowody! – powiedział Solański, gdy Róża przedstawiła mu swoje wątpliwości. – Dowody wskazują albo na Alicję Szymon, albo na Mirę Chowaniuk.

– Albo? Albo? – przedrzeźniła go Kwiatkowska. – To co, razem go ubiły? Każda na swój sposób?

– Nie, no... – próbował się tłumaczyć Szymon, ale bez skutku.

Siedzieli jeszcze w pościeli. Za oknem wprawdzie świeciło słońce, ale jego zimna barwa jasno sugerowała, że nie mają się co spodziewać ciepła. Z położonego po drugiej stronie ulicy dworca kolejowego ze stukotem właśnie odjechał pociąg. Zawtórowała mu wiertarka udarowa, którą odpalił jakiś nawiedzony budowlaniec tuż pod oknem ich pokoju. Czy ci cholerni Czesi nie potrafili sobie darować ciągłych remontów? Mogliby wziąć przykład ze swoich polskich kolegów i pozbijać nieco bąków. Poudawać zapracowanych, a tak naprawdę popijać kawkę z termosu i wtrząsać hot dogi nabyte na najbliższej stacji paliw. Rodzimi robotnicy drogowi opanowali

sztukę kamuflażu do perfekcji. Zazwyczaj wyglądało to tak, że ustawiali biało-czerwone słupki na jakimś tam odcinku drogi, doprowadzając do rozpaczy sterczących w korkach kierowców. Po czym zamiast ryć asfalt, czy po co tam też zostali najęci, stawali na poboczu i debatowali. O czym, tego nie wiedział nikt, z pewnością jednak nie o meritum. Poubierani w pomarańczowe kamizelki wyglądali profesjonalnie. Jeden sterczał zadkiem wsparty na wbitej w ziemię łopacie. Drugi przysiadł na odwróconym do góry dnem wiadrze. Trzeci chował się w szoferce przywleczonej tu dla poklasku koparki. Czwarty przykładał do ucha komórkę, niby to konsultując się z kierownikiem budowy. I tak to trwało. Tygodniami. Miesiącami. A w rezultacie nawet i latami. I tylko kierowcy-frajerzy wypatrywali postępu prac, na którym tak naprawdę nikomu nie zależało. Dniówki leciały. Konta w bankach pęczniały. Nikt nie nadwyręzał się.

– Mówię ci! – huknęła dziennikarka, próbując przekrzyczeć wiertarkę. – Policjanci coś pokręcili! Albo nienawidzą kobiet!

– Z Larssonem ci się pomyliło – mruknął Solański. – Liduška Žrankova nienawidzi kobiet? Samej siebie?

– Nie bądź taki mądry – odpyskowała Róża, gdyż tym razem to jej zabrakło argumentów. – A poza tym jestem głodna! – oznajmiła.

Solański powinien dobrze wiedzieć, że co jak co, ale Róży nie należało trzymać na głodzie. Dla dobra jej oraz całej ludzkości.

– No to chodźmy na ser i hranolky! – powiedział oczywiście. – Tylko najpierw wezmę prysznic.



Nie podobało mu się to. No po prostu nie podobało. Czuł, że w minie Róży jest coś nie tak. Chodziło o pewne... skrzywienie ust? Wyraz obrzydzenia, ot co! No bo dlaczego za każdym razem, gdy proponował, by poszli na ser i frytki, Kwiatkowska przewracała oczami? Jak można było nie przepadać za tym daniem? I do czego to doszło, żeby z ich dwojga to on wychodził na tego bardziej żarłocznego?

Z nieboskim zgrzytem zardzewiałych szyn zasunął za sobą drzwi do łazienki. Nareszcie coś zagłuszyło tego narwanego budowlańca pod oknem. Ściągnął z siebie i rzucił na posadzkę bokserki i koszulkę, które służyły mu w charakterze pidżamy. Wkroczył do brodzika. Ze złością – i trzaskiem – zasunął za sobą drzwiczki kabiny. Puścił wodę i stał pod silnym strumieniem przez chwilę bez ruchu. Na oślep sięgnął po butelkę z płynem, który spełniał jednocześnie funkcję szamponu, żelu pod prysznic, a nawet i odżywki do śródstopia, gdyby ktoś takiej zapragnął. Wszystko to oczywiście w wersji dla mężczyzn.

– Jeśli coś jest do wszystkiego, to jest do niczego – pouczyła go Róża, gdy pokazał jej ten kosmetyczny wynalazek.

I postawiła na podłodze w łazience (bo na półce nie było tyle miejsca) swoją pękającą w szwach kosmetyczkę.

Teraz ścisnął plastikową butelkę w rękę. Zamiast płynu wydała ona z siebie ciche prychnięcie. Była pusta. A Solański dałby sobie głowę uciąć, że zabrał do Cieszyna pełny pojemnik. Tak szybko nie mógł się przecież skończyć. Kwiatkowska na pewno go nie zużyła, bo ostatnio miała fazę na naturalne kosmetyki, tylko w szklanych, metalowych bądź papierowych opakowaniach. Na widok zwykłego szamponu czy żelu pod prysznic krzywiła się jeszcze bardziej niż na ser z hranolkami, odsądzając od czci i wiary tego, kto to śmiał kupić i zanieczyszczać oceany, jak twierdziła. Nie dało się jednak ukryć, że Szymon nie miał się czym umyć. Czyżby więc żona słusznie prawiała i to dziadostwo rzeczywiście było takie nieekonomiczne?

Nie zakręcając wody, na paluszkach, żeby jak najmniej nachłapać na kafelki, Solański wyszedł z brodzika i dopadł do kosmetyczki Róży. Miała ona wymiary bagażu podręcznego uznawanego w tanich liniach lotniczych. Odsunął zamek i zagapił się na kłębiącą się w środku zawartość. Morze puszczek, pudełeczek, słoiczków i pakuneczków na chwilę odebrało mu zdolność jasnego myślenia. Coś mu się tam przypomniało, że żona najchętniej używa wszelakich kosmetyków w kostce. Po to, by nie zaśmiecać wspomnianych akwenów wodnych plastikowymi opakowaniami. Po chwili skupienia Solańskiemu udało się namierzyć pięć kostek o różnych kolorach

i stopniach zużycia. Poutykane były w metalowych puszkach, jednak pozbawionych stosownego opisu. Co więc było czym, nie sposób zgadnąć. Miał przed oczami kostki: różową, żółtą, beżową, fioletową i zieloną. Czy te barwy miały coś oznaczać? Pachniały nijak – Solański specjalnie sprawdził. Woda wciąż lała się pod prysznicem, a para zaczynała likwidować widoczność w pozbawionej okna łazience.

– Co, do cholery? – mruknął detektyw i zabrał wszystkie kostki z powrotem pod prysznic.

Metoda organoleptyczna mająca na celu zidentyfikowanie przeznaczenia każdego z kosmetyków nie przyniosła upragnionych rezultatów. Choć detektyw pocierał o przedramię wszystkimi kostkami, nijak nie potrafił ich rozróżnić. Co więcej, namoczone i oślizgłe, zaczęły mu jedna po drugiej wymykać się z rąk i wpadać do brodzika. Co podniósł jedną, zaraz w jej miejsce lądowała następna. Ile razy dotknął gołym tyłkiem zimnych kafelków i huknął się przy tym czubkiem głowy w metalowe pokrętła do regulacji wody, trudno było zliczyć. Kiedy wreszcie wypiętym zadkiem o mało nie wypchnął szyby prysznicowej z obramowania, stracił cierpliwość.

– Róża! – wydarł się, z pewnością już zagłuszając tego popaprańca-budowlanica. – Róża!!!

Musiało być słychać w jego głosie desperację – a może i zaczątki kielkującego szaleństwa – ponieważ żona nadbiegła z odsieczą wyjątkowo szybko. Towarzyszył jej pies. Wparowali do łazienki, znów odstawiając cały cyrk z wyjącymi drzwiami, i stanęli wpatrzeni w niego w oniemieniu.

– Róża! – powtórzył detektyw, gdzieś tam w głębi duszy zdając sobie sprawę z tego, że musi wyglądać na obłąkańca. – Który to szampon?! – zadał pytanie natury egzystencjalnej, spojrzawszy błędnym wzrokiem i dla pewności wskazał na rząd spuchniętych i rozmiękłych już w ukropie kostek.

Zamiast uzyskać natychmiastową pomoc, na którą liczył, mógł się poprzyglądać żonie, która dostała, nie wiedzieć czemu, ataku śmiechu. Oraz psu, który dla odmiany podwinął kity pod siebie i zwiął z łazienki w podskokach.

Trochę czasu minęło, zanim ogarnął zalaną łazienkę i wreszcie mogli wyruszyć w miasto. „W miasto” brzmiało hucznie, buńczucznie, choć w rzeczywistości takie nie było. W miasto to sobie można było iść w Warszawie, Wrocławiu czy Krakowie. W żadnym jednak razie w Czeskim Cieszynie. Zwłaszcza gdy i tak kierunek był jak dla niego jeden – pub Ostravar.

Solański oczywiście chciał zjeść swoje ulubione danie. Nie miało dla niego znaczenia, że pora była dość wczesna jak na obiad, a knajpę w zasadzie dopiero otwierano. Poza tym ich wizyta miała też drugie dno. Detektyw żywił podejrzenia. I musiał je skonfrontować z rzeczywistością. Kiedy więc tylko Jiří Krásnohorský podał im po piwie, detektyw zdradził żonie obmyślany wcześniej plan.

– Žádný problém – orzekła Róža, znów prezentując swoje rzekome zdolności językowe i z błyskiem w oku oraz jednym pociągnięciem łokcia rozlała dopiero co postawionego przed nią browara. – Ojej! – zawołała zbyt, zdaniem Szymona, teatralnie. – Co ja narobiłam?! Pomocy!

Na takie nawoływanie z zaplecza przybiegł właściciel baru i łapiąc się za głowę, pognął z powrotem do kuchni. W tym czasie Solański zadekował się w toalecie. I wyczekiwał. Facet po chwili wrócił pędem, dzierząc w ręce wiadro i mopa. Szymon wychynął z ustępu i zakradł się na opustoszałe zaplecze. Ponieważ lokal dopiero co otwarł swoje podwoje, klientów było jak na lekarstwo (a w tej chwili tak naprawdę tylko Solańscy), więc i obsługa nie musiała jeszcze występować w pełnym składzie. Na to liczył detektyw. I rzeczywiście, dzięki temu, że Róža na dobre absorbowwała Jurka, Szymon mógł się spokojnie rozejrzeć po jego włościach. Kuchnię ze skwierczącym, starym i śmierdzącym olejem minął obojętnie. Za to na tyłach pomieszczenia zauważył niedomknięte drzwi. Zrobił kilka długich kroków i już był w środku kantorka, który stanowił najpewniej biuro właściciela pubu.

– Co my tu mamy? – wymamrotał detektyw i doskoczył do lichego biurka z Ikei. Dość szybko udało mu się spenetrować szuflady i blat zawalony nic niewnoszącymi do sprawy papierami. Znalazł tam między innymi sprawozdanie ze spotkania jakiegoś ewidentnie nacjonalistycznego stowarzyszenia. Nawet on zrozumiał, że hasłem przewodnim organizacji, wypisy-

wanym na każdym druczku ozdobnym, kolorowym fontem, było stwierdzenie: „Czechy dla Czechów”. Detektyw z irytacją odrzucił papiery i posłyszał z sali barowej głos swojej żony.

– Ajajaj, ale ze mnie gapa! – darła się Róża. – No nie wiem, co się dzisiaj ze mną dzieje. – A potem już agresywniej, jakby ofiara próbowała jej się wymknąć. – Panie! Tu jeszcze!

Szymon przesunął wzrokiem po regale stojącym przy ścianie oddzielającej biuro od kuchni. Swoją drogą tu też powietrze zalatywało zużyтым olejem. Solański mógł sobie wyobrazić, że ten swądek nigdy nie schodził z restauratora. Choćby nie wiadomo jak dokładnie i długo kąpał się każdego dnia, to smród oleju na dobre wżarł mu się już we włosy, skórę i duszę.

Zobaczył kolejne segregatory z powpinanymi fakturami, jakieś plastikowe pojemniki z wsypanymi doń szpargałami, zdjęcie wyjątkowo pięknej kobiety w ramce przepasanej flagą Czech, smycze z nadrukowanym logo firm, o których istnieniu detektyw nigdy nie słyszał.

Na nic.

Jego eskapada zdała się na nic.

– No nie mogę! – Do Solańskiego najpierw dotarł krzyk żony, a potem dopiero brzęk tłuczonego szkła.

Robiła Krásnohorský’emu demolkę w lokalu. Powinien się już zbierać, bo jeśli restaurator zażąda od nich odszkodowania za poniesione straty, pójdą z torbami. Stanął w progu i jeszcze ostatni raz rzucił okiem na zabałaganione wnętrze.

I właśnie wtedy kątem oka dostrzegł jakiś błysk. Pewnie by go zignorował, ale coś – być może osławiona intuicja detektywa – kazało mu się zatrzymać i spojrzeć raz jeszcze. W jednym z ustawionych na półkach pojemników leżał niewielki srebrny przedmiot odbijający światło gołej żarówki zwisającej z sufitu.

– Odczep się, babo! – Usłyszał głos właściciela baru.

A potem zbliżające się kroki.

Nie miał czasu do stracenia. Dosłownie w ostatniej chwili włożył dłoń do plastikowego pudełka i zgarnął jego zawartość, po czym umieścił ją w kieszeni swojej kurtki moro. Wyskoczył z biura i stanął nad garnkiem, z którego przyskała olej.

– A co pan tu robi?! – warknął na niego restaurator.

– Sprawdzam, jak tam moje frytki – odparł Szymon, robiąc minę nierozgarniętego osła. – Bardzo już głodny jestem, a pan zajęty. To pomyślałem sobie, że pomogę.

– Idź mi pan stąd! – wydarł się Krásnohorský.

Prezentował się fatalnie. Twarz w pąsach, włosy w strąkach, a cały przyodzievek w plamach z piwa. Róża nieźle go urządziła. Facetowi nie pozostało nic innego, jak się umyć i przebrać.

Solańskiemu zaś wziąć nogi za pas.



Miasto mówi / Město říká

Z jednej strony miasto lubiło gwar. Tłumy turystów przemierzających jego ulice, przesiadujących nad Olzą, wypijających nadmierne ilości czeskiego piwa i zagryzających je lentilkami albo tymi bułami ze śledziem. Śpiewających pijackie pieśni ciemną nocą i śpieszących o poranku na Górę Zamkową, by obejrzeć rozciągający się z wieży Piastowskiej spektakularny widok. Lubiło podsłuchiwać ich pełne emocji rozmowy, leniwe pogaduszki. Ten harmider był też świadectwem samego miasta. Dowodem na to, że Cieszyn żyje. Że nie został zapomniany w pędzie dziejów.

Jednak tego wieczoru miasto miało już po dziurki w nierównych gdzieś drogach ludzi. I tego zakichanego festiwalu przemądrzałych filmomaniaków, którzy zasiedli na moście Przyjaźni, w ogóle nie przejmując się tym, że miastu jest ciężko. Że wolałoby sobie odpocząć, a nie dźwigać na

swoich barkach tę rozbrykaną horde. Naprawdę nie mieli już gdzie oglądać tych filmów? Musieli na powietrzu, na moście, nad rzeką, na cieszyńskiej bliźnie, na sztucznej przeciw granicy? Siedzieć długo w noc i rozprawiać, zamiast dać się miastu wyspać?

Ten irytujący detektyw też oczywiście przyszedł ze swoją wścibską żoną i paskudzącym po krzakach psem. I zaraz następnego dnia znów cała trójka wypęzła z hotelu, zniknęła na dłuższą chwilę w pubie tego cuchnącego olejem Jurka. A potem wychynęła na ulicę i popędziła, jakby ich kto gonił. Ta miśkowata dziennikarka wyglądała zresztą na taką, co to biega tylko wtedy, gdy kto ją ściga. Nigdy z własnej woli. Polacy zasiedli na ławce nad Olzą i podjęli dyskusję. Miasto nadstawiło ucha.

– Udało ci się? – zapała kobieta.

Detektyw nagle wstał. Włożył łapę do kieszeni kurtki i wydobyl z niej, jak na oko miasta, kupkę śmieci. Coś tam mu błysnęło w dłoni, może jednak jaki skarb, który zaiwanił z cieszyńskich ziem? Miasto się zatem przyjrzało. I co zauważyło?

– Srebrny koralik z biało-czerwoną flagą – wyrzeziła dziennikarka.

Naprawdę powinna dać sobie spokój ze sportami wszelakimi. Miasto nie chciałoby jej mieć na sumieniu. I kolejnego trupa na swych ziemiach.

– Taki sam! – zauważyła Solańska. Tak jej chyba było.

Miasto łypnęło okiem raz jeszcze.

No rzeczywiście. Naderwany koralik, który wciąż połyskiwał w otwartej dłoni detektywa wyglądał identycznie jak te, które zwisały na łańcuszku. Łańcuszku, który nosił Gustaw von Habsburg.

Miasto zastanowiło się przez chwilę. Zmarszczyło brwi, co dla mieszkańców mogło być widoczne jako nagłe nagromadzenie cumulusów na wysokości Olzy. I wyciągnęło swoje wnioski.

Dzielić nimi się jednak z nikim nie zamierzało. Po pierwsze, nikt by miasta nie wysłuchał. A nawet jakby, toby nie zrozumiał. Komunikacja z mieszkańcami nie była więc warta zachodu. W tym względzie miasto

utożsamiało się z tym psem, który komunikował ludziom ważne rzeczy, a oni nie potrafili niczego skumać.

Jedyne, co miastu poprawiło humor już po kilku godzinach, to widok tej szurniętej dziennikarki. Zasiadła w redakcji „Głosu Polaków” i przeglądała stronę internetową prowadzonej przez siebie gazety. Choć prawdę powiedziawszy, za dużo zobaczyć nie zdołała, ponieważ zaraz na wstępie ją zamurowało. A potem trafił szlag. Byłaby i może padła z miejsca trupem, jednak się powstrzymała. Miasto zerknęło na ekran i wybuchnęło śmiechem, co objawiło się cieszynianom jako nagły i niespodziewany podmuch wiatru.

Twarz Solańskiej przybrała barwę dolnego pasa na polskiej fladze. W oczach zaszklily się łzy – trudno było stwierdzić, czy żalu, czy wściekłości. Ręka na myszce zadrżała, gdy Róża pośpiesznie przystąpiła do usuwania artykułu, który bez jej wiedzy zamieścili współpracownicy na – na szczęście tylko internetowej, papierową ona kontrolowała – jedynce. Tytuł brzmiał: „Goły tyłek na zamkowym balu”. Treść tego wpisu treścią, ale całą robotę i tak robiło zdjęcie. A to przedstawiało Różę Solańską na czworakach przemieszczającą się pod stołem, a do kamery wypiętą zadkiem, na którym pękła w szwach czerwona sukienka. Spod materiału wystawały majty jak żagiel.

No doprawdy, paradnie! Miasto uśmiechnęło się do siebie, a na zaolziańskim niebie na chwilę pojawiło się słońce.



Popatrzyłem na niebo i nie spodobało mi się to, co zobaczyłem. Nad rzeką, przy której właśnie koczowaliśmy, zebrały się gęste chmury. Pewnie zaraz lunie, pomyślałem i szczeknąłem na moją ludzinę, żeby się ogarnęła i zaprowadziła swojego ukochanego psa w jakieś bezpieczne i suche miejsce. Optymalnie takie, w którym można zdobyć odpowiedni przydział kiełbasy śląskiej.

No ale oczywiście oni nie. Zamiast do kiełbasiarni zabrali mnie do tego całego Kornela. Nie zrozumcie mnie źle, nie mam nic przeciwko chłopu,

zwłaszcza że już dawno nie żyje i szkody mi narobić z własnej winy nie może. Nie chowam też żadnej urazy do tabunów pseudointelektualistów przesiadujących w tym jego przybytku, raczących się kawką, dziwacznymi deserami i przytrzymującymi przed nosem ściągnięte z półki książki (bo nikt mnie nie przekona, że oni je naprawdę czytali, do tego niezbędne jest przewracanie kartek, a takowego nie zarejestrowałem). Po ich zafrasowanych minach od razu widać, że najchętniej wciągnęliby sobie jakiś krwawy kryminał, ale duma im na to nie pozwala. Bo co by to było, gdyby ich jaki znajomek z uniwersytetu (który skończyli już dawno i ledwie, ledwie) przyuważył z taką niepoważną lekturą? No co by to było? Pewnie mogliby wymienić opinie na temat fabuły, bo kolega to samo czyta w zaciszu domowym. Intelktualiści to zbabělce^[42], więc czego tu od nich wymagać, zamęczą sami siebie na tak zwany amen, ale nie pójdą za głosem serca.

No w każdym razie wracając do głównego wątku, sytuacja była taka, że właśnie gramoliłem się z trudem po drewnianych schodach na antresolę u Kornela, Róża wisiała na barze, zamawiając dla wszystkich ciastka, a Solański witał się w progu z Lucjanem i Lidušką, których tu zawezwał telefonicznie w trybie pilnym.

– O! – powiedział mój pan, gdy już kelner przyniósł zamówienie, a wszyscy zasiedli wokół kolebiącego się stołu o nierównych nogach.

Mówię: „wszyscy”, ale oczywiście mijam się z prawdą, gdyż moja zacna osoba utknęła pod meblem. Ponieważ jednak ja wszystko widzę, to wiedziałem doskonale, że Solański wyrzucił na blat swoje błyszczące znalezi-sko. I przedstawił śledczym teorię, wedle której to nasz ksenofob Jiří Krásnohorský kropnął Gustawa Habsburga. Trafił swój na swego. Każdemu się wydawało, że ma rację. Jeden chciał przyłączenia Cieszyna do Polski, drugi do Czech, wojowali o to zawzięcie, nie zdając sobie sprawy z tego, że każdy z nich gada wierutne bzdury. Pokłócili się na zamku, na co mój pan zdobył świadków. Pewnie nie pierwszy raz i nie ostatni. Aż wreszcie pewnej kwietniowej nocy przenieśli awanturę na most. A reszta to już wiadomo. Oczywiście w działaniu restauratora była pewna premedytacja. Musiał sobie przygotować truciznę, którą uraczył swoją ofiarę. Sposób jej podania

nie nastęczał mu problemów. Wcisnął śmiercionośne świństwo Habsburgowi do żarcia, ten chapsnął podane mu danie i tyle go widzieli na tym świecie. Łatwizna.

Tylko ten nieszczęsny koralik.

Musiał się zerwać z łańcuszka w trakcie bójki. A morderca wziął sobie trofeum na pamiątkę, zamiast natychmiast wyrzucić do rzeki i zatrzeć ślady. No i teraz miał się z pyszna.

Jakby sobie poczytał kryminały, zamiast męczyć się z tymi wszystkimi mądrymi rozprawami, esejami czy innymi nudziarstwami, jak ci tutaj u Kornela, toby wiedział, że nie należy igrać ze swoim ego i zabierać fantów z miejsca zbrodni, choćby nie wiem jak rączki świerzbiły. Bo prędzej czy później jakiś wścibiśki policjant czy detektyw cię prześwietli. I resztę życia spędzisz na oglądaniu chmur zza krat.

Który gatunek literacki się więc najbardziej oplaca czytać? Sami sobie odpowiedzcie na to pytanie. Dla Jiříego Krásnohorský'ego było już w tym względzie za późno. Mądry Czech po szkodzie, można by rzec. Jeszcze pozostawało mu się łudzić, że w więziennej bibliotece mają spory zapas sensacyjnych lektur.

A to dlatego, że Kordel i Žrankova właśnie uradzili, że warto by było aresztować właściciela baru.

Bardzo byłem ciekaw, gdzie go planują przetrzymywać. Czyżby w komendzie były jakieś lochy, które zamierzali zaludnić? Przecież ten ich areszt był już okupowany przez znaczną część cieszyńskiej populacji. Wszystko przez to, że nasi policjanci byli niezwykle podejrzliwi. Nie wierzyli nikomu, nie ufali nawet sobie samym. No i teraz przez ten swój felfelny charakter mieli problemy mieszkaniowe.

Ja się tym przejmować nie zamierzałem. W zamian udałem się na rekonosans kawiarni. Zszedłem na parter. Nikt nie zauważył mojego zniknięcia. Zakradłem się za regał z reportażami i oznaczyłem jego róg jednym szybkim sikiem. Żebym wiedział, że tę lekturę mam już (w pewnym sensie) zaliczoną.

Jestem jak Herkules Poirot albo panna Marple – z wyglądu niepozorny, przez człowieki niezauważany albo lekceważony. Nikt się nie spodziewa, że tak naprawdę światowej (a przynajmniej chorzowskiej) klasy ze mnie prywatny detektyw, który rozwiązuje najbardziej skomplikowane zagadki kryminalne. Ludzie paplają więc w mojej obecności, co im ślina na język przyniesie, i nie przyjdzie im nawet do głowy, że ja to mogę wykorzystać przeciwko nim.

Jak na przykład ten kelner i barmanka. Stali sobie za kontuarem i nadawali jak przekupy na targu. Ja tymczasem zakradłem się tuż obok i capnąłem bananową muffinkę, która tym łamagom spadła na podłogę. Zająłem się jej utylizacją, a jednocześnie wyprostowałem lewe ucho, by lepiej słyszeć (prawe wciąż pozostawało w formie haczyka).

– Znowu tu był! – mówiła barmanka. – I sprawdzał!

– Co sprawdzał, proszę ja ciebie? – zapytał kelner, choć od razu było widać, że w ogóle nie jest zainteresowany.

Przeliczył napiwki, które udało mu się zgarnąć tego popołudnia. I nie był zadowolony. Wśród monet, które dobył z kieszeni, miał też listek miętowej gumy do żucia oraz guzik. Nie wiem, dlaczego się mazał. Chyba nigdy nie oglądał serialu o MacGyverze. Gdyby nadrobił zaległości w klasycie telewizyjnej, toby wiedział, że nigdy nie wiadomo, co się człowiekowi przyda i z czego, znalazłszy się w newralgicznej sytuacji, można by sobie zbudować helikopter i zwać przed wrogiem.

– Czy sprzedajemy wydrukowane przez niego książki! On ma nierówno pod sufitem! – postawiła diagnozę barmanka. – I jeszcze na mnie nakrzyczał! Bo nic nie znalazł. A czy to moja wina, że on same badziewia przyjmuje? Kornel i Wiśka by mu na pewno nie powierzyli druku swoich książek. On to na stówę same kryminały ma na składzie!

Następna...

– Nerwowy jest, proszę ja ciebie – zgodził się kelner. Z rezygnacją odpakował podarowaną mu gumę i wetknął ją sobie do ust. Po czym, mlaskając, kontynuował wypowiedź: – A pamiętasz, jak się awanturował z tym, co go na moście znaleźli? Z tym Habsburgiem?

– Nie. – Barmanka pokręciła głową, a ja z przykrością stwierdziłem, że już zmlóciłem całą muffinkę. – Coś tam o tym słyszałam, ale ja wtedy nie miałam zmiany.

– Oho! – Kelner z miejsca się rozochocił. – Proszę ja ciebie! – huknął, a ja się zastanowiłem, dlaczego ten młody człowiek ma taki dziaderski sposób mówienia. Może to współczesne hipsterstwo przejęło także sposób wypowiadania się własnych wujów. – Poszło o jakąś książkę, którą napisał ten Habsburg! Wysłał maszynopis do drukarni Heczki, a ten go akurat przeczytał i się wściekł. Szukał go po całym mieście i wreszcie trafił do nas. Pamiętam jak dzisiaj. Robiłem na drugiej zmianie, niedługo mieliśmy zamykać. Gustaw siedział o tam! – Wskazał na fotele stojące na lewo od nas. – Jadł jabłecznik, proszę ja ciebie. – Kelner miał dobrą pamięć. – Z bitą śmietaną. I Heczko mu tę bitą śmietaną umieścił na twarzy – emocjonował się mężczyzna. – Wyrwał mu talerzyk z ciastem i jak na dumnym amerykańskim filmie pacnął mu nim prosto w nos! – No, kolego, hola, hola! Ja bym się na twoim miejscu tak pochopnie i niepochlebnie nie wyrażał na temat moich ulubionych jankeskich produkcji kinematograficznych. Czy już nie wspominałem o korzyściach płynących z oglądania MacGyvera?

– No co ty? – rzekła na to z wrodzoną chyba flegmą barmanka.

– Ci mówię, proszę ja ciebie!

– A o czym ta książka była, że się tak Heczce nie spodobała? – Kobieta jednak słuchała kolegi.

– O jego żonie! – oznajmił kelner. – Ona wcześniej była partnerką Habsburga. A potem go rzuciła, czy coś! I ten tego nigdy nie przeboleał. I ją ob smarował w tej swojej pseudoliterackiej szmirze. A potem jeszcze dał ją do wydrukowania samemu Heczce. Podobno coś tam było na temat jej seksualnych upodobań. Niestandardowych.

– Proszę ja ciebie... – mruknęła na to barmanka z uznaniem.

– Niby zmienił personalia bohaterki, ale od razu było wiadomo, o kim mowa.

– A ty skąd wiesz?

Też bym się chętnie dowiedział, jakim cudem pan Proszę Ja Ciebie taki doinformowany.

– A bo wtedy Habsburg, gdy już był taki cały brudny z tego ciasta i śmietany, chyba uznał, że nie ma za wiele do stracenia. Wkurzył się na maksa. Wlazł na antresolę. Wyjął telefon. Pogrzebał w nim przez chwilę. Cisza się tu zrobiła jak nigdy. Wszyscy się na niego gapili. Łącznie z Heczką. I w tym telefonie Gustaw znalazł tekst tej swojej książki. I zaczął odczytywać całe fragmenty jak z ambony. Wtedy to Heczko już w ogóle wścieku dostał, bo te kalumnie słyszeli też inni. A wiesz, jak to u nas jest. Do jednego coś ciekawego dotrze, zaraz pół miasta o tym wie. Byłoby się skończyło bijatyką i wzywaniem glin, proszę ja ciebie.

– Ale?

– Ale już naprawdę musieliśmy zamykać. Więc ich wszystkich wykopałem na ulicę, zatrzasnąłem drzwi i dalej nie mam pojęcia, co się z nimi działo.

– A to dopiero – usłyszałem nowy głos w dyskusji.

Należał do Róży Solańskiej z domu Kwiatkowskiej, która uporała się już ze swoim kawałkiem sernika i przyszła po repete.

A w zamian usłyszała interesującą, kryminogenną historię...



– Zamknij go u siebie – nalegał starszy aspirant Lucjan Kordel, świdrując Liduškę wzrokiem, który jej się nie podobał. Oj, nie! – Ja już mam przepełniony areszt. Poza tym to Czech, więc właściwie logiczne, że powinien zostać przyskrzyniony przez was.

– Ty i ta twoja logika! – sarknęła Žrankova. I coś się Lucjanowi wydawało, że tym swoim sarkazmem wcale nie odnosi się do sytuacji kryminalnej. Oj, nie! – Nie za dużo już mamy tych podejrzanych? – chciała wiedzieć.

– Lepszy nadmiar niż niedobór – stwierdził i przestąpił z nogi na nogę. – Słuchaj... – zaczął, ale urwał.

Dlaczego ta kobieta wprawiała go w tak nerwowe stany? Przecież minęło tyle czasu! Dawno już się z niej wyleczył! Ostatnia noc... nie miała prawa się wydarzyć! Był żonaty. Miał dziecko. Normalne życie. Takie, o jakim zawsze marzył. A przynajmniej mu się wydawało, że takie były jego pragnienia. Choć czasem – zwłaszcza wtedy, gdy szedł na samotnego drinka po robocie, w chwilach bezwzględnej szczerości wobec siebie – przychodziło mu do głowy, że to, jak potoczyło się jego życie, nie było wynikiem jego prawdziwych oczekiwań. Tylko tych, które przenieśli na niego rodzice. I społeczeństwo w ogóle. A on się poddał kieratowi, bo przecież każdy tak robił. Każdy, tylko nie Liduška!

Wkurzała go ta kobieta! Oj, tak! No bo jak można było być aż tak bezkompromisowym? Mieć w dupie to, co pomyślą sobie inni? Żyć wbrew zasadom i krzywym spojrzeniom sąsiadów? Pełnym politowania. Bo to właśnie było to – znajomi żalowali policjantki, sądząc, że tej niemal czterdziestolatce życie się nie ułożyło. Bo była samotna. I zarzynała się każdego dnia w pracy. A nikt nie pomyślał, że to jest właśnie to, co Liduška przynosi szczęście.

Oj, nie! Zdecydowanie Lucjan powinien zacząć zastanawiać się nad czymś innym niż własne uczucia! Zanim nie dojdzie do wniosków, które zburzą jego święty spokój. Tylko czy on naprawdę miał święty spokój? Dobrze wiedział, że nie.

– To jak będzie? – zapytał.

Już sam nie wiedział o co.

Policjantka wzruszyła ramionami i zaczęła zbierać swoje rzeczy z biurka. W jej gabinecie, w którym odbyli krótką naradę już bez pary tych dziwnych detektywów, było duszno. Co dziwne, bo w ramach oszczędności kaloryfery działały na pół gwizdka. Lucjan poczuł uderzenie gorąca i zobaczył, że twarz koleżanki pokryła się rumieńcem. Powinni otworzyć okno. Jak najszerszej!

A najlepiej stąd wyjść.

– Pójdę już – powiedziała policjantka i zrobiła krok w bok, by wyminąć Lucjana.

Jednak w tym momencie Kordel przesunął się w tym samym kierunku i zagroził jej przejście. Wcałe nieintencjonalnie!

– Co jest?! – obruszyła się Liduška, ale wyszło jej to dość niemrawo.

Aspirant dalej stał w miejscu i się nie ruszał. Gapił się na nią intensywnie. Milczał. Czyżby rzeczywiście zobaczył napływające do oczu policjantki łzy?

– Zejdź mi z drogi – warknęła przez zaciśnięte zęby i ruszyła w drugą stronę.

– Liduška... – Kordel pochwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie. – Posłuchaj...

Kobieta się nie odsunęła.

– Nie! – powiedziała stanowczo, opanowując wcześniejsze emocje. – To ty posłuchaj – mówiła z pozoru całkiem spokojnie. – To ty mnie zostawiłeś – cedziła. – To ty zdecydowałeś się na tę swoją życiową stabilizację. I ją masz. Więc teraz nie wyjeżdżaj mi tu z jakimiś sentymentami. Ja sobie radzę znakomicie. I nie potrzebuję twojej łaski! – podniosła jednak wbrew wcześniejszym zamierzeniom głos.

Aspirant zwolnił uścisk. Skorzystała z tej nagle odzyskanej wolności skwapliwie i doskoczyła do drzwi.

– A nie pomyślałaś – rzucił za nią – że to ja potrzebuję twojej łaski? – Lucjan przemawiał cicho, niemal szeptem. – Że ja wiem, że popełniłem błąd. Że żałuję. I że chciałbym... – urwał. – Chciałbym... – powtórzył. Sam nie wiedział, co w niego wstąpiło. Co on wygadywał?

Liduška odwróciła się na pięcie.

– Przykro mi – powiedziała. – Lucjan. Odszedłeś. I nic tego nie zmieni. Drugiej szansy nie będzie.



Liduška wyszła na korytarz, zostawiając Lucjana Kordela we własnym gabinecie. Zbiegła po dwa stopnie na parter, wpadła na parking i do swojej

skody. Do Ostravara dojechała zbyt szybko i wbrew przepisom. Ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że przed wejściem do baru czai się ten chudy polski detektyw. I jego żona. Oraz pies. W normalnych okolicznościach przepędziłaby cywilów. Jednak dzisiaj mogli jej się przydać.

– Ani słowa – ostrzegła parę, która już deptała jej po piętach, gdy wchodziła do knajpy.

Policjantka poczuła mdłości, gdy za progiem uderzył ją zapach starego oleju. Nie był pewnie wymieniany od minionego sezonu letniego.

– Jiří Krásnohorský? – zapytała spoconego faceta nalewającego piwo do kufla. – Jest pan zatrzymany pod zarzutem zamordowania Gustava von Habsburga – kontynuowała, nie czekając na odpowiedź restauratora. – Pójdzie pan ze mną z własnej woli, czy mam panu założyć bransoletki? Podobno lubi pan biżuterię...

Właściciel lokalu tkwił przez dłuższą chwilę bez ruchu. Otrzeźwiło go dopiero piwo przelewające się przez brzegi kufla. Jurek odłożył naczynie. Ręce wytarł w przewieszoną przez ramię ścierkę. I dopiero wtedy zwrócił się do policjantki.

– I ty, Czeszka, przeciwko mnie, krajanowi?! – dopytał. – Prezydent Masaryk się w grobie przewraca! – rzekł.

– Idziesz pan po dobroci, czy nie? – Funkcjonariuszka straciła cierpliwość.

Bardziej poczuła też, niż zobaczyła, że tuż za jej plecami stoi wsparcie w postaci małżeństwa Solańskich. A i ich może niewysoki i stary, ale jednak pełen wigoru pies nie był bez znaczenia. Ugryź w łydkę napastnika zawsze mógł...

Jiří Krásnohorský został zatrzymany. Choć do skody wszedł dobrowolnie, nie można było tej akcji nazwać w pełni satysfakcjonującą. A to z tego względu, że przez całą drogę do komisariatu restaurator wznosił przez uchylone okno narodowościowe okrzyki. Pokusił się też, ku zgrozie Liduški, o odśpiewanie hymnu państwowego.

Kobieta miała dość. Ten dzień przyniósł jej stanowczo zbyt dużo wrażeń.
Złoto za nudę!



– Damy to na jedynekę – powiedziała Róża Solańska i przyjrzała się twarzom członków swojego dziennikarskiego zespołu.

Ujrzała w nich w najlepszym razie pustkę. Ta banda wciąż jej nie wybaczyła, że to ona otrzymała kierownicze stanowisko. Mimo że przyszła z zewnątrz. A oni tu tkwili od zarania dziejów. To oni znali miasto. Jego specyfikę. Problemy tutejszej Polonii. Mieli kontakty. A ten stary pryk, Wacław Linert, właściciel gazety, i tak sprowadził tę grubokościstą Ślązaczkę, która w Cieszynie była dotąd całe dwa razy. Jeszcze żeby „Głos Polaków” pod jej batutą obniżył loty, jego sprzedaż zanurkowała, a reklamodawcy się odwrócili, może grzech, który popełniła Solańska, przyjeżdżając do Czeskiego Cieszyna, zostałby jej wybaczone. Ale nie. Poczytność tygodnika poszybowała! Polonia rzuciła się na tego dotąd szmatławca, jakby Internetu nie miała w komórkach. Lokalne firmy biły się o to, by móc się zareklamować na łamach gazety. Czytelnicy ślali listy pochwalne do redakcji. Jednym słowem: sukces. A tego już Róży koledzy po fachu odpuścić nie mogli.

Dlatego teraz pan Krzysiu i pani Wiola gapili się w przestrzeń, zamiast wziąć się do roboty. Kwiatkowska miała ich już po kokardę.

– Skupcie się! – zażądała.

Zero reakcji.

– Radek! – wywołała łysawego trzydziestopięciolatka, który wyglądał na pięćdziesiąt trzy wiosny. – Ty się tym zajmiesz.

– A czemu nie ty? – odpyskował mężczyzna.

O, ho, ho! Tego jeszcze nie było, żeby tak jawnie podważali jej kompetencje. W Róży się zagotowało. Policzki zaczęły ją palić. Poczowała, że drżą jej dłonie. Musiała jednak zachować profesjonalizm. Za wszelką cenę.

– Ponieważ ja w tym śledztwie pomagam. I policja nie byłaby zachwycona, gdybym przekazała ich ustalenia opinii publicznej – wyjaśniła. – Dla-

tego ty to napiszesz, a ja ci w miarę możliwości dostarczę materiałów.

– Sam sobie dostarczę – burknął Radek i przejechał dłonią po łysinie.

Solańska uznała, że kryzys chwilowo został zażegnany. Popatrzyła przez okno. Wszechogarniająca miasto szarzyzna nie poprawiała humoru. Róża zastanawiała się, czy to rzeczywiście jest już koniec tej sprawy. Czy jedna z osadzonych w areszcie osób zabiła Gustawa von Habsburga. Nagle w jednej chwili poczuła uderzenie tęsknoty za domem. Czyżby nadszedł już czas, by wrócić do Chorzowa? Sprawa morderstwa rozwiązana. W tej tymczasowej przecież pracy zrobiła, co mogła, a nie czuła się w niej mile widziana. Potrzebowała oddechu. Zmiany otoczenia. A na razie kawy.

Sięgnęła po swój zawsze stojący przy komputerze kubek z logo jej kanału na YouTube *Kolcem między oczy* i podstawiła go bezwiednie pod dyszę ekspresu do kawy. Wetknęła doń kapsułkę i nacisnęła przycisk. Z gotowym napojem zasiadła przy laptopie i wciąż zamyślona zaczęła przeglądać propozycje tematów do nowego numeru. Łyknęła napoju.

I zaplula sobie cały monitor brązową fontanną.

– Fuj! – wydarła się, wycierając usta rękawem bluzy. – Co w tym jest?!

W życiu nie piła niczego tak obrzydliwego! Czyżby kawa była zleżała? Albo zagnieździło się coś w ekspresie i przesiąknęło do napoju? Albo... Tu na chwilę zamarła, przyglądając się współpracownikom. Dwie osoby z obojętnymi minami wpatrywały się w swoje komputery. Radek zaś i jeszcze niejaka Kaśka z trudem powstrzymywali śmiech.

Tego było już za wiele! Dosypali jej czegoś do kubka! Nie chciała wiedzieć czego. Róża poczuła, że jeśli spędzi w tym pomieszczeniu z tymi ludźmi jeszcze choćby minutę, najpewniej się rozplacze. A takiej satysfakcji tym draniom dać nie zamierzała. Bez słowa wstała od biurka, włożyła płaszcz, przez ramię przerzuciła sobie torbę z zamiarem wyjścia na świeże powietrze.

W progu jednak zderzyła się z jakimś obdartusem prącym do środka niczym taran. W nozdrzach poczuła kwaśny zapach potu i zleżalego brudu.

– Mundek? – zapytała Róża.

– Mundek to mój szczur! – obruszył się chłopak, którego Kwiatkowska wreszcie rozpoznała.

To był ich znajomy ze studni Trzech Braci. Tadek. Właściciel dość osobliwego zwierzątka domowego. Choć chyba nie można było tak nazywać gryzonia, skoro nawet jego opiekun nie miał dachu nad głową.

– Przypomniało mi się coś – powiedział. – A mówiłaś, że jakby mi się przypomniało, to żebym się skontaktował. No to się kontaktuję.

– Idziemy na kawę? – zapytała Kwiatkowska i zgrzytnęła zębami ze złości.

Uczucie żalu wobec kolegów z pracy za okrutny dowcip (kolejny!), który sobie urządzili jej kosztem, błyskawicznie zmieniło się we wściekłość.

Poprowadziła swojego znajomego na polską stronę miasta. Tadek zapierał się przed wejściem do wnętrza jakiegokolwiek lokalu, słusznie zapewne przewidując, że zostanie wyproszony ze względu na walory zapachowe, jakie wokół siebie roztaczał.

– Bez dyskusji! – zarządziła jednak Solańska, a jej towarzysz musiał usłyszeć w jej głosie nutę, która nie pozostawiała wątpliwości, że dzisiaj się z Różą Solańską nie dyskutuje. Dzisiaj spełnia się jej prośby.

Zaciągnęła go na Rynek i pewnym krokiem weszła do restauracji, która mieściła się pod numerem dziewiętnastym w kamienicy Konczakowskich. Lokal był z tych bardziej ekskluzywnych, z większą szansą, że ktoś ich będzie próbował eksmitować. Nakręcona przez współpracowników Róża wręcz paliła się do awantury. Już sobie układała w głowie, co powie i jak odparuje na ewentualną zaczepkę.

W środku panowały pustki. Kwiatkowska i Tadek zasiedli za stołem przy oknie wychodzącym na centralny plac w mieście.

– Nie masz przypadkiem ze sobą... – Róża urwała, przyglądając się towarzyszowi.

– Pewnie, że mam – padło zapewnienie. – A gdzie miałbym go zostawić? Ale bez obaw, nie wyjdzie, jeśli mu nie pozwolę.

Róża się usztywniła. Wolą nie dociekać, skąd szczur Mundek nie wyjdzie. Pewnie z jakiejś wewnętrznej kieszeni kurtki chłopaka. Z zaplecza wyszedł za to kelner i bez słowa położył przed nimi menu, po czym znów zniknął. „Oho – pomyślała Kwiatkowska – zaraz się pewnie zacznie”. Już ani żadnego „dzień dobry”, ani „czym mogę służyć”. Nie podobają się panu szlachcie goście!

Przejrzała kartę, ale nie mogła się skupić na spisie tych wszystkich dań, których serwowano tu zdecydowanie zbyt wiele. Kwiatkowska doskonale wiedziała, że dobra knajpa to taka, która ma krótkie menu. A nie milion odgrzewanych kotletów!

– Co mogę podać? – zapytał kelner, znów zjawiając się niczym duch nad ich głowami.

Solańska przyjrzała mu się uważnie. Czyżby naprawdę nie miał żadnego komentarza na podorędziu? Podejrzane... Ponieważ jej towarzysz wydawał się zagubiony, Kwiatkowska wzięła kwestię zamawiania w swoje ręce.

– Zupę dnia, a na drugie naleśniki. Razy dwa – zaordynowała. Dodała do tego jeszcze po kawie i ze zdziwieniem obserwowała oddalającego się do kuchni kelnera. – No to o czym chciałeś pogadać? – przeszła do meritum.

– Bo mnie się przypomniało – oznajmił Tadek. I zamilkł. Podrapał się po nieświeżej czuprynie. Róża zatęskniła za może i lodowatym, ale niezanieczyszczonym powietrzem na dworze. – Że ja coś widziałem.

Zanim zdołał wydusić z siebie nieco więcej, wrócił kelner i postawił przed nimi napoje, po czym znowu się ulotnił.

– Co i kiedy? – Solańska przeszła do konkretów.

– Żonę drukarza w noc śmierci Habsburga – powiedział po prostu chłopak.

– Co? Dlaczego? – jąkała się Róża, jednocześnie dmuchając na parującą kawę.

– Nie powiedziałem nic wcześniej, bo zapomniałem – usprawiedliwił się. – Lubię sobie czasem powąchać klej. Albo zapalić to i owo. Pamięć mnie zawodzi, a i zdarzają mi się omamy. Więc dopiero gdy ostatnio mia-

łem ten wypadek... Gdy mnie ktoś w głowę uderzył, to potem jakby otrzeźwiałem. Szczegóły do mnie wróciły. Poza tym ja się boję obcych. Nie znamę od nich zbyt wiele dobrego. Zrozumiałem, że tobie i detektywowi mogę zaufać. Po tym, gdy mnie ratowaliście ostatnio na wzgórzu.

Już nad talerzem pomidorowej z ryżem dziennikarka dowiedziała się, że w noc, podczas której został zamordowany Gustaw von Habsburg, a potem porzucony na granicy polsko-czeskiej, Tadek szwendał się po Górze Zamkowej. Nie spał, bo była pełnia. Zimno się zrobiło, ale do noclegowni nie mógł pójść z dwóch powodów. Po pierwsze, wypił sobie co nieco, a tego tam nie lubili. Po drugie zaś, opiekunowie już mieli na niego oko, ponieważ kilka razy udało mu się przemyścić pod dach Mundka. Nie byli tym zachwyceni i nie zamierzali dopuścić do powtórki. Poszedł więc na wzgórze, zasiadł na ławeczce przy punkcie widokowym i w końcu mu się zasnęło. Obudziło go przeraźliwe zimno i Mundek liżący go po twarzy. Uznał, że czas się zbierać. Wstał, rozprostowując kości. Z nieba zniknęły już nieprzeniknione ciemności, zamieniając się w gęstą szaróvkę zwiastującą nadchodzący poranek. Oparł się o kamienny murek, przechylił i tkwił tak w niewygodnej pozycji przez dłuższą chwilę.

– Szczerze mówiąc, pomyślałem wtedy, czyby nie skoczyć – wyznał Róży. – Męczące to moje życie. Mógłbym odpocząć. Tylko co zrobiłby beze mnie Mundek?

Zrezygnował zatem z radykalnych kroków i już miał zawrócić, by poszukać sobie jakiegoś śniadania, gdy coś mu w dole mignęło dziwnego. Coś, czego w tym miejscu nie powinno być.

– Pomarańczowy płaszcz – powiedział. – Długi, charakterystyczny. Raz w życiu taki widziałem. Na żonie tego naszego drukarza, gdy pewnej niedzieli przechadzali się z dziećmi nad Olzą. Zapamiętałem ją, bo rzuciła mi wtedy kilka banknotów. A ja wcale nie zbierałem! – zapewnił. – Po prostu sobie siedziałem na trawie i medytowałem.

Z relacji Tadeka wynikało, że na ramieniu Eliški, gdy tak szła przez most Przyjaźni, wspierał się ktoś jeszcze.

– Ledwie szedł. A potem nagle się osunął na ziemię, a ona go tak zostawiła.

Zawróciła do Czech, powiewając swoim ogniście pomarańczowym płaszczem.

– Jesteś pewny, że w tej szarzyźnie widziałeś właśnie ją? – dociekała Róża.

– A kto inny ma takie wdzianko? Poruszała się ociężale, ale kto by nie miał problemów z takim wielkim chłopem wspartym na ramieniu?

Kwiatkowska też zwróciła kiedyś uwagę na oryginalny płaszcz Heczki. Trudno go było nie dostrzec.

– Ale! – wystraszyła się nagle dziennikarka. – Czy to znaczy, że ostatnio na wzgórzu tym kimś, kto cię uderzył, kto próbował cię uciszyć, była właśnie Eliška? – zapytała, a potem przypomniała sobie, że przecież widziała kobietę wraz z mężem na balu zorganizowanym na zamku.

Wszystko składało się w spójną całość.

Chłopak ze szczurem skończył jeść i poszedł do toalety. Róża podrygiwała rytmicznie nogą pod stołem, przykazując sobie, by zapytać towarzysza, gdzie go znajdzie w najbliższym czasie. Chłopak będzie przecież musiał złożyć oficjalne zeznania na komendzie. Kwiatkowska zaczęła się coraz bardziej ekscytować. Chciała już teraz zadzwonić do Szymona i przekazać mu wieści. Do Lucjana i Liduški też! Najpierw jednak musiała umówić się z Tadkiem na kolejne, oficjalne już spotkanie. Jednak ten wciąż nie wracał z toalety. Nagle Różę tknęło złe przeczucie. Wstała od stołu i pędem ruszyła do wuce. Męska kabina była pusta. Damska zresztą też. Wróciła do sali jadalnej i okręciła się wokół własnej osi.

– Kelner! – zawołała.

Po dłuższej chwili z zaplecza wyłonił się znajomy mężczyzna.

– Nie widział pan mojego towarzysza? – zapytała.

– Wyszedł – padła odpowiedź. – Od podwórka. – Wskazał ręką na prowadzące na tyły lokalu przejście.

Solańska ruszyła we wskazanym kierunku. Przypomniała sobie jednak, że nie zapłaciła jeszcze za jedzenie. Zawróciła. Wygrzebała z torebki i zostawiła na stole kilka banknotów. I pobięła trasę, którą przed chwilą przebył chłopak ze szczurem. Jak się jednak mogła spodziewać, nigdzie w zasięgu wzroku już go nie było.

ROZDZIAŁ 10

*Otóż uważają swój kraj za piękny,
a państwo ten pogląd oficjalnie zatwierdziło^[43].*

Policja polska oraz czeska zostały postawione na nogi. A ja na łapy. Tego nieprzemyślanego działania dokonała Róża Solańska, większości społeczeństwa znana pod nazwiskiem Kwiatkowska.

– To Eliška! – darła się dziennikarka do telefonu, po drugiej stronie linii mając Lucjana Kordela.

Najpierw zawiadomiła o swoim odkryciu Solańskiego i mnie. A tak mi się dobrze spało! Przekonany byłem poza tym, że wszyscy potencjalni mordercy i morderczynie już dawno siedzą w cieszyńskim areszcie. Po co więc było dokładać im jeszcze jedną sztukę? Potem zaczną narzekać na warunki mieszkaniowe, ciasnotę mikroapartamentów, patodeweloperkę i pozwą państwo polskie o odszkodowanie za niegodne traktowanie za kratami. Lepiej więc było już dać spokój.

Ale Róża upierała się przy swoim.

Zwlekliśmy się więc z Solańskim z wyra i pognaliśmy na cieszyński Rynek. Tam już cała w nerwach czekała na nas ta stara awanturnica.

– To co, dzwonimy? – upewniła się, opowiedziawszy nam wcześniej przebieg swojej rozmowy z tym Tadkiem, co trzyma za pazuchą szczura. Żeby psa trzymał, zrozumiałbym. Większym szaleńcem byłby tylko wtedy, gdyby do tej wewnętrznej kieszeni wcisnął sobie kocimocza.

No i zadzwoniła.

Starszy aspirant najpierw nie chciał jej uwierzyć. Potem próbował się rozłączyć, ale powstrzymała go rzucanymi pod jego adresem dość głośno

pogrózkami. Wreszcie zgodził się z nami spotkać. Czeska policjantka nie miała takich obiekcji. Już po kwadransie trzaskała drzwiami swojej, bliźniaczo podobnej do naszej, fabii combi i bieżyła ku nam.

– Ja już nie mam więcej miejsca w ciupie! – Tymi słowy przywitał nas Lucjan Kordel.

Stróże prawa upewnili się, że Róża pojęcia nie ma, gdzie mógł się podziać potencjalny świadek morderstwa, po czym każde z nich na własny rachunek zabrało się do telefonowania i wydawania dyspozycji poszukiwawczych swoim ludziom. Nie chciałbym być złym prorokiem dla Tádka i Mundka, którzy najwyraźniej chcieliby mieć święty spokój i zero kontaktów z przedstawicielami władz, ale raczej prędzej niż później trafią oni, moim zdaniem, w ręce tychże. Cieszyn to, jak już zostało powiedziane, nie stolica. Potencjalnych kryjówek nie było tu zbyt wiele.

– Jedziemy moim – zdecydowała policjantka.

O tym, że skoda fabia combi jest pojemnym samochodem, przekonałem się już dawno. Solański przewiózł nią jakąś tonę cementu i innych budowlanych badziewi niezbędnych do remontu naszych mieszkań na 11 Listopada w Chorzowie. Dlatego w ogóle mnie nie zdziwiło, że tak elegancko się wszyscy w piątkę zmieściliśmy w wozie Žrankovej. Ulokowałem się na środku tylnego siedzenia, skąd miałem doskonały widok. Widziałem więc mijane cieszyńskie magnolie, które porastały to miasto jak jaka pokrzywa, bez specjalnych wysiłków wkładanych przez mieszkańców. Widziałem ludzi umykających niemal spod kół wozu naszej twardej policjantki. Widziałem też wody Olzy połyskujące w dole, gdy przejechaliśmy przez ten przekłety most, przerzucony wcale nie nad żadną skandynawską cieśniną.

Pod drukarnią Heczki zatrzymaliśmy się z piskiem opon. Wskoczyliśmy z auta i skierowaliśmy się ku bramie prowadzącej do części mieszkalnej budynku.

– Matěj powinien być w pracy – wymamrotał Lucjan. – Możemy więc spokojnie wchodzić.

Zostało to nam jednak oszczędzone, ponieważ brama się rozwarła i wychynęła z niej Eliška Heczkova we własnej osobie. Na nasz widok przysta-

nęła. Nie wyglądała jednak na przerażoną. Raczej na zaintrygowaną.

– Państwo do mnie? – zainteresowała się. – Szłam właśnie na zakupy, ale zapraszam. – Machnęła ręką w kierunku kamienicy.

Widziałem kątem oka, że Kordel już się rozpędził, by wyciągać w jej kierunku kajdanki, już ją zatrzymywać i odczytywać prawo do zachowania milczenia, czy co tam jeszcze zobaczył w serialach typu kryminalnego. Jednak Liduška go powstrzymała. Zagapiła się na żonę drukarza. Co i ja uczyniłem.

Rzeczywiście wyglądała oryginalnie. Na stopach miała buty na obcasie, dalej rajstopy i elegancką, rozkloszowaną sukienkę. Na to zaś narzuciła coś, czego nie można było nazwać inaczej niż kufają. Doprawdy mało wyjściową.

– Och, chciałam szybko wyskoczyć na targ. – Heczkova dobrze zinterpretowała zaintrygowany wzrok policjantki. – Nie mogę nigdzie znaleźć swojego płaszcza. Dziwna sprawa, swoją drogą. A najbardziej go lubię. Nie zajmujecie się takimi przypadkami? – zapytała ze śmiechem. – „Sprawa zaginionego płaszcza”. To nawet brzmi jak tytuł jakiejś powieści kryminalnej – rozgadała się. – Chodźcie, chodźcie, zaparzę wam herbatę. Wiadomo coś nowego w kwestii Gustawa? Słyszałam, że zatrzymaliście Jurka.

Więści roznosiły się po mieście błyskawicznie i transgranicznie. Wystarczyło, by ktoś kichnął w okolicach dworca kolejowego w polskim Cieszynie, a na przeziębienie zapadał inny jegomość, który akurat w tym czasie znalazł się na stacji w Cieszynie, tyle że czeskim. Tak to mniej więcej funkcjonowało.

Heczkova już rozstawiała kubki na blacie w swojej kuchni, więc posłusznie weszliśmy za nią do domu. Rodzina drukarza zajmowała całą kamienicę, w rezultacie mieli do swojej dyspozycji kilkupiętrowy apartament, zaprojektowany pewnie przez jakiegoś sprytnego architekta wewnątrz. To prawie tak jak my na Cwajce. Tyle że nasi budowlańcy byli mniej sprytni, bo gdy tylko zabrali się do roboty, o mało nie zawalił się cały familok. Jedynie dzięki interwencji Łodzi Solańskiej i Barbary Kwiatkowskiej mieliśmy teraz gdzie mieszkać. Bo takich trzech heks, jak to u nas mówią na przebo-

jowe niewiasty, jak one dwie, to nie ma ani jednej. Budowlańcy szybko to zrozumieli i woleli dokończyć robotę, niż dłużej musieć się narażać na konfrontację ze starszymi paniami.

Po drodze z przedpokoju do kuchni minęliśmy salon, w którym królował telewizor zajmujący pół ściany, a obok niego półeczki z kompletem płyt DVD. Dojrzałem kilka kryminalnych tytułów produkcji skandynawskiej. W kuchni każdy dostał po kubku herbaty, tylko nie ja. Nie żebym przepadał za napojem nie bez powodu zwanym przez niektórych „siki świętej Weroniki”, ale w ramach gościnności drukarzowa mogła mnie poczęstować chociaż pętem kiełbasy śląskiej. Niektórzy jednak nie mają manier...

– A tego płaszcz to od dawna już pani nie ma? – zapytał Lucjan i siorbnął sobie zdrowo.

– Wie pan, jakby się tak zastanowić, to już parę dni będzie. – Heczkova oparła się o blat kuchenny i zagapiła w sufit, jakby na nim miała znaleźć odpowiedzi na wszystkie dręczące ją kwestie. – A dlaczego pan pyta?

Wśród naszej delegacji zapadła cisza. Pewnie się mądre głowy zastanawiały, czy Eliška nie robi ich w wała i tylko udaje, że zgubiła swój mantel, jak to u nas na Śląsku mówimy. Może przypuszczała, że ktoś ją jednak zauważył na moście i teraz próbowała odsunąć od siebie podejrzenia.

– To ja tu zadaję pytania. – Kordel przybrał grobową minę.

Heczkova przez chwilę przypatrywała się policjantowi w milczeniu.

– Skoro tak bardzo jest pan zainteresowany stanem mojej garderoby, to zazwyczaj wieszam płaszcz tutaj – powiedziała i wyszła z kuchni.

A my za nią, tłocząc się w wąskim korytarzu. Gospodyni otworzyła szafę wbudowaną we wnękę w przedpokoju, a naszym oczom ukazał się rząd wieszaków, na których zwisało pełno ubrań.

W tym wściekle pomarańczowy płaszcz.

– Ale jak to? – zapytała Eliška, wybałuszając oczy. – Przysięgam, że jeszcze dzisiaj rano go tu nie było!

Nie jestem dyplomowanym ekspertem w dziedzinie mowy ciała oraz odczytywania mimiki, ale moim zdaniem jej zdziwienie wyglądało na nieuda-

wane. Przecież była aktorką, możliwe że całkiem niezłą, być może więc da-
wałem się robić w jajo. Już sam nie wiedziałem, co o tym wszystkim my-
śleć. A musicie wiedzieć, że zazwyczaj mam opinię na każdy temat i nie
waham się jej wyrazić. Choć na daremno, bo ludzina i tak niczego nie
kuma. Taki żywot.

– Pójdzie pani z nami – oznajmiła Liduška.

– Ale po co? – wystraszyła się Heczkova. – Dokąd?! Dlaczego?

– Mamy świadka – wtrącił się Solański – który widział, jak osoba ubrana
w płaszcz taki sam jak ten pani porzuca ciało Gustawa Habsburga na mo-
ście Przyjaźni.

Drukarzowa stała jako ten słup soli i widać było, że ciężko u niej w tej
chwili z rozkminą.

– To absurd! – powiedziała wreszcie. – Ja w tę noc, jak i w każdą inną
spałam! Nie zabiłam Gucia!

No jeszcze by tego brakowało.

– To się okaże. – Swoje trzy grosze dorzuciła też Róża.

Kordel zapakował płaszcz w wór na dowody, który przyniósł z samo-
chodu policjantki, a podejrzana wraz z czeską funkcjonariuszką już wsia-
dały do wozu. Ponieważ fabia nie jest jednak autobusem i ma swoje limity
pojemności, puściliśmy gliniarzy z aktorką przodem, a sami ruszyliśmy
w drogę do komendy pieszo. Tym razem mieliśmy się spotkać w komisaria-
cie w Czeskim Cieszynie, bo, jak już zostało powiedziane, ten po polskiej
stronie dawno wyglądał jak tramwaj numer sześć na trasie Bytom–Kato-
wice w poniedziałek o siódmej rano. Znaczy, nie można tam było szpilki
wcisnąć!



– Okazanie – mruknął Szymon Solański i włożył ręce do ciasnych kieszeni
swoich potarganych tu i ówdzie dzinsów. – Potrzebne będzie okazanie.
Niech się ten cały Mundek wypowie, czy to ją widział. Albo chociaż
płaszcz rozpozna.

– Mundek to szczur – poprawiła go Róża i też spróbowała wetknąć dłoń do kieszeni swoich spodni, ale okazało się to niemożliwe z przyczyn takich, że nikt już dzisiaj nie potrafi szyć wygodnych ubrań, tylko wszystko produkuje się za małe. Łącznie z kieszeniami! – A chłopak to Tadek.

– Jak zwał, tak zwał – burknął detektyw i ruszył w Polskę, zamiast w Czechy, jak zostało wcześniej ustalone.

– Dokąd? – chciała wiedzieć jego żona.

– Znajdę go. I przyprowadzę – obiecał. – A ty idź pilnuj tych gliniarzy na miejscu. Żeby nic nie namieszali. Cholera ich wie.

Solańska odmeldowała się i poszła w swoją stronę. Detektyw zaś oparł się o barierkę na moście Przyjaźni i zapatrzył w nurt Olzy. Gdzie też ten cholerny chłopak mógł się ukrywać? Wrócił myślami do ich pierwszego spotkania z ekscentrycznym mieszkańcem Cieszyna. I nagle wpadło mu coś do głowy.

Ruszył przez most niemal biegiem i zaraz potem skręcił w prawo w tutejszą „Wenecję”. Rozumiał, że Tadek bał się przedstawicieli władzy, jednak jego zeznanie mogło pomóc w ujęciu mordercy. Musiał być ostrożny. Nie mógł go przestraszyć. Wreszcie dotarł do stromych schodów prowadzących w górę w stronę centrum miasta. Wspiął się po nich, przeskakując po dwa. Po bokach wyrastały dopiero zaczynające się zielenić krzaki. Gdy zadarł głowę, ujrzał swój cel – pustostan, o którym chłopak wspomniał podczas ich pierwszego spotkania. A przynajmniej tak się Szymonowi wydawało, że chodzi o ten budynek. Architektoniczne straszdyło miało trzy piętra i powybijane niektóre okna. Solański zastanawiał się, czy w zamyśle miał to być hotel, czy może apartamentowiec. Tak czy tak, inwestor musiał przeszarżować pod względem finansowym i nic mu z planów nie wyszło.

Detektyw obejrzał graffiti zdobiące obdrapaną elewację budynku. Szarpnął metalową furtkę broniącą wejścia do środka. Była zamknięta na głucho. Wetknął więc czubek trampka w oko siatki i zgrabnym susem przesadził płot. Zeskoczył na beton, otrzepał ręce i rozejrzał się wokół siebie. Jakiś inspektor BHP z pewnością nie byłby zadowolony, widząc postronne osoby szwendające się po tym rumowisku. Bezpiecznie tu z pewnością nie było.

Szymon miał wrażenie, że w każdej chwili może mu spaść na głowę jakaś zblakana cegłówka czy metalowy pręt. Budynek był spory, miał wiele pomieszczeń czekających teraz na przeszukanie. Czuł jednak, że instynkt śledczego go nie zawodzi. Chłopak musiał się tu ukrywać. Odnalazł klatkę schodową i omijając porozwalany to tu, to tam gruz, wspiał się na pierwsze piętro. Przejście przez całą kondygnację i przejrzanie wszystkich wnęk zajęło mu więcej czasu, niż się spodziewał. Starał się nie robić hałasu, jednak już kilka razy potknął się o jakieś porzucone głazy czy belki stropowe i jeżeli ktoś był w budynku, spokojnie mógł go usłyszeć.

Dopiero gdy dotarł na ostatnie piętro, zauważył jakiś ruch na przeciwnym jego końcu.

– Tadek! Czekaj! – zawołał, porzucając kamuflaż. – Chcę tylko pogadać! – zapewnił i ruszył biegiem przed siebie. Dotarł do ściany i za jej rogiem dostrzegł drugą klatkę schodową. To tędy chłopak musiał uciec. – Jestem mężem Róży! – zawołał. – Nie chcę cię skrzywdzić! – powiedział i rzucił się biegiem w dół.

Gdy niemal już dotarł do drugiego piętra, dwie rzeczy wydarzyły się naraz. Najpierw Solański potknął się o porzucony na schodach worek po cemente. Chcąc złapać równowagę, podtrzymał się gołej ściany z pustaków. I nie zauważył, że w kierunku jego głowy leci sporych rozmiarów drąg.

A potem nastąpiła ciemność.



Róża i Gucio zawrócili z mostu Przyjaźni i już mieli ruszyć w górę ku torom kolejowym, a potem dalej przez Czeski Cieszyn, aż do komendy policji, gdy dziennikarce w oddali mignęła znajoma postać. Z drukarni wymykał się – bo inaczej nie można było nazwać tego skradania się, ostrożnego rozglądania na boki i co rusz odwracania przez ramię – Matěj Heczko!

Drukarnia znajdowała się w tym samym budynku co mieszkanie Heczków. Dzielili ją tylko ściana. Róża z miejsca więc nabrała podejrzeń, że drukarz uważnie śledził przebieg wizyty stróżów prawa i detektywów

u swojej żony. A teraz najwyraźniej próbował zwiać! Tylko dlaczego? Kwiatkowska poprzysięgła sobie nie spuścić z Matěja oka! Siądzie mu na ogonie i dowie się, co męczyczna knuje!

Ruszyła więc za nim ulicą Główną – bo i polska wersja nazwy pojawiała się na granatowych tablicach przywieszonych na przybrudzonych elewacjach zazwyczaj jednopiętrowych smutnych kamienic – starając się zachowywać bezpieczną odległość. Róża po raz setny przyglądała się tutejszym przybytkom handlowym. Minęli te wszystkie podupadłe sklepy z „oryginalnymi” alkoholami w „cenach hurtowych”, jak głośiły napisy na witrynach. Potem w nieco bardziej eleganckiej beżowej kamienicy klenotnictví, czyli jubilera, który, zdaniem Solańskiej, pewnie nie miał tu zbyt dużego utargu. Zaraz obok tkwił też Asia Obchod z towarami proveniencji azjatyckiej. Kolejny sklep nęcił przechodniów zapewnieniami, że znajdą w środku cenową bombę oraz duży „sortyment”, jak nie do końca udanie przetłumaczono na polski velký výběr. Solańska szczerze wątpiła w ten wielki wybór. W ogóle większość witryn zapowiadała raczej opuszczone lokale, z których wykradzono już nawet na złom sklepowe półki. Cała ta ulica robiła przynębiające wrażenie.

Róża tak się zagapiła na mijane sklepy, że o mało nie przeoczyła Heczki, który zniknął w przejściu podziemnym pod torami kolejowymi. Przyśpieszyła kroku, by go nie zgubić. Drukarz parł przed siebie pewnym krokiem, nie oglądając się już więcej przez ramię. Znaleźli się wreszcie na osiedlu modernistycznych willi z ogródkami, w których rosły i właśnie kwitły obowiązkowe magnolie, gdzie oprócz nich o tej porze w środku dnia powszedniego w zasadzie nie było nikogo.

Z każdym krokiem zbliżali się do komendy policji! Czyżby Heczko podsłuchał, że jego żona została zatrzymana, i teraz pędził z odsieczą? Na to wyglądało... Jej oczom wreszcie ukazał się budynek z czerwonym dachem wzięty pod władanie przez stróżów prawa. Zanim jednak Róża mogła przejść na drugą stronę ulicy Sokolovskiej i przyjrzeć się, jak drukarz zamierza się dostać do środka, Gucio akurat w tym momencie uznał, że czas załatwić pałace potrzeby. Uczynił to dokładnie pod furtką nowoczesnej sza-

rej willi, na której podwórku rosła tak równo przystrzyżona trawa, że aż to się dziennikarce wydało nierealne. Choć Kwiatkowska prosiła psa, by się pośpieszył, a nawet posunęła się do ciągnięcia go za obrozę, na nic jej się to zdało. Pies się zaparł i, obojętny na działania śledcze, zajął swoimi sprawami. Kiedy więc wreszcie Kwiatkowska znalazła się naprzeciw komendy, Heczki nie było nigdzie widać.

Róża podeszła więc do bramy i wyjaśniła strażnikowi, kim jest i po co tu przychodzi. O dziwo, mężczyzna był dobrze poinformowany i wpuścił ją bez problemu. Róża była już w połowie drogi do wejścia do budynku, gdy coś ją tknęło. Zawróciła.

– Przepraszam, a wchodził tu ktoś chwilę przede mną? – zapytała stróża.

Facet pokręcił głową, obejrzał się na mały telewizor – najwyraźniej oglądał jakiś serial.

– Mężczyzna w średnim wieku, Heczko się nazywa, jest drukarzem, może go pan nawet kojarzy? – dążyła.

– Tylko pani komisarz wjeżdżała na parking. Potem już nikt – wyjawiał cieć, a Róża zmarszczyła brwi.

Gdzie się w takim razie podział ten dziadyga?

Solańska wyjęła komórkę i wybrała numer Szymona. Była ciekawa, jak mu idą poszukiwania Mundka i jego pana. Wyglądało jednak na to, że mąż nie słyszy dzwonka. Weszła więc do komendy i została pokierowana do salki, w której już siedziała za przytwierdzonym do podłogi metalowym stołem Eliška, a naprzeciwko niej para policjantów. Liduška przekładała jakieś dokumenty z ręki do ręki, a Lucjan nalewał wody do plastikowych kubków. W kącie pokoju na regale leżał przezroczysty worek z przytarganym tu pomarańczowym płaszczem. Zainteresował się nim Gucio, podchodząc bliżej, stając na swojej jedynej tylnej łapie i obwąchując tłumok. Kwiatkowska przycupnęła w rogu i przysłuchiwała się rozmowie.

– Czy jestem podejrzana? – chciała wiedzieć Heczko.

– A kto nie jest – burknęła na to Liduška.

Właściwie całkiem słusznie. W obecnej sytuacji podejrzana o zamordowanie Gustawa Habsburga była gdzieś z połowa cieszynian. Zarówno tych polskich, jak i czeskich.

– Gdzie była pani w noc morderstwa? – Lucjan najwyraźniej zadawał to samo pytanie już z pięćdziesiąty raz, bo słyhać było, że sam jest sobą znużony.

– W domu – mruknęła żona drukarza. – Już mówiłam. Ja bym go nie skrzywdziła! Ja go wciąż... – urwała.

– Wciąż co? – chciała wiedzieć policjantka.

Nie doczekała się jednak odpowiedzi, ponieważ nagle w całym budynku zaczął przeraźliwie wyć alarm.

– Co to?! – chciała wiedzieć dziennikarka, zatykając sobie uszy.

Gucio z kolei usiadł na zadku, zadarł głowę i zaczął wtórować syrenie.

– Niech ktoś uciszy tego psa! – zaapelował starszy aspirant.

– Sam się ucisz! – Dziennikarka stanęła w obronie podopiecznego.

– To przeciwpożarowy! – Liduška próbowała przekrzyczeć donośne dźwięki. – Pewnie ktoś zjarał szluga w środku i włączył się czujnik.

I tak by sobie pewnie wrzeszczeli do siebie nawzajem w nieskończoność, gdyby jakiś przytomny funkcjonariusz nie wyłączył wreszcie cholerstwa, a w tym samym momencie Guccio nie zaczął szczekać. To już nie było wyście do księżycy. To było wściekłe ujadanie. Oczy wszystkich zwróciły się w kierunku czworonoga tylko po to, by zobaczyć jakiegoś mężczyznę umykającego z włożonym do worka dowodem rzeczowym w postaci płaszcza. Kwiatkowska się nie zastanawiała. Kwiatkowska wysunęła swoją może nie najzgrabniejszą, za to długą na metr (kiedyś sprawdziła ten fakt z miarką budowlaną w rękę) nogę i podcięła uciekiniera. Ten zachwiał się i huknął czerepem w uchylone drzwi. Torba z płaszczem potoczyła się tuż przed nim. Lucjan rzucił się na dowód i zakrył go własnym ciałem. Liduška zaś dopadła do mężczyzny i skuła go w kajdanki.

– Matěj! – zakrzyknęła Eliška. – Co ty tu robisz?

– Heczko, ty stary durniu! – zachnął się policjant, prostując się i odkładając płaszcz w bezpieczne miejsce z daleka od napastnika.

– Mężuś! – ucieszyła się jego koleżanka po fachu i wsparła pod boki.

– On się tu zakradł! – nakablowała Kwiatkowska.

– Wrrr – wtrącił swoje trzy grosze Gucio, wystawiając kły w kierunku drukarza.

– Spokój! – zażądała Žrankova.

Przykuła Heczkę – być może wbrew przepisom, ale te teraz miała głęboko w odwłoku – do kaloryfera i nie spuszczać z niego oka, zabezpieczyła płaszcz. Sięgnęła po worek z płaszczem. Wyjęła nakrycie i dokładnie je obmacała. W końcu z kieszeni dobyła jakiś przedmiot.

– Co to?! – nie wytrzymała Róża.

– Chyba padnę! – oznajmiła Žrankova. I wybuchnęła śmiechem.

Dość upiornym.

Róża zajrzała policjantce przez ramię i zobaczyła... dowód osobisty! Wystawiony na Matěja Heczkę...

– Zgubił pan coś? – zapytała Žrankova.

– Och – stęknął Heczko zrazu niewyraźnie, ale szybko nabrał wigoru. Na oczekaniu obmyślił ściemę. – To płaszcz żony. A myślałem, że mój – szyl.

– Doprawdy? – zaciekał się Lucjan Kordel.

– Nic z tego nie rozumiem – wyznała Eliška.

– A ja coraz więcej – dodała swoje Róża.

– To ja może wyjaśnię – powiedziała policjantka.

Nie zdążyła jednak spełnić obietnicy, bo nagle drzwi do salki stanęły otworem (najwyraźniej do tej komendy każdy wchodził z ulicy jak do siebie) i najpierw w progu pojawił się chłopak ze szczurem, a zaraz za nim Szymon Solański.

– To ten płaszcz! – powiedział Tadek. – A to on go nosił! – wskazał na Heczkę. – Dlatego mi się wydawał jakiś dziwny! – Chłopak palnął się

w czoło. – Bo to damski płaszcz, a to jest facet! I był na niego za mały! – Ucieszył się ze swojego odkrycia.

– Co to za bzdury? – brnął drukarz.

– Już wyjaśniam – powtórzyła Liduška.

– Co ci się stało?! – przerwała jej tym razem Róża.

I rzuciła się w objęcia mężowi, któremu z czoła ściekała krew.



Rzuciłem się w objęcia mojego pana, któremu ktoś najwyraźniej rozwalił makówkę. Tylko na chwilę go zostawić i zaraz problemy. Dlatego właśnie nigdy – przenigdy – nie należy nigdzie chodzić bez swojego psa. W przeciwnym razie kończy się to tak, jak na załączonym obrazku.

Ubiegłem Różę w tym wyścigu do Solańskiego, bo jednak żona żoną, ale to pies jest najważniejszy. Nie miałem szansy się porządnie przywitać z detektywem i się dowiedzieć, kogo mam ugryźć w zadek w zemście za te gołym okiem widoczne uszczerbki na zdrowiu i urodzie, ponieważ wokół nas rozpętało się istne piekło. Jeden zaczął gadać przez drugiego – zupełnie jak politycy różnych opcji zaproszeni do programu telewizyjnego – oraz chwytają się nawzajem za tak zwany wszarz.

Najpierw rozkręciła się awantura z Matějem Heczka o płaszcz, który nosił sprawca w noc morderstwa Gustawa von Habsburga (tak donosił nam władca szczurów i ja mu wierzyłem, bo dokładnie opisał Róży ten przyodziewek, zanim go zobaczył w komendzie, nie mógł więc sobie tego wszystkiego zmyślić). Solańskiemu przypomniało się, jak na potańcówce widział przeszukującego kieszenie Heczka. Wtedy pomyślał, że drukarz szuka numerka do szatni, a wychodziło na to, że facet zorientował się w tym momencie, że zgubił gdzieś swój dokument tożsamości.

– Ktoś go tam podłożył! – darł się rzeczony.

– Zaraz sprawdzimy odciski palców! – przekrzykiwała go Liduška. – Jeśli ktoś podłożył, to powinien zostawić swoje odfitki – wykoncypowała sprytnie.

– Czy ty nosiłeś mój płaszcz? – Do Heczkovej informacji docierały powoli i ociężale. – Kiedy... zabijałeś Gucia?

– Gucia? – Drukarz się ocknął. – Gucia?! – powtórzył moje imię ze złością.

Nie wiem, co mu się w nim nie podobało. Sam nosił nie lepsze.

– Nigdy go nie przestałaś kochać! – wrzasnął dość piskliwym, trzeba przyznać, głosem. – Dałem ci wszystko! Pieniądze. Pozycję społeczną. Dzieci. To dla ciebie nic nie znaczyło! Ciągłe popłakiwałaś za tym swoim Guciem! Myślisz, że nie słyszałem?! A jak wreszcie spotkało go to, na co zasłużył, mało z rozpaczy nie pękałaś!

– Nie wierzę! – zapewniła Eliška.

– Czyli przyznaje pan, że zabił Gustawa von Habsburga? – wtrącił chytrze Lucjan.

– Nie miałbyś jaj – rzuciła Heczkova.

– Właśnie, że miałem! – wypaplał Heczko. – A że też tego kmiota nie udało mi się pozbyć na dobre. – Wskazał na Tadka. – Palnąłem dziada w łeb przy zamku, ale najwyraźniej niewystarczająco.

Z mojego długoletniego już doświadczenia w tropieniu morderców wnioskuję, że zazwyczaj nie są oni zbyt bystrzy. Drukarz potwierdzał słuszność tej teorii.

– I zrobiłem to w przemyślany sposób! Otrułem gnojka, dodając mu do drinka tego świństwa, o którym przeczytałem w takim jednym kryminale. Kupiłem toto w aptece! Tak łatwo można się kogoś dzisiaj pozbyć! – Zaduł się na chwilę. – Dołożyłem jeszcze płynu, którym czyścimy maszyny drukarskie. Poczęstowałem go colą z wkładką, gdy przyszedł odwiedzić mój zakład, żeby pogadać o książce, którą chciał wydać. O tobie! – zwrócił się do żony. – Same paszkwile! A ty go tak kochałaś... W zasadzie powinnaś mi podziękować. Gdybym go nie zabił, pewnie wypuściłby te swoje wypociny w świat własnym sumptem i obsmarował cię przed całą Polską. Pisał o tobie straszne rzeczy! Intymne! Gdy to przeczytałem, to osiwiąłem. O, tu! – Poszarpał się po paśmie włosów.

– Kłamiesz – warknęła Heczkova, a my – to znaczy: ja, Solańscy, Tadek, łypiący zza pazuchy szczur Mundek i policjanci staraliśmy się nawet oddychać jak najciszej, byle tylko nie przerwać tego wywodu. Zauważyłem też, że Róża wyjęła ukradkiem telefon z torebki i nagrywała całe zajście.

– Taka jesteś głupia! – pastwił się drukarz. – Ochroniłem twoje dobre imię. To był skończony gnojek. Trucizna zadziałała dość szybko – relacjonował z entuzjazmem, jakby chciał się pochwalić swoim wątpliwym osiągnięciem. – Ale nie mogłem go przecież zostawić u siebie w drukarni. Zaprowadziłem go więc na most i tam ułożyłem dokładnie na granicy. Wiedziałem, że policja polska i czeska będą miały zagwozdkę, co zrobić z takim transgranicznym trupem. I nie zdołają się połapać w biurokracji, a co dopiero zorientować, że to ja go zabiłem. Potem sobie pojechałem na niby to delegację. Musiałem ochłonąć. Poza tym się bałem, że wpadną na mój trop. Spanikowałem.

– Przy okazji postanowił pan zrzucić winę na żonę – wtrąciła się jednak Liduška. – I włożył pan jej płaszcz, żeby w razie, gdyby ktoś pana zauważył, pomyślał, że to ona. Motyw miała, bo przecież mogła wiedzieć o powstającej książce – wnioskowała policjantka. – A takiego odblaskowego płaszcza jak ona w całym Cieszynie nikt nie ma. Identyfikacja była więc ułatwiona.

– Nie zrobiłbyś tego – wyszeptała Heczkova. – Matěj?

Drukarz wzruszył ramionami.

– Padł mi tam na tym moście – wrócił do interesującego go wątku – i po chwili się udusił na dobre. Czysta robota.

– Nie jest pan zbyt rozgarnięty – wywnioskowała Žrankova. – Pewnie po czasie do pana dotarło, że na płaszczu mógł pan zostawić jakieś ślady, więc przyszedł pan tutaj, by go wykraść!

– Wszystko musieliście zepsuć – rzekł z westchnieniem Heczko. – A ja go tam wetknąłem przez roztargnienie. Potrzebowałem akurat spisać jego numer i tak się to skończyło.

Usiadł na podłodze przy kaloryferze, do którego wciąż był przykuty, i zamilkł na dobre.

Lucjan i Žrankova nie omieszkali go poinformować, że jest aresztowany.

A ja pomyślałem sobie tylko, że nie chciałbym być w ich skórze, gdy będą zmuszeni wypuszczać tych wszystkich niewinnie zatrzymanych i bez sensu podejrzewanych. Przecież oni ich poćwiartują, posolą i zeżrą.

A przynajmniej ja bym tak uczynił.



Miasto mówi / Město říká

Miasto było złe. Miało już serdecznie dosyć pętających się po jego terenie policjantów, detektywów, wścibskich dziennikarek, a przede wszystkim morderców! Z tego wkurzenia zmierzwiło powierzchnię wody na Olzie i się zachmurzyło. Prychnęło też wiatrem, przeganiając po chodnikach śmieci i opadłe liście. A potem skupiło się na okolicach willi przy ulicy Wojska Polskiego, w której mieściła się cieszyńska komenda policji. A przebywała w niej zgraja podejrzanych.

Pierwsza z komisariatu jak z procy wyskoczyła Mira Chowaniuk, powiewając kolorowym ponczo na sprokurowanym przez miasto wietrze i wygrażając funkcjonariuszom niewybrednie.

– Zwyrodnialcy! – powiedziała mianowicie.

Miasto śledziło jej – jak i wszystkich pozostałych osób tego komediodramatu – poczynania nie tylko tego szarego dnia, ale i w niedalekiej przyszłości. A jeśli chodzi o najbardziej rzutką aktywistkę w tym przygranicznym rejonie, to podejrzania o zamordowanie Gustawa Habsburga wpłynęły na nią – o dziwo – ożywczo. Jak policja mogła sądzić, że to ona zabiła tego drania?! Wprawdzie nie miała alibi na chwilę morderstwa, ale to już starsza pani nie może wyjść z imprezy niepostrzeżenie i... Gdy gliniarze będą w jej wieku, zrozumieją, że można mieć problemy zdrowotne na tyle wstydliwe, że człowiek zaryzykuje zamknięcie w pace, a się do nich nie przyzna! Od-

siedziawszy swoje w areszcie, musiała się srogo wynudzić, bo gdy tylko odzyskała wolność, rozpoczęła planowanie.

A potem od razu przeszła do działania, póki wiosna miała się w najlepsze.

Kiedy miasto znów ją namierzyło, kucała właśnie na skwerze przy ulicy Korfantego i ustawiała prosto sadzonkę magnolii, której korzenie po chwili zasypała ziemią. To był dwunasty krzew, który zasadziła tego dnia. A nie było to jej ani pierwsze, ani ostatnie słowo. Jeszcze tej wiosny miasto wzbogaciło się o kilkadziesiąt nowych magnolii, które, zdaniem Miry, miały zadość uczynić za straty, których dopuścił się Habsburg, ścinając drzewo przy zamku. Oraz upamiętnić te sensacyjne wydarzenia, jakie miały miejsce w Cieszynie tego zimnego kwietnia. Upamiętnić po to, by nigdy więcej do podobnych nie doszło.

Mira na swoją działalność z łatwością pozyskała granty miejskie od dwóch rozanielonych zakończeniem kryminalnego śledztwa Grażyn. A wyjątkowo urodzive sadzonki przysyłał jej z Holandii jej nowy znajomy, który też był całkiem szczęśliwy, że nie grozi mu już siedzenie w cieszyńskim kryminale. Przynajmniej nie z powodu podejrzeń o morderstwo...

Zaraz za Mirą, jak zauważyło miasto, na wolność wyszła Alicja Szymon. Właścicielka fabryki słodczy także nie szczędziła policji słów krytyki.

– Popaprańcy! – rzekła.

Pod komendę podjechała po nią taksówka, w której Szymon ulokowała się, ze złością zatraskując za sobą drzwi. Pojazd ruszył z piskiem opon i pognał zamiast do domu pani prezes, to prosto do fabryki cukierków. Alicja Szymon wiedziała, że trzeba trzymać rękę na pulsie, jeśli ktoś się bierze do prowadzenia biznesu. Po kilku dniach nieobecności musiała więc sprawdzić, jak się sprawy mają.

A miały się nie najlepiej. Wszystko to do czasu, gdy niespodziewanie szymonki zdobyły nową inwestorkę. Kobieta, która postawiona na życiowym zakręcie, zdecydowała się skupić na dwóch sprawach: lokalnym biznesie i kobiecym biznesie. A że otrzymała ostatnio spory dopływ gotówki, wykorzystwała go, zostając członkinią zarządu wytwórni szymonków.

Kobieta ta nazywała się Eliška Heczkova.

Tymczasem zapomniany już Tonda Kvapil, który w feralną noc po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu o złym czasie i łąził tam i z powrotem po moście, bo się zjarał i mu się na nogi rzuciło, trudnił się dotąd może nie do końca legalnym, ale przynoszącym jako takie zyski handlem ziołem. Jednak kryminalne wydarzenia w Cieszynie także jego życie wywróciły do góry nogami. Tonda Kvapil rozwinął swoją działalność na arenie międzynarodowej. Miasto rzadko już go widywało w swoich progach, ponieważ przemytnik przeprowadził się do Holandii. Tam w ciągu dnia zbierał szparagi, po godzinach handlował (nie stroniąc od degustacji) marihuaną, a gdy zdarzyło mu się mieć wolne popołudnie, jechał do ogrodów Keukenhof pod Amsterdamem, gdzie podziwiał rośliny wprawdzie nienadające się do celów odurzających, ale za to piękne same w sobie. Podczas jednej z rzadkich wizyt w rodzinnym mieście natknął się na oporządzającą właśnie jedną z posadzonych przez siebie magnolii Mirę Chowaniuk. Porozmawiali sobie uprzejmie na tematy florystyczne. I tak się zgadali, że w rezultacie Tonda stał już nie na dwóch zarobkowych nogach, ale na trzech. Oprócz szparagów i narkotyków doszły mu jeszcze krzewy ozdobne, które za namową Miry zaczął eksportować z Niderlandów do Polski (Chowaniuk była jego główną, choć nie jedyną klientką). Koszty przy tym ponosił jedynie transportowe. Skąd brał znakomitej jakości rośliny, tego nikt na szczęście zbyt szczegółowo nie dociekał. Wystarczyło, że wpisał w zafałszowanych i wydrukowanych własnoręcznie na domowym sprzęcie dokumentach jakieś bzdury, które wyczytał na fachowych stronach w Internecie, i wszyscy byli zadowoleni.

No może oprócz właścicieli przydomowych ogródków w kilku holenderskich miastach, którzy wychodząc rano do pracy, zastawali pod domem w miejscu dotąd pięknie rozwijających się magnolii, bzów, hortensji czy lagerstroemii wykopane dziury.

Miasto przesunęło na chwilę wzrok na swoją czeską stronę. I trafiło akurat na moment, w którym z tymczasowej ciupy wychodził Jiří Krásnohorský.

– Pitomci!^[44] – Restaurator pożegnał się z władzami tymi właśnie słowy. Dla podkreślenia swojego oburzenia splunął jeszcze przez lewe ramię.

Jak można go tak było podejrzewać? Zupełnie bezpodstawnie! Na próżno tłumaczył tym matołom, że jedyny trop, który ich przywiódł właśnie do niego, jest fałszywy! Owszem, miał u siebie w biurze koralik z polską flagą zerwany z łańcuszka, który nosił Habsburg. Jednak zerwał mu go o wiele wcześniej! Na cieszyńskim zamku w trakcie jednej z kłótni, którym oddawali się od czasu do czasu jako oponenti po dwóch stronach barykady ideowej. Oczywiście nikt mu nie chciał wierzyć. Tylko jego czas i pieniądze podatników zmarnowane.

I na właściciela hospody kryminalna afera na polsko-czeskiej granicy zadziałała motywująco. Jurek kupił sobie nowe nieśmierdzące starym olejem ciuchy, sprawdził stan konta w banku, które przez lata gromadzenia funduszy stosownie napuchło, i stwierdził, że a co tam. Skoro jego plan przyłączenia polskiej części miasta do czeskiej się nie zamierzał powieść, uznał, że czas wyciągnąć z całej tej sytuacji coś dla siebie. Władował więc swoje zaskórniaki w rozwój sieci czeskich hospudek nie tylko w kilku czeskich turystycznych miastach, ale i w Polsce, na Słowacji oraz na Węgrzech. A niech tam, pomyślał, te zagraniczne matoly zostawiają u niego pieniądze, ku chwale jego ojczyzny.

Miasto, gdyby tylko miało głowę, pokręciłoby nią z niedowierzaniem oraz pewną nutką rezygnacji. Łepetyną jednak nie dysponowało, więc zajęło się śledzeniem dalszych losów kolejnych postaci, które się przez tę opowieść przewinęły. Następna obserwacja dotyczyła pewnych zmian kadrowych.

Tego ranka Liduška Žrankova przyjechała do pracy wcześniej. Czekala ją stos papierów do wypełnienia. Nienawidziła biurokracji. Miasto wiedziało, że gdyby mogła, policjantka spaliłaby na stosie każdy formularz, który była zmuszona wypełniać po zakończeniu sprawy, przed jej rozpoczęciem zresztą też, a i w trakcie się coś zdarzało. Ostatnio doszły również nowe dokumenty. Przeszukano mieszkanie Heczków i znaleziono w gabinecie Maťeja resztki fentanyleny, za pomocą którego otrul Habsburga. Mieli więc do-

datkowy dowód przeciwko mordercy, ale i robotę do wykonania. Tę z za biurka, najgorszą.

Liduška całą sobą wyrażała więc swoje niezadowolenie. Już się nawet szykowała w duchu na to, że natrąbi na tego opieszalego ciecia przy wjeździe na policyjny parking. Facet był znany z tego, że woli oglądać seriale kryminalne na swoim telewizorku wmontowanym w budce, niż zająć się otwieraniem szlabanu. Czasem trzeba nawet było wychodzić z auta i go szturchać, bo zaaferowany przebiegiem akcji, na przykład w takim *Vraždy z kruhu* z Ivanem Trojanem w roli głównej, nie zwracał uwagi na otoczenie.

– Ale ci titnę! – obiecała mu Liduška, podjeżdżając pod komendę.

Jednak ledwie zdążyła zbliżyć się do szlabanu, ten uniósł się płynnie do góry, a z okienka budki wychynęła znajoma skądś policjantce twarz.

– Dzień dobry! – Chłopak pomachał do niej, gdy przejeżdżała z rozdzielionymi ustami obok niego.

Potem, siedząc już w swoim gabinecie, zastanawiała się, czy rzeczywiście z ulokowanej na piersi kieszeni chłopaka wystawał łebek szczura, czy jej się tylko wydawało.

Miasto wreszcie mogło odetchnąć. Popatrzyło na swoją prawą, a potem lewą stronę. Obie były piękne. I mogły już zaznać spokoju.



– Grażyna, chodź tu! – powiedziała druga Grażyna do swojej koleżanki po fachu. – Państwo już przyszli.

Solański wyciągnął swoje długie nogi pod stołem konferencyjnym i rozejrzał się po gabinecie burmistrzynie. Wydawało mu się, że pierwszy raz wkroczył tu całe wieki temu, a tak naprawdę sprawa śmierci Gustawa von Habsburga została rozwiązana dość prędko. Przyjrzał się twarzom poprzednich włodarzy miasta, których portrety wisiały na ścianach. Spoglądali na ich grupkę z uznaniem? Czy tak mu tylko podpowiadała wyobraźnia?

Obok niego usadowiła się Róża, co rusz sięgając paluchem do tubki z lentilkami, wydłubując po kilka kolorowych dropsów i wrzucając je sobie

do paszczy. Gucio też był początkowo zainteresowany konsumpcją, ale kiedy odkrył, że to czekolada, obrażony odwrócił się do nich zadkiem.

Starszy aspirant Lucjan Kordel stał na baczność pod ścianą i wyglądał, jakby mu się śpieszyło. Co chwila spoglądał na zegarek, dość ostentacyjnie, a potem sprawdzał coś na swoim smartfonie. Liduška zaś rozparła się w fotelu i uśmiechała do siebie tajemniczo. Jakby sama sobie w głowie opowiadała żarty.

– No, Grażyna! – dotarł do nich głos zniecierpliwionej burmistrzynie.

– Idę! – oznajmiła kobieta i wkroczyła wreszcie do gabinetu, niosąc tacę zastawioną filiżankami, cukiernicą, dzbanuszkami z mlekiem i gorącymi napojami. – Kawy? Herbaty? – zaoferowała.

Róża z miejsca rzuciła się na poczęstunek. Widocznie lentilki ją zamuliły.

– Chciałyśmy państwu podziękować – zaczęła jedna z Grażyn i wygładziła spódnicę garsonki, tym razem w kolorze fuksji, gdy wszyscy nalali już sobie do filiżanek, czego tam chcieli. – Spisaliście się świetnie.

– To nasza praca – powiedział Lucjan Kordel i znów zerknął na zegarek.

– Śpieszy ci się gdzieś? – chciała wiedzieć Liduška.

– Właściwie tak – odparł.

– Och, to nie będziemy przedłużać – zapewniła Grażyna. – Do pana Solańskiego oczywiście poszedł już przelew – wyjaśniła. – Ale chciałyśmy dodatkowo wynagrodzić wszystkich państwa.

– My nie możemy niczego przyjąć – zaparł się aspirant. – Jeszcze by ktoś pomyślał, że to łapówka.

– Wyluzuj – mruknęła Liduška.

– To nic takiego – zapewniła druga z Grażyn. – Nikt nie będzie miał nam tego za złe. A państwo z pewnością skorzystają z wielką radością. Co nie, Grażyna? – Klepnęła koleżankę w rękaw dzisiaj musztardowej garsonki. – Proszę! – powiedziała uradowana, wyciągając z szuflady biurka plik kopert i wręczając każdemu po jednej.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza przerywana jedynie szelestem otwieranych podarunków.

– Kupony! – Pierwsza Grażyna nie wytrzymała napięcia. – Na zniżkowe wejścia do naszych wspaniałych muzeów! – Klasnęła w ręce. – Z tymi voucherymi dostaniecie dwudziestopięcioprocentową zniżkę na bilety do Muzeum Śląska Cieszyńskiego, Muzeum Czwartego Pułku Strzelców Podhalańskich, Muzeum Drukarstwa, Muzeum Protestantyzmu...

– Nie zapominaj jeszcze o Izbie Cieszyńskich Mistrzów! – upomniała koleżankę Grażyna.

Wśród obdarowanych trwało uporczywe milczenie. Przerwała je wreszcie Róża.

– Fantastycznie! – powiedziała może aż nazbyt entuzjastycznie. Solański pomyślał, że burmistrzynie nie dadzą się na to nabrać.

Ale dały.

– Wiedziałam! – zachwyciła się musztardowa garsonka. – Mówiłam ci, Grażyna? Mówiłam? – dopytywała.

– Mówiłaś! – potwierdziła ta w różowawym wdzianku. – Państwo od razu poznali się na prawdziwej sztuce. Wiedziałyśmy, że docenicie taki gest.

– Super! – potwierdziła Žrankova. Szymon nie był pewny, ale wydawało mu się, że policjantka z trudem powstrzymuje się, by nie wybuchnąć śmiechem.

– To bardzo miło z waszej strony – zapewnił detektyw.

– Zajebicie – wyrwało się Lucjanowi. Bynajmniej nie radośnie.

– Niestety musimy się już zbierać. – Solański wstał od stołu. – Wracamy do Chorzowa.

– A ja muszę lecieć odebrać syna ze szkoły – wyjąwił aspirant. – A potem zaraz po żonę i jedziemy na wczasy – rozgadał się, starając się nie patrzeć na panią komisarz. – Postanowiłem, że tak będzie najlepiej – rzekł. Właściwie nie wiadomo do kogo.

Wszyscy wstali i opanowując ekwilibrystykę wzajemnego podawania sobie dłoni, a potem przepuszczania się w drzwiach, wreszcie opuścili gabinet Grażyny i budynek Urzędu Miasta.

Policjanci i Róża poszli przodem. Szymon czekał jeszcze na ociągającego się Gucia, który koniecznie chciał obwąchać wszystkie futryny na piętrze. Dlatego zaraz po tym, gdy zamknęły się za nimi drzwi gabinetu, detektyw usłyszał najpierw szatański rechot dwóch kobiecych głosów. A potem zdanie wypowiedziane przez jedną z Grażyn.

– Aleśmy im wcisnęły ten talon na balon, co nie, Grażyna?

– Ano! – odpowiedziała burmistrzynie.

Gucio zapoznał się wreszcie ze wszystkimi interesującymi go zapachami. Mogli więc pójść w swoją stronę.



Jeszcze tego samego wieczoru Liduška Žrankova siedziała w swojej ulubionej spelunie i małymi łydkami popijała whisky. Należało jej się. Po tych wszystkich trudach śledztwa. Po użeraniu się z pełnym wyrzutów sumienia i żalu Lucjanem. Po przepychankach z własną nieakceptującą ją rodziną. Zagrzechotała kostkami lodu w szklance. Machnęła znajomemu barmanowi na znak, by podkreślił głośność. W radiu leciała właśnie V Symfonia Ludwika van Beethovena. Ten kawałek zawsze wprawiał ją w bojowy nastrój. A potem wbrew pozorom uspokajał. Barman dał głos na maksa. Liduška sączyła whisky. Z przymkniętymi powiekami wsłuchiwała się w kolejne takty. I ku własnemu zdziwieniu poczuła się... szczęśliwa?

Było jej dobrze. Wykonała swoją robotę. A teraz odpoczywała tak, jak lubiła. I nikt, i nic jej w tym nie przeszkadzało. A już zwłaszcza jakiś absztyfikant.

Z tym nieprzeszkadzaniem to nie była do końca prawda. Žrankova poczuła w kieszeni wibrowanie telefonu. Wyjęła aparat. Zatkąła sobie jedno ucho, a do drugiego przyłożyła smartfon.

– Widziałas?! – huknął Lucjan Kordel.

– Co?

– „Głos Polaków”! Pierwsza strona! – emocjonował się. – Co tak huczy?

– Ludwiś – odparła policjantka. – A ty nie miałeś być na wakacjach?

– Jestem. Nie na księżycu. Mamy tu Internet. Więc sobie sprawdzałem akurat ich stronę i...

– Co tam jest? – przerwała mu Liduška. – Zdradzisz, czy muszę sama się biedzić?

– Habsburg! – ryknął Lucjan. Zupełnie niepotrzebnie, bo utwór w radiu dobiegł końca, a reklamy środków na przeczyszczenie barman szybko wyciszył. – Habsburg to nie Habsburg!

– Opiłeś się z rozpaczy za mną? – Žrankova miała już dość swojego kolegi. Uczucie pełni szczęścia, które jeszcze przed chwilą jej towarzyszyło, uleciało.

– Oj no, wysyłam ci link – zniecierpliwił się. – Sama sobie przeczytaj – nakazał i się rozłączył.

Liduška niechętnie kliknęła w co jej nakazano i zatopiła się w lekturze. Z każdym przeczytanym zdaniem jej brwi unosiły się coraz wyżej. Jak donosili dziennikarze „Głosu Polaków”, nikt nie chciał się zająć pochówkiem niedawno zamordowanego Gustawa von Habsburga. Arystokratyczny ród, z którego przedstawicielami skontaktowały się władze, stanowczo wyparł się pokrewieństwa ze wspomnianym Gustawem. Na dowód prawdziwości swego twierdzenia przedstawił nawet sięgające niemal czasów chrystusowych drzewo genealogiczne swojej rodziny, w którym ni hu, hu nie można było znaleźć rzonego. Oszust!, donosili żurnaliści. Przez lata podawał się za potomka szlacheckiego rodu. Wszyscy przyjmowali jego deklaracje za dobrą monetę. Nikt nie podał ich w wątpliwość. Korzystał z przywilejów, zaproszeń na rauty, chełpił się pochodzeniem. A tak naprawdę...

– Tomasz Talarek?! – Policjantka odczytała imię i nazwisko, które wytropili dziennikarze.

Tak naprawdę miał w dowodzie fałszywy arystokrata.

Wedle nieoficjalnych źródeł „Głosu Polaków” nad tombakowym Habsburgiem ulitowała się jego dawna dziewczyna Eliška Heczkova i obiecała sfinansować pogrzeb. Na rodową kryptę Talarek nie miał jednak co liczyć.

W kieszeni policjantki znów rozdzwierał się telefon. Przyjrzała się wyświetlaczowi i zmarszczyła jasne, niemal niewidoczne na jej twarzy brwi. O tej porze Markéta nie dzwoniła do niej jeszcze nigdy. Kobieta poczuła ucisk w okolicach serca.

– Tak? – powiedziała krótko.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza. Liduška już myślała, że siostra się rozłączyła.

– Przepraszam – padło wreszcie. – Za tamten wieczór. I wszystkie poprzednie. Myślisz, że mogłybyśmy...? – Nie dokończyła zdania.

Tym razem policjantka nie odzywała się przez moment.

– Myślę, że tak – powiedziała wreszcie.

Nacisnęła czerwoną słuchawkę. I uśmiechnęła się do siebie.

Dopiła drinka. Włożyła kurtkę, zarzuciła rudym warkoczem i wyszła w zimną cieszyńską noc.

EPILOG

– Jesteś pewna? – zapytał Szymon Solański i zamknął drzwi skody. Jakby się bał, że Róża zmieni jednak zdanie, wysiadł z samochodu i zostanie w Cieszynie na dłużej.

– No jasne – zapewniła. – Zwolniłam się ze skutkiem natychmiastowym. Niech się te barany same teraz męczą nad nowym wydaniem „Głosu Polaków”. Skoro tacy są mądrzy. Zobaczymy, czy sobie poradzą. Dałam im jeszcze bombę na jedynekę ostatniego numeru pod moimi skrzydłami, a teraz *sajonara!*

– A szef? – dopytywał mąż.

– Linert? Ten dziadek mnie pokochał – wyznała. – Dał mi jeszcze na odchodne premię. „Masz, dziecko, na waciki”, powiedział – zarżała Kwiatkowska i pomachała Solańskiemu przed nosem grubą kopertą. Która z pewnością nie zawierała biletów do żadnego muzeum!

Do przewozu części rzeczy musieli wynająć specjalny van, a i tak fabia zapchana była po sam dach. Gucio siedział na skrawku tylnej kanapy, który mu się ostał, i mazał mokrym nosem po szybie, wyglądając przez okno. Krajobrazy zmieniały się z wolna. Właśnie kończył się weekend, cały Śląsk wracał do domu, do pracy, do obowiązków po dwóch dniach spędzonych w górach na łonie natury. Korki były więc murowane.

Kwiatkowska zaś była zadowolona. Po pierwsze, morderca Gustawa von Habsburga siedział już w areszcie i czekał go proces, z którego z pewnością się nie wywinie. Solańscy mieli w tym swój spory udział. Po drugie, w Cieszynie Róża nabrała nowych doświadczeń zawodowych. I nie tylko jej mąż zarobił sporo pieniędzy na przeprowadzeniu śledztwa. Koperta od właściciela „Głosu Polaków” przyjemnie ciążyła w kieszeni bluzy. Poza tym stę-

skniła się już za domem. Była też podekscytowana ich wyremontowanym wreszcie mieszkaniem. Po raz pierwszy tak naprawdę mieli z Solańskim zamieszkać razem pod jednym dachem. Już na zawsze.

Musiała jednak przyznać, że nie pogardziłaby wypoczynkiem. Dawno nigdzie nie wyjeżdżali w celach urlopowych. Choć zazwyczaj i tak taki wypad kończył się pracą detektywistyczną. Solańscy przyciągali kłopoty. Morderstwa, śledztwa i zagadki kryminalne. Może jednak tym razem będzie inaczej? Róża miała ochotę na aktywny wypoczynek. Żadne tam leżenie na plaży czy picie drinków przy basenie. Takie atrakcje były dla starych ramoli. A tym Solańska postanowiła nie czuć się tak długo, jak to możliwe!

Co by tu więc wymyślić, uwzględniając jeszcze do tego warunki pogodowe o tej porze roku? Za granicę nie mogli się za daleko wybrać, bo samolot przy Guciu nie wchodził w rachubę. A nie zamierzali go zostawiać u Barbary Kwiatkowskiej bądź Łodzi Solańskiej. Tego się psu nie robi. Obie matki były osobami specyficznymi. Już i tak jednej opchnęli kiedyś kota, niejaka Brunhildę, która teraz terroryzowała nie tylko lokatorów domu przy Waxmana, gdzie mieszkali rodzice Róży, ale i spacerowiczów na pobliskim Amelungu, gdy tylko udało jej się wydostać do ogrodu. Pyskowała wtedy po kociemu przez płot na każdego przechodnia. A zwłaszcza na tych z psami na smyczy. Raz nawet jakimś cudem wymknęła się z domu i prze spacerowała do położonej niemal po sąsiedzku kliniki weterynaryjnej Psia Kostka doktora Dłutki. Weszła przez przeszklone drzwi do poczekalni jak do siebie, rozejrzała się z uwagą po czekających na swoją kolej pacjentach, a potem spuściła łomot trzem nieszczęśnikom. Ofiar byłoby więcej, gdyby kotki nie powstrzymała zaalarmowana nieboskimi wrzaskami poszkodowanych recepcjonistka (która zresztą później opowiedziała w szczegółach przebieg zdarzenia właścicielom kotki-diablicy). Ponieważ Brunhilda była zaczipowana, kobieta szybko ustaliła tożsamość jej niewolników i do nich zadzwoniła. Barbara Kwiatkowska odebrała kota i w ramach zadośćuczynienia kupiła w sklepiku weterynaryjnym zapas kocięj karmy na jakieś pół roku do przodu.

Co mógłby odstawić Guccio w zetknięciu z Brunhildą i Barbarą, Róża wolała sobie nawet nie wyobrażać. Dlatego na wakacje tylko z psem.

Wjeżdżali właśnie na estakadę, która po remoncie, jakiemu wbrew obietnicom wyborczym poddał ją prezydent miasta, miała się znakomicie. Przebiegała dokładnie nad chorzowskim Rynkiem. Pędzili po niej samochodami osobowymi mieszkańcy konurbacji górnośląskiej, ale i tirowcy przewożący tranzytem różne towary. Dudnili kołami w podłoże estakady, hałasy rezonowały i z pewnością wprawiały w błogi nastrój klientów księgarni Dopełniacz, która znajdowała się tuż pod diabelską kładką. Róża zdążyła pomyśleć, że warto by się było wybrać na jakieś spotkanie autorskie do Dopełniacza, gdy wyjrzała przez okno i dostrzegła ich do niedawna ulubiony pub. Nie było już Albion Pubu. Teraz w jego miejsce powstał Luksusowy Kebab, z jakiego to obrotu spraw zadowolony był tylko Guccio.

– Może skoczmy do Dopełniacza na piwko? – zaproponowała, przypominając sobie, że przecież w księgarni podają też rozmaite trunki i – co jeszcze istotniejsze – doprawdy pysznie wyglądające ciasta.

Nabrała ochoty na sernik. A lepiej żeby pożywiła się sernikiem niż szymonkami, których opakowanie wieźli w prezencie dla doktora Dłutki i które szeroko się już do niej uśmiechało. Wetknęła je za fotel Solańskiego tak, by go nie widzieć, obok sadzonki magnolii, którą podarowała jej Mira Chowaniuk. Zamierzała z Brygidą Buchtą zasadzić ją na skwerku pod ich familokiem na ulicy 11 Listopada.

– Chyba że miałbyś ochotę na smażony ser i frytki? – Kwiatkowska łypnęła na swojego męża.

Solański skrzywił się z obrzydzeniem. Róża zarechotała. Szymon zjechał z estakady przy dawnej Hucie Kościuszko, zawrócił i po chwili już parkował niedaleko księgarnio-kawiarni. Usadowili się przy jednym z żółtych stolików ustawionych pośród regałów wypełnionych książkami.

– Guccio! Znów nas odwiedziłeś! – zawołała ucieszona na widok psa Dagmara, która kierowała tym chorzowskim przybytkiem kultury. Pogłaskała go i po chwili już przyniosła mu miskę z wodą. – A dla was? – zwróciła się do ludzkiej części ekipy i przyjęła zamówienie.

– Tak sobie myślałem – zaczął Solański. – Nie wiem, co ty na to, ale wydaje mi się, że nam obojgu przydałby się wypoczynek. Może byśmy tak pojechali do Zakopanego?

To było to! Ostatnim razem, gdy byli w Szczawnicy, Róży nie szło najlepiej na nartach. Teraz jednak była pewna, że poradzi sobie śpiewająco. A gdyby ocieplenie klimatu się rozszalało i zabrało śnieg, zawsze będą mogli skoczyć do jakichś term albo na spacer po tatrzańskiej dolince. A może i na Giewont? Wszak biadolenie na te sławetne łańcuchy musiało być grubo przesadzone.

– Doskonały pomysł – pochwaliła męża.

Róża Solańska nie uczyła się na swoich błędach. Bo i tym razem nie wiedziała jeszcze, że z wypoczynku pod Rysami wyjdą im co najwyżej góralskie onuce!

POSŁOWIE

Wielką pomocą w warstwie językowej przy pisaniu tej powieści służyła mi książka pani Zofii Tarajło-Lipowskiej pod tytułem *Nowy Kapoan. Strzel i traf do czesko-polskich językowych gaf* opublikowana przez Wydawnictwo Afera. To lektura pouczająca, ale i zabawna. Polecam każdemu!

Bardzo dziękuję pani Joannie Boruckiej, mojej Czytelniczce z Rybnika, która przyjechała do chorzowskiej księgarni Dopełniacz na spotkanie z okazji premiery *Takiej tragedii w Tałtach* i po zakończeniu oficjalnej części imprezy wdała się ze mną w gorącą dyskusję na temat dalszych losów Solańskiego, Róży i Gucia. Jak zwykle interesującym tematem była lokalizacja następnego tomu *Kryminałów pod Psem*. I tu przyznaję otwarcie i z głębokimi ukłonami w stronę pani Joanny, że to ona podpowiedziała mi Cieszyn i trupa na moście. Wraz z Martą Paluch (Marta Czyta) przystąpiły do akcji przekonywania mnie do takiego rozwiązania. Nie musiały jednak specjalnie jej rozkręcać, ponieważ od razu pomysł przypadł mi do gustu i... reszta to już historia.

Zaznaczam też, że prawdziwe cieszyńskie lokale opisane w książce zostały przeze mnie przerobione na fabularną modłę i często nie przypominają tych rzeczywistych.

PRZYPISY

- [1] *Přeji Vám příjemné čtení!* (czes.) – Życzę Państwu miłej lektury!
- [2] Utopence – parówki w occie.
- [3] *Jedu takhle...* (czes.) – *Jadę tędy biwakować skodą 100 na Orawę, dlatego się śpieszę, ryzykuję – przejeżdżam przez Morawy* – fragment piosenki *Jožin z Bažin* Ivana Mládka.
- [4] *Po čmoku* – po ciemku.
- [5] *Zbabělec* (czes.) – tchórz.
- [6] Petr Šabach, *Gówno się pali*, tłum. Julia Różewicz, Wydawnictwo Afera, 2011, s. 7.
- [7] Fragment piosenki *Lady Carneval* Karela Gotta.
- [8] Fragment piosenki *Výřvi se* Ewy Farnej.
- [9] *Volovina* (czes.) – bzdura, głupota.
- [10] *Seru na to!* (czes.) – Srać na to!
- [11] *Popírám* (czes.) – oponuję.
- [12] *Ty hajzle!* (czes.) – pogardliwie do kogoś.
- [13] *Hopsadlo* (czes.) – trampolina lub gumowa piłka, często w kształcie zwierzątka, na której skaczą dzieci.
- [14] Jaroslav Hašek, *Przygody dobrego wojaka Szwejka czasu wojny światowej*, tom I, tłum. Antoni Kroh, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 2017, s. 26.
- [15] *Mordparta* (czes.) – policyjna brygada do spraw zabójstw.
- [16] *Mužatka* (czes.) – babochłop.
- [17] *Záchod* (czes.) – ubikacja.
- [18] *Balvan* (czes.) – głąz.

- [19] *Plyn* (czes.) – gaz.
- [20] *Květen* (czes.) – maj.
- [21] *Duben* (czes.) – kwiecień.
- [22] *Červenec* (czes.) – lipiec.
- [23] *Nakopat do kloaky* (czes.) – nakopać w tyłek.
- [24] Jaroslav Hašek, *Przygody dobrego wojaka Szwejka czasu wojny światowej*, tom I, tłum. Antoni Kroh, Zakład Narodowy im. Os-solińskich, 2017, s. 38.
- [25] Fragment hymnu czeskiej reprezentacji w piłce nożnej pt. *Zelená je tráva*, tekst: František Ringo Čech.
- [26] *Prdel* (czes.) – dupa.
- [27] Iva Procházková, *Mężczyzna na dnie*, tłum. Julia Różewicz, Wydawnictwo Afera, 2016, s. 23.
- [28] *Je lepší...* (czes.) – Lepiej być bezpiecznym, niż potem żałować.
- [29] *Sranda* (czes.) – ubaw.
- [30] *Dame si do nosu?* (czes.) – Napijemy się razem alkoholu?
- [31] *Tys to posral!* (czes.) – Zepsułeś to!
- [32] *Puška* (czes.) – strzelba.
- [33] Zdeněk Jirotka, *Saturnin*, tłum. Leszek Engelking, Wydawnictwo Afera, 2019, s. 83.
- [34] Bogumil Hrabal, *Perelka na dnie*, tłum. zbiorowe, Czuły Barbarzyńca, 2011, s. 206.
- [35] *Brambory* (czes.) – ziemniaki.
- [36] *Brokolice* (czes.) – brokuły.
- [37] *Lilek* (czes.) – bakłażan.
- [38] Evžen Boček, *Arystokratka w ukropie*, tłum. Mirosław Śmigielski, Stara Szkoła, 2016, s. 29.
- [39] Patrz poprzednie tomy *Kryminalów pod Psem*.
- [40] *Detektivka* (czes.) – powieść kryminalna.

[41] Evžen Boček, *Arystokratka w ukropie*, tłum. Mirosław Śmigielski, Stara Szkoła, 2016, s. 28.

[42] *Zbabělce* (czes.) – tchórze.

[43] Mariusz Szczygieł, *Zrób sobie raj*, Dowody na Istnienie, 2019, s. 5.

[44] *Pitomci* (czes.) – idioci.

kryminał pod pse



Na moście Przyjaźni łączącym Cieszyn z Czeskim Cieszynem zostaje znalezione ciało mężczyzny. Ponieważ trup, Gustaw Habsburg – za życia potomek arystokratycznej rodziny – leży dokładnie pośrodku granicy państwowej, śledztwo muszą poprowadzić wspólnie funkcjonariusze z obu krajów. Sprawę od początku komplikuje fakt, że komisarz Liduška Žrankova i starszy aspirant Lucjan Kordel nie darzą się (już) sympatią. Nie pomaga też obecność małżeństwa Solańskich żywo i zainteresowanych dochodzeniem... Od niedawna Róża pracuje w gazecie polonijnej, a Szymon wraz z kundelkiem Guciem przyjeżdżają do niej w odwiedziny. Prywatny detektyw zostaje wynajęty do odnalezienia zabójcy przez zaniepokojone o wizerunek miast burmistrzynie. Podejrzanych jest coraz więcej i doprawdy trudno się na któregoś zdecydować. A i samo miasto ma coś do powiedzenia...

Polecamy także
KRYMINAŁY Z PAZUREM



Patronaty



**WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE**

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-6433-9

EAN 9788327164339

U.WD.KRW146.1.01.01

